CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600

2

(107) 2022

Danuta Nespiak o Kresach ♦ Adam Wierciński o Stanisławie Wasylewskim ♦ Bogdan Gancarz o ks. Witoldzie Józefie Kowalowie ♦ Michał Piekarski o Janinie Korolewicz-Waydowej ♦ Karolina Grodziska o Janinie Reichert-Toth ♦ Wiersze Jerzego Wasidłowa ♦ Rozmowa ze Stanisławem Czernym

A czas płynie…

Dzisiaj mija 110. dzień wojny na Ukrainie. Kiedy ukazywał się poprzedni numer naszego kwartalnika – nie ukrywam naiwności – miałem nadzieję, że ta wojna szybko się zakończy. Z dzisiejszej, jakże pesymistycznej perspektywy jej końca nie widać. Rosja swej agresji na Ukrainie nie tylko nie chce powstrzymać, ale śle groźby i wyzwania całemu zachodniemu światu, stojącemu murem za walczącą Ukrainą. Przez te pełne dramatu dni polską granicę przekroczyło ok. 4 mln uciekinierów! Tym, którzy na dłużej zatrzymali się u nas, niesiona jest wszechstronna pomoc. Odbyło się mnóstwo charytatywnych koncertów na rzecz walczących na froncie z Rosją – choćby na zakup kamizelek kuloodpornych czy opatrunków. Temat wojny wszedł też na deski sceniczne – mam na myśli spektakl o prezydencie Zełenskim Ziemowita Szczerka *NaXuj, czyli miejsce dyslokacji rosyjskiego okrętu wojennego* w reżyserii Piotra Siekluckiego w Teatrze Nowym Proxima. Prawie wszystko od dziesiątek dni odbywa się w cieniu wojny wytoczonej przez Rosję Ukrainie.

Ludzie starają się jednak żyć normalnie, tu w Krakowie, ale i we Lwowie, gdzie rakietowe ataki nie pozwalają zapomnieć o wojnie. Opowiadała o tym w krakowskiej księgarni Bonobo Polka mieszkająca we Lwowie, Katarzyna Łoza, która promowała swą książkę *Ukraina. Soroczka i kiszone arbuzy*.

Drugi numer naszego kwartalnika, który Państwo czytają, staraliśmy się odseparować od tematyki wojennej. Choć nie do końca, bo na okładce można zobaczyć, do niedawna opakowane w drewniane skrzynie, odsłonięte w czasie wojny rzeźby lwów na Cmentarzu Orląt Lwowskich. Zawsze były i są strażnikami wierności i męstwa, pilnującymi spokoju bohaterów na polskim „Campo Santo”.

W bieżącym numerze „Cracovia–Leopolis” znajdą Państwo esej o Kresach, tekst o obchodzącym jubileusz 30-lecia kapłaństwa ks. Witoldzie Józefie Kowalowie, wspomnienia o dzielnej i legendarnej prof. Karolinie Lanckorońskiej, wybitnym pisarzu Stanisławie Wasylewskim, Janinie Korolewicz-Waydowej, Elżbiecie Róży Czackiej czy znanej lwowskiej rzeźbiarce Janinie Reichert-Toth. Miłośnicy kryminałów mogą przeczytać artykuł Pawła Stachnika o Marku Krajewskim, który na stronach swych książek przybliża nam przedwojenne Wrocław i Lwów. Jest też rozmowa ze Stanisławem Czernym, którego życiowym powołaniem stało się ratowanie zniszczonych nagrobków na Cmentarzu Łyczakowskim. Zamieszczamy też wspomnienia o Teresie Dutkiewicz i prof. Ewelinie Hrycaj-Małanicz, które tak niespodziewanie odeszły.

Mam nadzieję, że każdy znajdzie w tym numerze coś ciekawego dla siebie. Życzę dobrej lektury!

Janusz M. Paluch

Danuta Nespiak

Mit i historia Kresów

Kresy są częścią polskiej pamięci zbiorowej, a fenomen ich polskości uformowała literatura romantyczna. Prof. Jacek Kolbuszewski uważa, że myślenie o Kresach „w kategoriach szczególnego systemu wzniosłych wartości" straciło po rozbiorach swoje znaczenie dla Polski i weszło do polskich mitów politycznych. Mimo „podzwonnego dla Kresów" profesor replikuje, że w pojęcie Kresów wpisane są najwybitniejsze dzieła i wartości polskiej kultury[1]. W PRL-u temat Kresów i związanej z nimi literatury stanowił tabu. Dopiero wielotomowa encyklopedia PWN w III RP zamieściła hasło KRESY informujące, że w XVII i XVIII wieku był to pas ziem pogranicznych ukraińskich południowo-wschodnich części RP, a samo pojęcie „kresy" pojawiło się w latach 50. XIX w., użyte przez Wincentego Pola w rapsodzie rycerskim *Mohort*.

U schyłku XIX wieku nazwa Kresy zaczęła oznaczać ziemie I RP, które utraciła w wyniku zaborów na rzecz Rosji i Austrii. W II RP obszar geograficzny Kresów przesunął się na zachód. Kresowymi ziemiami stały się wschodnie województwa – wileńskie, nowogródzkie, wołyńskie, tarnopolskie, stanisławowskie i lwowskie. A najważniejszymi miastami kresowymi – Wilno i Lwów. Kresy to obszary tęsknot, wyznał prof. Tadeusz Chrzanowski bo „… do szkół uczęszczałem w ślicznym Lwowie i noszę w sobie, chociażem z urodzenia i zakorzenienia półwiecznego krakowiaczek, sporo tej romantyczno-melancholijnej miszkulancji – sporo tęsknot – i największe bogactwo, wspomnienia"[2].

Historia Polski splotła się z historią Ukrainy w stopniu nieporównywalnie większym niż z losami innego narodu. Największy ukraiński historyk, Michał Hruszewski, profesor Uniwersytetu Lwowskiego, który od 1894 roku kierował Katedrą Historii Europy Wschodniej, za pierwszą formę państwową Ukrainy uważał Ruś Kijowską. Dominowała ona wielkością i znaczeniem w XI wieku wśród rozbijających się na drobne państewka księstw ruskich, rządzonych przez Rurykowiczów. Tysiąc lat sąsiedztwa narodów Polski i Ukrainy świadczy, że w Rzeczypospolitej Obojga Narodów, a w rzeczywistości Polski i Litwy oraz Rusi-Ukrainy, kultura polska okazała się silniejsza i odegrała rolę przodującą.

Unia hadziacka zawarta we wrześniu 1658 roku nie przekształciła jednak I RP w unię trzech podmiotów prawnych. Tym trzecim miało być Wielkie Księstwo Ruskie składające się z województw kijowskiego, bracławskiego i czernihowskiego. Od XVII wieku Polska przegrywała politycznie rywalizację z Moskwą o ziemie kresowe, w których wygrywała kulturalnie. Możnowładztwo, szlachta ruska i litewska polonizowali się, przyjmowali język, sztukę, obyczaj, wyznanie i Kościół rzymskokatolicki, wnoszący idee zachodniego łacińskiego ładu prawno-ustrojowego.

Nawet gdy świątynią nadal była cerkiew i prawosławne wyznanie, mówiono *gente Ruthenus natione Polonus*. Polonizowali się z wyboru Chodkiewiczowie, Czartoryscy, Czetwertyńscy, Sanguszkowie, Sapiehowie, Wiśniowieccy, a nawet część twardo wiernych prawosławiu książąt Ostrogskich[3]. Wieś ruska pozostawała prawosławna, niski poziom kulturalny kleru unickiego nie podnosił prestiżu Cerkwi, ale obrona prawosławia stała się ważnym elementem ideologii kozackiej. Fenomen kulturowy ziem rusko-litewskich I RP, na styku chrześcijaństwa łacińsko-rzymskiego i grecko-bizantyjskiego, zapisał się w krajobrazie miast i miasteczek kresowych, w ich architekturze sakralnej i publicznej. Z bogatego, pozostawionego tam dziedzictwa korzystają dziś nasi wschodni sąsiedzi – koronnym przykładem jest Lwów uważany za najbardziej zachodnie miasto

[1] Kolbuszewski J., *Kresy*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1998, s. 204, 215.

[2] Chrzanowski T., *Kresy, czyli obszary tęsknot*, Wyd. Literackie, Kraków 2001, s. 7.

[3] *Rody magnackie Rzeczypospolitej*, Wyd. Naukowe PWN, Warszawa 2009, s. 127.

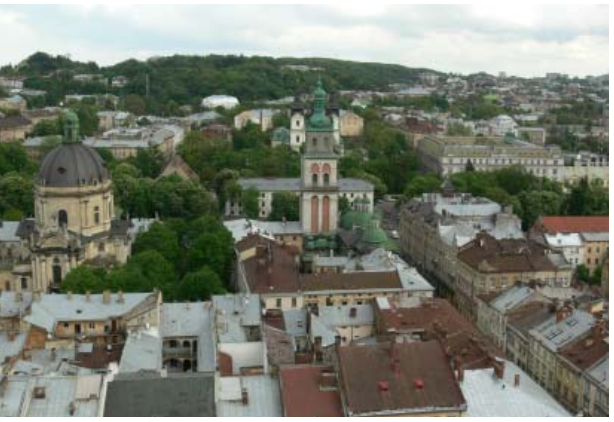

Ukrainy[4]. Wspaniały zespół zabytkowy miasta, wpisany w jego historię, budzi refleksję, do jakich tradycji powinno to miasto nawiązywać. 80 lat temu tragiczny wrzesień 1939 roku wyłączył Lwów z granic II RP razem z jego dziedzictwem duchowo-materialnym polskim, ale też ruskim – bo jego pierwszym założycielem był książę Daniel Halicki – oraz ormiańskim, bo Ormianie lwowscy z piękną postacią ks. arcybiskupa Grzegorza Teodorowicza byli arcypolscy.

Żytomierz odpadł od Polski w 1793 roku po drugim rozbiorze. W granice I RP włączyła go w 1569 roku Unia Lubelska. Polskim miastem był tylko 224 lata. Lwów w granice Królestwa Polskiego włączył w 1340 roku Kazimierz Wielki i miasto pozostało w nich aż 600 lat. Brakowało mu tylko roku do projektowanych wielkich uroczystości obchodów tej rocznicy. Niezależnie od liczby lat przynależności obu miast do Rzeczypospolitej ich polska kultura miała taką samą siłę.

Żytomierz od 1686 roku był siedzibą władz województwa kijowskiego. Przeniesienie do Żytomierza w 1724 roku siedziby rzymskokatolickiej diecezji kijowskiej miało duże znaczenie dla jego rozwoju. W tym roku przybyli tam jezuici i rozpoczęto budowę ich klasztoru. W 1761 roku starosta żytomierski Jan Iliński ufundował kościół i klasztor Bernardynów, a biskup kijowski Jan Ożga rozpoczął budowę katedry św. Zofii. Rok przed drugim rozbiorem sejmik szlachecki w Żytomierzu jednomyślnie poparł Konstytucję 3 Maja. W mieście stanęła brama triumfalna z portretem króla i całe miasto było iluminowane[5]. W roku 1804 Żytomierz został stolicą guberni wołyńskiej. Aż do powstania listopadowego miasto miało zdecydowanie polski charakter. Polskie było gimnazjum i cały zespół nauczycielski. Teatr wystawiał polskie sztuki – Bogusławskiego, Korzeniowskiego, Zabłockiego, Fredry[6]. Wielkie zasługi dla teatru położył Józef Ignacy Kraszewski, który od sierpnia 1853 r. zamieszkał w Żytomierzu. Był kuratorem gimnazjum i kierownikiem artystycznym teatru. W repertuarze obok Polaków znaleźli się też Schiller i Szekspir. Dbał o jego poziom i wyposażenie. „Wyprawiłem kogoś umyślnie do Wrocławia po garderobę, a do Lwowa i Krakowa po aktorów" – pisał do matki w 1857 roku[7]. Kilka sztuk, między innymi Fredry, reżyserował sam. W 1859 roku wyjechał z Żytomierza i w Warszawie objął redakcję „Gazety Polskiej". Bujne życie towarzyskie szlachty żytomierskiej opisał w swoim pamiętniku Tadeusz Bobrowski, absolwent gimnazjum żytomierskiego z czasów, gdy miało ono bardzo wysoki poziom, czyli w latach międzypowstaniowych.

W wyniku carskich represji po powstaniu listopadowym w Żytomierzu nastąpiła kasata zakonu ojców bernardynów, polskich nauczycieli gimnazjum zastąpili Rosjanie, utrudnienia ze strony władz spowodowały stopniowy upadek teatru, obniżyły artystyczną jakość spektakli granych w języku rosyjskim. W walkach listopadowych wziął udział kilkusetosobowy oddział jazdy złożony ze szlachty i mieszczan żytomierskich oraz okolic dowodzony przez Karola Różyckiego, który po kilku ciężkich potyczkach przedarł się do Królestwa i połączył z głównymi siłami powstania[8].

Represje antypolskie były w guberni wołyńskiej mniej bezwzględne i mimo że urzędowym i szkolnym językiem był rosyjski, w poł . XIX wieku w Żytomierzu mówiono po polsku, po polsku grali polscy aktorzy. Czas pewnej swobody polskiej działalności

---

[4] Riabczuk M., *Dwie Ukrainy*, Wyd. Kolegium Europy Wschodniej, Wrocław 2004, s. 153.

[5] Komorowski J., *Polskie życie teatralne na Podolu i Wołyniu do 1860 r.*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1985, s. 79.

[6] Bobrowski T., *Pamiętnik mojego życia*, t. I, PIW, Warszawa 1979, s. 152 i n.

[7] Komorowski J., jw., s. 98.

[8] Serczyk W., *Historia Ukrainy*, Wyd. Ossolineum, Wrocław 1990, s. 223.

kulturalnej w Żytomierzu skończył nagły wybuch powstania styczniowego. Tylko trzy polskie oddziały powstańcze działały na Wołyniu. Jeden z nich, dowodzony przez Edmunda Różyckiego syna Karola, wyszedł z Żytomierza 9 maja 1863 roku. Liczył około 500 powstańców nieźle uzbrojonych. Stoczył zwycięską bitwę pod Salichą w powiecie starokonstantynowskim. Różycki z oddziałem, ścigani przez Rosjan, przekroczyli granicę rosyjsko-austriacką i weszli do Galicji. Obaj Różyccy, ojciec i syn, znaleźli się później na emigracji w Paryżu[9]. Powstanie styczniowe zakończyło się klęską w guberni wołyńskiej. Nastał okres srogiej polityki kijowskiego gubernatora Bibikowa, marzącego o połączeniu polskiej szlachty ze społeczeństwem rosyjskim i jej zniknięciu na zawsze. Czas tej nieprzerwanej eksterminacyjnej, antypolskiej polityki nie zniszczył Polaków, miasta i powiatu żytomierskiego, mimo że represje uderzyły w instytucje miasta tak ważne dla kultury polskiej – w szkolnictwo i teatr. Jedynym nośnikiem przekazu stał się język rosyjski, ale oparcie religijne i narodowe dawała katedra św. Zofii. W Żytomierzu krótko działał Wydział Wykonawczy Rządu Narodowego, którym kierował komisarz Antoni Jaksa Chamiec, późniejszy wicemarszałek Wydziału Krajowego w Galicji. W całej guberni wołyńskiej najwięcej Polaków w liczbie 39 570 osób mieszkało w powiecie żytomierskim – co wykazał spis przeprowadzony w 1884 roku. Liczba ta zwiększyła się w 1909 roku do 46 326 osób. O dynamizmie życia narodowego w Żytomierzu świadczy fakt, że 1906 roku w pierwszych wyborach na urząd prezydenta miasta wygrał Polak – inż. Domaniewski[10]. On sam i jego rodzina spoczywają na cmentarzu żytomierskim. Jest to jedna z najważniejszych nekropolii polskich, która razem z lwowskim cmentarzem Łyczakowskim i wileńską Rossą stanowi narodowe dziedzictwo polskiej kultury i pamięci. Ze względu na wartość tej nekropolii zostały tam przeprowadzone kompleksowe prace inwentaryzacyjne w latach 90. XX wieku na zlecenie pełnomocnika rządu do spraw polskiego dziedzictwa kulturalnego za granicą. Na tym cmentarzu spoczywa Juliusz Zarębski (1854–1885), związany urodzeniem i sercem z Żytomierzem – pianista, kompozytor, uczeń Liszta, który studia muzyczne odbył w konserwatoriach Wiednia i Petersburga, a jego europejskie koncerty wzbudzały entuzjazm – największy w Paryżu. W styczniu 1884 roku objął stanowisko profesora Konserwatorium w Brukseli. W liście do Józefa I. Kraszewskiego, Zarębski zwierzył się, że jego marzeniem było skomponowanie polskiej opery. Nie zdążył – zmarł w wieku 31 lat, podobnie jak Chopin na gruźlicę[11].

Na tej szlacheckiej nekropolii w Żytomierzu pochowani zostali też rodzice Ignacego Jana Paderewskiego: Poliksena z Nowickich i Jan – ojciec wielkiego pianisty i polityka, który pracował jako administrator polskich majątków ziemskich. Jego syn, Ignacy Jan Paderewski, urodził się w Kuryłówce w 1860 roku w guberni podolskiej. Dobra te należały do Iwanowskich herbu Łodzia, których krewni, Feliks i Ignacy, mieszkali w Żytomierzu i byli adwokatami. W Kuryłówce, w klasycystycznym pałacu, Iwanowscy prowadzili dom otwarty i patriotyczny[12]. Aż do dzisiaj cmentarz w Żytomierzu nazywany jest polskim. Być może zwiedzał go Kazimierz Wierzyński – poeta, współtwórca grupy poetyckiej Skamander. Wśród jego wierszy jest utwór zatytułowany *Żytomierz*. Do miasta przyjechał 26 kwietnia 1920 roku, kiedy wojska dowodzone przez Piłsudskiego i oddziały posiłkowe Atamana Szymona Petlury po walkach z bolszewikami zajęły Żytomierz, do którego przyjechał poeta. Z Żytomierza udał się do Kijowa, gdzie wznowił wydawanie „Dziennika Kijowskiego"[13].

Do dzisiaj największe skupiska Polaków na Ukrainie znajdują się w rejonie Żytomierza i Winnicy, a nie na terenach byłych województw południowo-wschodniej II RP, gdyż wykarczowała je stamtąd tzw. ekspatriacja i powrót wojsk sowieckich.

---

[9] Bobrowski T., jw., t. II, s. 491, 638.

[10] Cmentarz Polski w Żytomierzu. Narodowa Instytucja Kultury. *Cmentarze na dawnych Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej*, t. II, Warszawa 1999, s. 13.

[11] *Kultura polska w życiu Ukrainy*. Materiały II Międzynarodowej Konferencji Naukowej. Kijów 6–9 listopada 1997, Kijów 2000, s. 235 i n.

[12] Aftanazy R., *Dzieje rezydencji na dawnych Kresach Rzeczypospolitej*, wyd. II, t. XI, Zakład im. Ossolińskich, Wrocław 1997, s. 309.

[13] *Kultura Polska*, jw., s. 175.

Beata Kowalska-Sionko

Religijne świadectwo prof. Karoliny Lanckorońskiej

Byle do końca nie zawieść, honoru nie stracić, wiary nie zgubić.
Prof. Karolina Lanckorońska

Wiara pozwoliła przetrwać prof. Karolinie Lanckorońskiej najtrudniejsze chwile życia i spełnić się w niesieniu pomocy bliskim. Doświadczyła w swoim długim życiu znaczącej przemiany. Religijne świadectwo Lanckorońskiej zasługuje na znacznie dłuższe opracowanie. Jej życie religijne ewaluowało wraz z doświadczeniami, z którymi podczas swojego długiego życia musiała się zmierzyć. Wpisała się w nurt katolicko-społeczny początku XX wieku. Historia myśli narodowej i katolicko-społecznej, również w przypadku prezentowania życia prof. Karoliny Lanckorońskiej była pomijana i zakłamywana.

Niniejsze opracowanie ma na celu przybliżenie portretu duchowego prof. Karoliny Lanckorońskiej. Poświęcone jest w głównej mierze jej religijnemu świadectwu, które można odnaleźć w jej zapiskach zarówno w *Szkicach wspomnień*, jak i we *Wspomnieniach wojennych*, a także wspomnieniach jej bliskich przyjaciół: prof. Lecha Kalinowskiego, profesora Mieczysława Paszkiewicza, osób, które spotkała podczas okupacji, gdy zaangażowała się we współpracę z Radą Główną Opiekuńczą, a także współwięźniarek z obozu w Ravensbrück. Szczególnie znaczenie ma relacja prof. Wandy Półtawskiej, która z prof. Karoliną Lanckorońską dzieliła obozową rzeczywistość i ostatni jej etap rzymski. Te dwie wyjątkowe kobiety spotykały się w Watykanie u Jana Pawła II oraz w rzymskim mieszkaniu Lanckorońskiej, kiedy hrabianka już nie mogła się swobodnie poruszać. Za ważną podstawę źródłową w przeprowadzonych badaniach uważam również Fototekę Lanckorońskich z PAUart, zwłaszcza w części dotyczącej życia prof. Karoliny Lanckorońskiej.

Karolina Maria Adelajda Franciszka Ksawera Małgorzata Edina Lanckorońska urodziła się w Wiedniu jako córka Karola hr. Lanckorońskiego i jego trzeciej żony Małgorzaty z Lichnovskich.

Karolina i Antoni Lanckorońscy w wieku dziecięcym, fot. ze zbiorów PAU, nr AN.KIII.150.326

Prof. Karolina Lanckorońska pochodziła ze starego zasłużonego w dziejach Polski rodu arystokratycznego Lanckorońskich z Brzezia koło Wodzisławia. Jej ojciec, Karol hr. Lanckoroński, był synem Kazimierza, szambelana dworu cesarskiego, i Leonii z Potockich. Z wykształcenia był prawnikiem, zasiadał w Izbie Panów w austriackiej Radzie Państwa i był członkiem Akademii Umiejętności. Posiadał rozległe dobra we wschodniej Galicji, Królestwie Polskim i Styrii, co pozwoliło mu spełniać się w roli mecenasa i kolekcjonera dzieł sztuki. Jako człowiek renesansu posiadał wiele pasji, ale tą znaczącą była archeologia. Hrabia był

zapamiętałym podróżnikiem, organizował ekspedycje naukowe po Europie i wzdłuż afrykańskich i azjatyckich wybrzeży Morza Śródziemnego. W latach 1888–1889 odbył podróż dookoła Ziemi. Zaangażowany był w działalność na rzecz ochrony zabytków i był prekursorem działań konserwatorskich w Wiedniu i Polsce. Włączył się czynnie w restaurację Wawelu, gdzie ufundował sarkofag królowej Jadwigi, przyczynił się do usunięcia wojska austriackiego z Zamku Królewskiego na Wawelu. Po pokoju ryskim 1921 roku odpowiedzialny był za rewindykację polskich dzieł sztuki. Za swoje osiągnięcia na rzecz kultury i sztuki oznaczony został Orderem Złotego Runa za czasów monarchii Habsburgów oraz, 3 maja 1928 roku, Wielką Wstęgą Orderu Polonia Restituta.

Wyjątkowe życie Karola hr. Lanckorońskiego zdecydowało o rozwoju jego dzieci, w tym ukochanej córki Karli. Ojciec wywarł wpływ na ukształtowanie się charakteru córki i jej zamiłowań. Stała się ona też świadomie kontynuatorką jego działań i dziedziczką nie tylko fortuny, ale i zamiłowań. Jednocześnie nie starał się narzucać jej swoich poglądów, jak to miało miejsce w dziedzinie historii sztuki, ale zachęcał do wyrobienia własnego zdania. Obyta w wielkim świecie, często podróżowała. Podczas tych zagranicznych wojaży obserwowała nie tylko świat sztuki, ale odnosiła się w swoich wspomnieniach do relacji wyznaniowych: „Grecy sami nie wiedzą, co się z ich religią stało. Gdzieś ją po drodze zgubili. (…) Cerkwie czekają przede wszystkim na zwiedzających turystów, a ikony na kupców". Sama była świadkiem, jak żywy katolicyzm pozwalał jej rodakom przetrwać najtrudniejsze dziejowe chwile, a opierał on się na wierności Bogu i Kościołowi.

Wielokulturowy charakter rodziny oddziaływał na dzieci hrabiego Lanckorońskiego. Nie uznawała pałacu wiedeńskiego za swój dom rodzinny, który był ozdobą stolicy Habsburgów i ważnym ośrodkiem życia towarzysko-kulturowego. Szczególnie bliski był dla Karoliny Lanckorońskiej pałac w Rozdole znajdujący się 54 km od Lwowa. Spędziła tam dzieciństwo i młodość. Kresy ukształtowały hrabiankę, która całe życie dążyła ku polskości. W swoich wspomnieniach daje temu wyraz: „Neobarokowy pałac wiedeński nigdy dla nas trojga, dla mnie i rodzeństwa, takim domem nie był. Przez mniej więcej siedem miesięcy w roku czekaliśmy na upragniony pobyt w Rozdole. Przyjeżdżaliśmy w czerwcu, a wyjeżdżaliśmy do Wiednia zwykle w połowie listopada". Był to wyjątkowy rodzinny czas dla Karoliny, Adelajdy, Antoniego, kiedy ojciec w rozdolskim pałacu mógł odpocząć po trudach służby publicznej w Wiedniu i oddawać się w spokoju swoim pasjom naukowym.

Córka Lanckorońskiego wspominała ważny dla niej dzień św. Karola, który był dniem jej imienin, a także ojca. Była zafascynowana swoim patronem, Świętym Karolem Boromeuszem. Odzwierciedlał jej rodzinę. Jako syn arystokratycznego rodu wyróżniał się prawością charakteru, głęboką religijnością i miłosierdziem dla ubogich, a także był znawcą sztuki. W ostatnią ziemską podróż ojciec Karoliny wyruszył właśnie z kościoła Karola Boromeusza w Wiedniu. Na pamiątce obituralnej wydanej na okoliczność pogrzebu Karola Lanckorońskiego z podobizną zmarłego z cytatami *Pisma Świętego* został zamieszczony inny ważny dla rodziny obraz Matki Boskiej z kaplicy w Rozdole.

„Wszystko, co czynicie, niech się dokonuje w miłości" – mawiał św. Karol Boromeusz. Lanckorońscy byli wierni słowom świętego Karola i wspierali rozwój polskiego Kościoła na Kresach. Podczas panowania monarchii austro-węgierskiej, a także w okresie II Rzeczypospolitej rozumieli, że katolicyzm był treścią i ostoją dla ich rodaków. Karol Lanckoroński świadomy roli religii, jako mecenas Kościoła, podejmował w Rozdole i w innych majątkach liczne fundacje dobroczynne. Lanckoroński, będąc gorliwym katolikiem, darzył szacunkiem przedstawicieli innych wyznań, dbał o to, by dzieci nie były izolowane od wielokulturowego otoczenia, by wychowywały się w postawie otwartości wobec ludzi innych

Pamiątka obituralna Karola Lanckorońskiego, fot. ze zbiorów PAUart, Numer inwentarza: AN.KIII.150.25693

religii. Z całą rodziną uczestniczył w otwarciu nowej synagogi w Rozdole. W piątkowe wieczory, gdy było już ciemno, hrabia kazał swoim dzieciom chodzić po ulicach Rozdołu i niepostrzeżenie zaglądać w okna, gdzie Żydzi w tałesach siedzieli przy stołach i czytali *Torę*. Od najmłodszych lat Karolina Lanckorońska pracowała w majątku ojca. Poświęcała się działalności charytatywnej, co zapamiętała okoliczna ludność. Miejscowi traktowali swą „hrabinę" z sympatią i szacunkiem. Ona sama do końca życia żyła wspomnieniami ludzi i miejsc, które wiele wniosły w jej dojrzałe życie.: „Gdy dziś patrzę na grupkę ludzi (…) a można by wyliczać ich więcej, widzę, że moje wczesne lata były bardzo bogate pod względem ludzkim, że ci, wśród których wyrosłam, byli mi serdecznie życzliwi i wiele, bardzo wiele mi dali".

Przywiązanie do Polski Lanckorońscy wyrażali podobnie jak św. Jadwiga w różnych dziełach: fundacjach, propagowaniu nauki i sztuki. Rodzina Lanckorońskich dbała o rozwój edukacji oraz kultury i odnosiła się z wielkim szacunkiem do chrześcijańskiej tradycji. Zwieńczeniem dla ich zasług było przyznanie, 13 marca 1995 roku w Rzymie, ostatniej przedstawicielce rodu Lanckorońskich Medalu Carcoviae Merenti. Na awersie medalu widnieje herb Krakowa i napis „Cracoviae Merenti", na rewersie natomiast wizerunek królowej Jadwigi według portretu Jana Matejki i napis „HEDVIGIS REGINA POLONIAE PRINCEPS LITHUANIAE et HERES RUSIAE". Tym samym uhonorowano rodzinę Lanckorońskich, szczególnie zasłużoną przez pokolenia dla miasta Krakowa.

Karolina Lanckorońska po bardzo starannym wychowaniu i wstępnym wykształceniu w domu rozpoczęła studia historii sztuki na uniwersytecie w Wiedniu. W 1926 roku, po obronie doktoratu, kontynuowała przez 7 lat w Rzymie badania nad twórczością Michała Anioła, nad sztuką renesansową i barokową. W tym czasie wyjeżdżała często na niedziele i święta do Asyżu. Młoda doktorantka tak relacjonowała swoje wycieczki: „Celem moim był leżący w połowie zbocza kościół i klasztor S. Damiano, miejsce sławne z dziejów obojga, tak Franciszka, jak i Klary. Do niego tam przemówił krucyfiks, ona tam później gromadziła pierwsze siostry. Dziś jest to ośrodek reguły surowszej, franciszkanów w habitach brunatnych, zwanych u nas bernardynami". Lanckorońska stroniła od popularnych włoskich sanktuariów, a raczej wybierała te mniej znane: „Gdy zbliżałam się do celu, już z daleka słyszałam głosy, bo przed kościołem gromadzili się ludzie. Nie przyjechali samochodami, lecz przyszli piechotą z doliny. Byli to chłopi mieszkający bliżej czy dalej. Podczas mszy śpiewali przez półtorej godziny w swoim dialekcie. Na takiej pasterce byłam dwa albo trzy razy, zawsze jako jedyna »turystka«. Można było się skupić". Duchowa bliskość z Bogiem i docieranie do miejsc, które dla katolików miały szczególne znaczenie, jak się okazuje – były celami hrabianki. Podczas jednej z samotnych podróży podczas Wigilii dotarła do Greccio koło Rieti. Miejscowi byli zdziwieni samotną turystką, pozwolili jej odpocząć i przespać się na sianie, po czym wspólnie w jej towarzystwie udali się na Pasterkę. „Ruszyliśmy szeroką dość drogą. Ludzi przybywało, a po bokach drogi

szły trzody owiec. Dzwonki dzwoniły. Było dosłownie, jak u Łukasza. Gdy anioł kazał pasterzom pośpiesznie iść do Betlejem".

Włoskie podróże przybliżały młodej Karolinie nie tylko miejsca związane z Michałem Aniołem, którego sztukę zgłębiała, ale także rozwijały jej duchowość. Nie bacząc na trudy podróży, podążała szlakiem mistrza do Monte Luco. „W czasie wędrówki moje myśli biegły do Michała Anioła, który w tym samym okresie życia, już po stworzeniu Sądu Ostatecznego, szedł tędy, by odwiedzić ten sam erem. (…) W czasie mszy, w tej skromnej kapliczce, wewnętrzny intensywny wzrok wracał do dzieł najpotężniejszego artysty, do ostatnich rzeźb, rysunków, modlitewnych wierszy, do jego wielkiej przemiany. On, ten Tytan, przyszedł tutaj z największą pokorą, jako pielgrzym". Bernardyni doskonale znali cudzoziemkę, która zawsze sama, często w niedzielę o siódmej rano pojawiała się we włoskich eremach. Uczestniczyła we mszy, a po jej zakończeniu w skupieniu podziwiała sanktuarium i kontynuowała swoje badania nad historią sztuki.

Podczas rzymskiego etapu życia w kręgu zainteresowań i badań Lanckorońskiej pojawiał się również okres wczesnego chrześcijaństwa. W 1928 roku, po nawiązaniu przyjaźni w Rzymie z wybitnym historykiem sztuki Ryszardem Krautheimerem, hrabina zafascynowała się postacią Konstantyna Wielkiego. Jako pierwszy cesarz przeszedł na chrześcijaństwo i tym samym zakończył on politykę prześladowań chrześcijan. W 313 roku wydał edykt mediolański, proklamując swobodę wyznawania tej religii. Śledziła i skrupulatnie kolekcjonowała dzieła nie tylko z zakresu historii sztuki związanej z barokiem czy renesansem, ale także z początkami Kościoła.

Wybuch II wojny światowej zastał Karolinę Lanckorońską w Rzymie. Powróciła do Lwowa, gdzie na Uniwersytecie Jana Kazimierza kontynuowała pracę naukową. Była pierwszą w historii kobietą, która pracowała na uniwersytecie jako docent historii sztuki. Od samego początku zaangażowała się w działalność konspiracyjną oraz w pracę społeczną, niosąc pomoc innym. W styczniu złożyła przysięgę we lwowskim Związku Walki Zbrojnej. Była świadkiem eksterminacji inteligencji lwowskiej, a także masowej deportacji Polaków na Wschód. W momencie kiedy NKWD zaczęło interesować się jej osobą, w obawie przed aresztowaniem i wywózką skorzystała z możliwości wymiany ludności między okupowanymi przez ZSRR i hitlerowskie Niemcy terenami polskimi. Tym samym znalazła się w Krakowie. Intuicyjne wiedziała, że nie miałaby szans powrotu ani uzyskania pomocy przy deportacji w głąb Rosji. 3 maja 1940 roku znalazła się pod okupacją niemiecką i przystąpiła do Związku Walki Zbrojnej. Dowódca Okręgu Krakowskiego Tadeusz Komorowski przygotowywał ją do roli kuriera na Węgry i do Rzymu. Od księcia metropolity Adama Sapiehy, zaprzyjaźnionego z jej rodzinnym domem, uzyskała informację, którą miała dostarczyć do stolicy apostolskiej. Była ona skierowana do samego papieża Piusa XII i obrazowała nastroje w okupowanej Polsce, a także miała wpłynąć na zmianę stanowiska stolicy apostolskiej: „Niech Pani powie, żeby zawiadomili papieża, że fakt, iż się do Polaków w ogólnie nie odzywa, ma skutki niebezpiecznie, jeśli chodzi o nastroje antyrzymskie w Kraju. Robimy, co możemy, ale nie mamy sposobu przeciwdziałania, bo przecież jest prawdą, że się papież w tak straszliwej katastrofie w ogóle do Polaków nie odzywa. Po drugie, niech pani powie, żeby nuncjusz w Berlinie, Orsenigo, do Dachau i w ogóle do naszych księży uwięzionych nie jeździł. Jego wizyty ogromnie ich rozgoryczają, gdyż on bynajmniej nie jest bezstronny, a na domiar strasznie nietaktowny". Ostatecznie Lanckorońska nie jedzie do Rzymu skutkiem zmian, jakie zaszły na arenie międzynarodowej. Wojska niemieckie wkroczyły do Belgii i Holandii w maju 1940 roku, a miesiąc później Włochy wypowiedziały wojnę Francji.

Nie oznaczało to jednak, że nie konsultowała nadal decyzji dowódcy Okręgu Krakowskiego ZWZ z arcybiskupem krakowskim Adamem Sapiehą. Karolina Lanckorońska została przydzielona przez Polski Czerwony Krzyż do pracy charytatywnej i rozpoczęła rejestrację osób wywiezionych w głąb Rosji. W tym czasie opiekowała się chorymi jeńcami wojennymi, wracającymi z niewoli. Z polecenia dowództwa aktywnie, od 1941 roku, działała w uznawanej przez Niemców Radzie Głównej Opiekuńczej zarówno w Generalnej Guberni, jak i na Kresach. Karolina Lanckorońska organizowała pomoc zbiorowego

dożywiania w więzieniach. Z tej pomocy korzystało wówczas ok. 700–900 tys. osób rocznie. Niezłomna była postawa młodej hrabianki, która wykorzystując swoje arystokratyczne pochodzenie i powiązanie z rodziną swojej matki von Lichnovskimi, posiadając doskonałą znajomość języka niemieckiego, a także pewność siebie, ratowała życie wielu aresztowanym. Doktor Aleksandra Mianowska, po aresztowaniu i osadzeniu w 1940 roku przez gestapo na Montelupich w Krakowie, otrzymała paczkę żywnościową z olbrzymim czekoladowym sercem na pierwszym miejscu. Takich rzeczy się nie zapomina, a tym bardziej faktu, że dzięki interwencji Karoliny Lanckorońskiej po raz pierwszy władze więzienne zgodziły się na dostarczenie paczek żywnościowych.

Wiara pozwoliła jej przetrwać okres przesłuchań w więzieniu w Stanisławowie, gdzie zapadł na nią wyrok śmierci wydany przez szefa gestapo Hansa Krügera. Mimo że władze niemieckie zaakceptowały działania Rady Głównej Opiekuńczej, w województwie stanisławowskim została osądzona za nielegalną działalność. Była przesłuchiwana przez samego szefa gestapo Hansa Krügera. Nie złamał on Lanckorońskiej, która podkreślała cały czas swoją polskość. Była świadkiem okrucieństw, jakie popełniał: egzekucji na podwórzu, maltretowania więźniarek i przetrzymywanie jej samej w ciemnicy. Nadsłuchując z celi licznych straceń więźniów, w ciszy modliła się: „Zrozumiałam wreszcie, o co chodzi; wyciągnęłam swój krzyżyk z Asyżu i zaczęłam się i ja modlić za tych, którzy za chwilę staną przed tronem Bożym". Dostosowała się do życia, jakie na co dzień toczyło się w celi. Niosła wsparcie innym kobietom. Wieczorami, by uciec od więziennej rzeczywistości, odbywały się śpiewy w celi, które wspomina: „Śpiewały wszystkie – Polki i Ukrainki, inteligentki i prostytutki. Ulubioną pieśnią pani Kordyszowej było *Jezu, Jezu uczyń z nami cud.* Mocnym głosem, z wiarą równie mocną, ta prosta kobieta, fizycznie do ostatka wyczerpana, prowadziła chór i prowadziła nas wszystkie, bo nie było wśród nas jednej, która by przed nią nie chyliła czoła".

Podczas jednego z przesłuchań Hans Krüger był pewien, że niebawem Lanckorońska zostanie zlikwidowana i, triumfując nad nią, przyznał się do zamordowania profesorów lwowskich uczelni i ich rodzin. Ona sama pewna, że idzie na śmierć, prosiła współwięźniarki o modlitwę. Los okazał się dla Lanckorońskiej łaskawy. Jej wyrok śmierci został uchylony dzięki interwencji włoskiej rodziny królewskiej. Decyzją samego Himmlera została przewieziona do więzienia we Lwowie, gdzie była przesłuchana przez komisarza SS Waltera Kutschmanna w sprawie zamordowania lwowskich profesorów. Raport został przesłany do Berlina. Świadectwo okrutnej zbrodni na polskim środowisku naukowym, które było jej bliskie, miało decydujący wpływ na determinację, by przetrwać i przekazać ją światu. Każdego dnia od chwili aresztowania prof. Karolinę Lanckorońską umacniała modlitwa. Odmawiała po łacinie *Magníficat* i w ten sposób dziękowała za wszystko, co w życiu otrzymała:

Wysławia dusza moja Pana,
ponieważ wielkie rzeczy mi uczynił,
ponieważ stworzył mnie,
ponieważ dał mi bardzo piękne życie,
ponieważ zesłał na mnie tę straszliwą
udrękę
i dał moc ducha, by można było ją znieść…
i ponieważ raczył posługiwać się mną
jako narzędziem Swojej sprawiedliwości.

Następnie przewieziono ją do Berlina, by ostatecznie, 9 stycznia 1943 roku, osadzić w niemieckim obozie koncentracyjnym Ravensbrück. Nadano jej nr obozowy 16076. Wszystkie Polki na blokach wiedziały o przybyciu prof. Karoliny Lanckorońskiej. Została bardzo szybko wprowadzona w szczegóły życia obozowego, liczono, że uda się jej przetrwać obóz i przekazać świadectwo w kraju. „… tu strzelają Polki za sprawy polityczne i tylko Polki. Tak samo Polki są królikami próbnymi. Tu przyjeżdża lekarz ortopeda prof. Gebhardt (…) i przeprowadza na Polkach, politycznych wyłącznie, ciężkie operacje eksperymentalne. Niektóre ofiary już umarły: inne, jest ich sześćdziesiąt kilka, są kalekami do końca życia. Prawie same młodziutkie dziewczyny, wszystkie mają ogromne blizny na nogach". Kiedy Lanckorońska przybyła do obozu, była świadkiem, że „króliki" były doglądane i pielęgnowane. Wcześniej, jak relacjonowały współwięźniarki, pokaleczonymi po operacji

Karolina Lanckorońska w mundurze Polskich Sił Zbrojnych

kobietami nikt się nie opiekował, nie miały nawet wody i tylko same ratowały siebie nawzajem. Dlatego, kiedy Profesor została poproszona przez młode, głodne wiedzy Polki o możliwość organizacji w całkowitej konspiracji „wykładów", nie odmówiła. Pierwsze z nich dotyczyły malarstwa z okresu wczesnego średniowiecza, malarstwa katakumbowego. Jak istotne było to zajęcie podczas życia obozowego, świadczy jej relacja: „Dawałam więc lekcje prywatne, tj. uczennice przychodziły pod blok wieczorem, gdy już było ciemno, lub wieczorem spacerowałyśmy razem, podczas gdy im opowiadałam dzieje Rzymu lub tłumaczyłam kulturę średniowiecza. Przede wszystkim zaś »wykładałam« historię renesansu dwa razy w tygodniu u »królików«. Chodziłam więc tam regularnie i czerpałam siły z poczucia, że jestem znów choć trochę użyteczna…". Często wykłady odbywały się podczas apeli obozowych, które trwały bardzo długo. Pozwoliły one młodym kobietom choć na chwilę uciec od obozowego piekła. Więźniarki stały po 10 osób, a Pani Profesor stała pośrodku i opowiadała niezwykle szczegółowo historię malarstwa. Opisywała bardzo precyzyjnie z kolorem i kształtem. Miała niewiarygodną pamięć, o czym przekonała się prof. Wanda Półtawska, zwiedzając w przyszłości europejskie muzea. Bardzo imponowała młodym dziewczynom, gdyż była damą, ukształtowaną, wykształconą, obytą w świecie przez częste podróże. Nigdy nie pokazywała swoich uczuć i umiała nad nimi panować nawet w obozie. Władze obozowe liczyły się z nią nie tylko ze względu na tytuł hrabiowski, ale ze względu na doskonałą znajomość języka niemieckiego. W momencie kiedy Niemcy zorientowali się, że Lanckorońska jako więzień specjalny znajduje się na ogólnym bloku obozowym, natychmiast upozorowali jej rzekome zwolnienie, a następnie przenieśli do izolatki, gdzie funkcjonowała pod zmienionym nazwiskiem Frau Lange. Współwięźniarki nie wierzyły w prawo łaski ze strony władz obozowych i na odchodne dyskretnie wręczyły Lanckorońskiej miniaturowy krzyżyk z wiszącym na nim Chrystusem. Został on wyrzeźbiony scyzorykiem z rączek od szczotek do zębów. Ten sam krzyżyk wisiał nad łóżkiem hrabianki, kiedy podjęła głodówkę i zażądała powrotu do obozu. Była zdeterminowana. Uzyskała informację przed wizytą z Berlina szefa Wydziału do Polskich Spraw Politycznych, że mimo że jest niewinna i wstawia się za nią włoska rodzina królewska, obozu nie opuści. Za wiele wiedziała, co było jednoznaczne z wyrokiem śmierci, który w wyniku pogorszenia się stosunków włosko-niemieckich mógł przyjść w każdej chwili.

Mając dostęp do prasy i książek nadesłanych z kraju, pod pretekstem, że niebawem opuści bunkier, nadała raport szyfrem w słowniku polsko-łacińskim, który dotarł do gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego. Używając 180 słów pisała o „królikach", czyli o młodych kobietach, na których Niemcy przeprowadzali operacje medyczne na

kościach i mięśniach nóg, a także dokonywali wycięcia kości dla ciężko rannych żołnierzy Wehrmachtu. Wspominała też o egzekucjach, o postawie Polek w obozie, jak i o nowo wybudowanych 14 bunkrach. Meldunek, a raczej świadectwo tego, co naprawdę się dzieje w niemieckim obozie koncentracyjnym Ravensbrück, trafił do generała Bora-Komorowskiego w listopadzie 1943 roku. Ostatecznie opuściła bunkier i jako sztubowa została przydzielona do bloku Armii Czerwonej, gdzie przebywało 500 kobiet. Z samego sekretariatu dociera do niej informacja, że zgodnie z rozkazem Himmlera pod żadnym pozorem nie może wrócić na polski blok. Nie ustaje w niesieniu pomocy nie tylko Polkom w obozie, ale też przybyłym z „walczącej Warszawy" ciężarnym kobietom. Udaje jej się pozyskać od władz obozowych mleko, argumentując, że przybyłe kobiety są ewakuowane i „nie są jak my zbrodniarkami".

Na innym bloku, gdzie była sztubową, nieufne w stosunku do innych, a najbardziej do siebie, sowietki obserwowały Lanckorońską, która nosiła krzyżyk na sznurku pod sukienką. W tych trudnych warunkach obozowych wiele poszukiwało wiary, by mieć nadzieję na przetrwanie obozowej rzeczywistości. Jedna z kobiet zapytała Lanckorońską, kiedy były same: „Pani Karlo, wy religiozna? (…) Tak, jestem wierząca, nie zawsze nią byłam. (…) Wyciągnęłam malutki krzyżyk z postacią Chrystusa. (…) A to wasz Bóg? – zapytała. – Nie, to tylko jego obraz. – A jak nie Bóg, to po co go nosicie na sobie? – Przecież wiesz, że nas tu prawdopodobnie wszystkie zabiją. (…) Widzisz, jak będę umierać, będę to trzymać w ręku i na to patrzeć. (…) Wreszcie ona odezwała się do mnie prawie szeptem: Życie musi być łatwiejsze z tym niż bez tego". Więźniarki z innych bloków narodowościowych lgnęły do Polek, gdyż te podtrzymywały silnie życie religijne. Do obozu dwukrotnie przemycono po 50 konsekrowanych hostii, które dostarczał ksiądz francuski. Karolina Lanckorońska, odpowiadając za blok Francuzek, które były delikatne i często umierały, przed przeniesieniem ciała z bloku składa ich ręce w znak krzyża. Była atakowana przez komunistki innych narodowości. Ona spokojnie odpowiadała: „Nie ma na świecie rzeczy ważniejszej i jest wielkim szczęściem wiedzieć, co ten znak mówi. Cisza. Stały bez ruchu, jakby piorunem rażone, wpatrzone we mnie z przerażeniem. (…) od tego czasu Leichenkolonne odnosiła się do mnie z największym respektem, nie bez większego lęku". Kiedy natężała się liczba transportów, najważniejszą czynnością, w której Karolina Lanckorońska uczestniczyła, było ukrywanie chorych przed selekcją, tym samym chroniła kobiety przed śmiercią.

5 kwietnia 1945 roku, opuszczając Ravensbrück z grupą Francuzek, na odchodne usłyszała od przedstawiciela władz obozowych, że jest dobrym człowiekiem, ale bardzo wojowniczym. Reakcja Lanckorońskiej na te słowa była natychmiastowa: „(…) jeśli miłość ojczyzny jest dowodem wojowniczości, to jestem wojownicza". Zaraz po zwolnieniu dostarczyła prezesowi Międzynarodowego Czerwonego Krzyża listę „sióstr", które w zaistniałej sytuacji politycznej do kraju nie mogły powrócić, gdyż były „skompromitowane u bolszewików". Wiele z kobiet, które zostały wywiezione przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż do Szwecji, gdzie trafiły z obozu Ravensbrück, zawdzięcza hrabiance życie. Lanckorońska wiedziała, do czego sowieci są zdolni, że nie oszczędzą nawet kobiet, które wróciły z obozu, a które nie akceptują nowej władzy w Polsce. Przekazała również listę 60 operowanych doświadczalnie kobiet, które zostały odnalezione i objęte pomocą przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż w Genewie.

Dotychczasowy świat Lanckorońskiej przestał istnieć. Po wojnie prof. Karolina Lanckorońska, wiedząc, że nie może powrócić do kraju, a miejsca, które kochała (Lwów czy Rozdół) znalazły się poza granicami Polski, z niewoli niemieckiej przez Szwajcarię dostała się do Rzymu. Podjęła współpracę z 2. Korpusem Polskim generała Władysława Andersa jako oficer prasowy. Otrzymała zadanie do wykonania i organizowała studia wyższe dla 1300 zdemobilizowanych polskich żołnierzy. W listopadzie 1945 podpisała wraz z ks. prałatem Walerianem Meysztowiczem akt założycielski Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie. Wsparła go finansowo i została jego dyrektorem. Instytut zajmował się przede wszystkim wydawaniem źródeł dotyczących historii Polski, znajdujących się w archiwach zagranicznych.

Podczas spotkania z Janem Paweł II Karolina Lanckorońska dokonała wręczenia I t. „Acta Nuntiaturae Poloniae". Fot. ze zbiorów PAU, numer inwentarza: AN.KIII.150.678

Karolina Lanckorońska, głęboko wierząca, była daleka od dewocji. Przywiązana do łacińskiego rytu liturgii, w niedziele i święta uczestniczyła w mszy trydenckiej. Gdy nie mogła już chodzić, co czwartek odwiedzał ją z Eucharystią ksiądz od św. Stanisława. Z tym polskim kościołem związana była w Rzymie. Mieszkała tam na stałe, aktywnie uczestniczyła w licznych uroczystościach. Często wracała do wspomnień, jak przyjaciel jej rodzinnego domu, książę metropolita Adam Sapieha, został mianowany przez papieża Piusa XII kardynałem. Kapelusz kardynalski otrzymał 23 lutego 1946 w bazylice św. Piotra w Watykanie. Była świadkiem, jak w kościele S. Francesca Romana na samym Romanum, zaskoczyły Sapiehę słowa kapłana, które Lanckorońska doskonale zapamiętała: „(…) zapewnił o modlitwach. Za szlachetny naród polski, w którego obronie Wasza Eminencja bohatersko trwa. (…) Tego się Sapieha nie spodziewał we Włoszech w lutym 1946 roku. Podniósł głowę i patrzył żywo na mówcę. Ostry profil pod purpurowym biretem przypominał mi w tej chwili portrety św. Karola Boromeusza".

11 lat później, w Rzymie, w 1957 roku, papież wręczył innemu polskiemu kardynałowi kapelusz kardynalski. Prof. Karolina Lanckorońska, obecna w Wiecznym Mieście, tak zapamiętała dzień „wzięcia w posiadanie" bazyliki S. Maria in Trastevere przez Stefana Wyszyńskiego: „(…) stała się rzecz w Rzymie wręcz niesłychana: w kościele nabitym tłumem Włochów panowała zupełna cisza! Przecież nie rozumieli, gdy mówił do Polaków »tych obecnych i tych, którzy są daleko«, że »wraca na posterunek, by dać świadectwo prawdziwe, uczuciem, słowem, czynem, a jeśli trzeba – krwią«. Nie wiedzieli, że do kwestii gotowości na śmierć powrócił jeszcze dwukrotnie, i nie mogli wiedzieć, jak bardzo to przemówienie licowało z miejscem, w którym było wygłoszone, z kościołem, którego początki sięgają okresu prześladowań chrześcijaństwa".

Naukowa działalność prof. Karoliny Lanckorońskiej w Rzymie była szczególnie bliska i doceniana przez Jana Pawła II. Lanckorońska, podobnie jak św. Karol, pilnie pracowała dla dobra Kościoła. Licznymi darowiznami i stypendiami wspierała polską naukę i kulturę. Z jej inicjatywy Polski

Uroczystość nadania Orderu Świętego Grzegorza Wielkiego Karolinie Lanckorońskiej. Fot. ze zbiorów PAU, numer inwentarza: AN.KIII.150.1316

Instytut Historyczny w Rzymie przystąpił do kontynuacji edycji akt nuncjatury polskiej. Kosztowne dzieło gromadzenia i wydawania źródeł z archiwów watykańskich podjęto jeszcze w okresie rozbiorowym. Seria obejmująca listy i dokumenty wytworzone przez nuncjuszy papieskich w Polsce, a także pisma do nich adresowane jest obliczona na 60 tomów. 5 stycznia 1989 roku w Rzymie prof. Karolina Lanckorońska uroczyście na ręce papieża Polaka wręczyła I tom *Acta Nuntiaturae Poloniae*.

Lanckorońska w sposób szczególny ceniła sobie przyznanie przez Ojca Świętego Jana Pawła II, w uznaniu jej zasług dla kultury i Kościoła w Polsce, Krzyża Komandorskiego Rycerskiego Orderu Świętego Grzegorza Wielkiego. Uroczystość nadania odbyła się w apartamencie papieskim w Watykanie 12 czerwca 1998 roku. Odznaczenie zostało wręczone prof. Karolinie Lanckorońskiej z okazji 100. urodzin i było podsumowaniem pełnego poświęceń życia dla ojczyzny i rodaków. Dość często powtarzała, że za długo żyje. Jej pokolenie dawno odeszło i nie ma przyjaciół, ale dopóki przebywa w Rzymie papież Jan Paweł II, to i ona może tam być. Interesowała się działalnością papieża rodaka, którego spotykała osobiście m. in w czasie tradycyjnych audiencji opłatkowych przed Bożym Narodzeniem. Prof. Wanda Półtawska, wracając do wspomnień, kiedy miała przyjemność obcować z profesor Karoliną Lanckorońską podczas mszy u Jana Pawła II w Watykanie, wspomina, że Lanckorońska prowadziła rozmowy z Papieżem nie tylko teologiczne, ale często dotyczące bieżącej sytuacji politycznej w kraju i na świecie.

Prof. Wanda Półtawska odwiedzała również Lanckorońską w jej rzymskim mieszkaniu, kiedy ta była już na wózku. Po głosie rozpoznawała swojego rozmówcę. Mimo że już nie widziała, z pomocą asystentki nadal pisała artykuły. Prof. Wanda Półtawska wspomina, z jak wielką cierpliwością i z wielkim spokojem Lanckorońska znosiła ostatnie lata swojego życia. Pokazywała innym, czym jest godna starość. Tym kolejnym etapem życia zamykała wszystkie „karty", porządkując całą spuściznę kultury materialnej i nie materialnej, jaką pozostawił po sobie ród Lanckorońskich. W ostatnich wieczornych rozmowach z przyjaciółmi

wracała do uczniów z Emaus, którzy prosili zmartwychwstałego Chrystusa, aby od nich nie odchodził. Wtedy modliła się po łacinie słowami „Mane nobiscum, quoniam advesperascit, et inclinata est iam dies (*Zostań z nami, bo ma się ku wieczorowi i dzień się nachylił*). Zgodnie z jej życzeniem, ta modlitwa została umieszczona na pamiątce obituralnej wydanej na okoliczność jej pogrzebu. Jeszcze za życia zadbała, by w jej grobie na rzymskim cmentarzu Campo Verano znalazła się garść ziemi z polskich Kresów. 25 sierpnia 2002 roku otoczona troskliwą opieką i w spokoju modlitwy odeszła do domu Pana. Msza żałobna za duszę zmarłej została odprawiona w kościele św. Stanisława w Rzymie. Jej współpracownik i przyjaciel, Mieczysław Paszkiewicz, pożegnał Karolinę Lanckorońską pisząc: „(…) odeszła, wierzę do lepszego miejsca niż ta, tu, nasza ziemia. Ale poeta powiedział – Non omnis moriar – nie wszystko (ze mnie) umiera. Prawda: pozostaje pamięć. Trwać będzie tak długo, jak długo żyją świadkowie. I dłużej, dużo dłużej. (…) Myślę, że kiedyś przypomni sobie Zmarłą Norwidowy »późny wnuk«, a przypomni nie tylko z podziwem, ale i z sympatią". Zgodnie z ostatnią wolą Pani Profesor, po jej pogrzebie w Rzymie został uruchomiony rachunek i żałobnicy zamiast kwiatów składali ofiary na konto Fundacji Jana Pawła II przeznaczone na kształcenie młodzieży z krajów Europy Środkowo-Wschodniej, zwłaszcza z terenów byłego Związku Radzieckiego. Do samego końca wyznaczała sobie cel, który jest realizowany po dziś dzień.

Prof. Karolina Lanckorońska, przebywając w zróżnicowanych pod względem wyznaniowym środowiskach, obcując z ludźmi różnych kultur, potrafiła zachować postawę otwartości i szacunku dla innych, nie gubiąc silnej więzi z obrządkiem rzymskokatolickim. Od najmłodszych lat na jej życie wywierali wpływ święci – św. Jadwiga czy św. Karol Boromeusz, którzy byli obecni również w życiu jej rodziny. Podczas studiów w Rzymie, podążając za Michałem Aniołem, wędrując po pustelniach zakonnych, odkrywała samą siebie w ciszy i w skupieniu. Okres okupacji, działalność w konspiracji, pobyt w obozie koncentracyjnym ugruntowały jej relację z Bogiem, kiedy każdego dnia mogła stracić życie. Nie bacząc na konsekwencje, niosła pomoc, działając w obozowej konspiracji. Dzięki niej okaleczone przez liczne eksperymenty medyczne młode kobiety mogły uciec od potwornej rzeczywistości obozowej w świat sztuki. Zabierała je na wycieczki po rzymskich muzeach, a wiele z nich po latach przyznało, że świat, który stworzyła, pomógł im przetrwać. Z pełnym poświęceniem wspierała rodaków. Poprzez swoją działalność dobroczynną i organizowane stypendia umożliwiła rozwój naukowy wielu osobom. Swój majątek przekazała na rzecz polskiej kultury i nauki, niczym św. Karol czy św. Jadwiga, wpływając na jej rozwój. W ostatnim swoim wywiadzie podkreślała, „(…) że arcydzieła są największą szkołą narodu. (…) Wszystko co moje jest polskie. Chodzi mi o to, aby mój naród wszedł bardziej w obszar artystyczno-myślowy Europy. (…) Wspólnota wyraża się przez największe wartości – w sztukach pięknych, w sztuce pisania, w innych przejawach kultury. To najszlachetniejszy wyraz narodowości". Największe dzieła z rodzinnej kolekcji Lanckorońskich zdobią Zamek Królewski na Wawelu, Zamek Królewski w Warszawie czy wiele innych polskich instytucji.

Ostatni rzymski rozdział jej życia to szczególna relacja z św. Janem Pawłem II, który był inspiracją dla prof. Karoliny Lanckorońskiej do pracy naukowej na rzecz Kościoła. W swojej naukowej misji nie zapominała o rodakach w kraju, których wspierała finansowo podczas stanu wojennego, podczas powodzi 1997 roku, wysyłając paczki dla rodzin z lekami. Jej misja, służba bliźniemu wypełniła jej życie od wczesnych lat młodzieńczych po kres. Duchowy portret prof. Karoliny Lanckorońskiej w dzisiejszych czasach powinien być szczególnie przypominany. Kryło się za nim nie tylko przywiązanie do wartości chrześcijańskich, ale wielka siła kobiety, która opierała swoje wartości na honorze, ojczyźnie i miłości do drugiego człowieka. Jak wspominała prof. Wanda Półtawska, niewiele osób rozumie, czym jest ojczyzna, a prof. Karolina Lanckorońska doskonale to wiedziała. Ona sama podczas przemówienia wygłoszonego z okazji wręczenia Wielkiego Krzyża Orderu Polonia Restituta 27 czerwca 1991 roku w ambasadzie polskiej w Rzymie podkreśliła: „Czy oddanie wszystkich swych sił temu, co się najbardziej kocha, jest zasługą? Myślę, że nie".

Adam Wierciński

Dyskretny erudyta

Prezentujemy fragment książki *Dyskretny erudyta. O pisarstwie Stanisława Wasylewskiego* pióra dra Adama Wiercińskiego, pochodzącego z Wileńszczyzny, związanego z Uniwersytetem Opolskim. Jej drugie wydanie ukazało się w 2018 roku nakładem Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. E. Smołki w Opolu. Tom zawiera eseje poświęcone wybitnemu pisarzowi, eseiście, krytykowi literackiemu, tłumaczowi i dziennikarzowi Stanisławowi Wasylewskiemu (1885–1953) urodzonemu w Stanisławowie. Po II wojnie światowej mieszkał dwa lata w Krakowie, skąd przeniósł się do Opola. (JMP)

Pisał Stanisław Wasylewski dużo i zajmująco, niektórym wydawało się pewnie, że i z łatwością, że bez większego nakładu pracy powstawały rokokowe cacka znajdujące tylu wdzięcznych czytelników. Początki pisarskie Wasylewskiego były trudne, zaczynał jako filolog, *badacz owadzich nogów* – jak żartował kiedyś Poeta z uczonych; jego pierwsze teksty były, jak zauważyli życzliwi, przyciężkie, martwili się tym i dziwili; kiedy na seminarium prof. Józefa Kallenbacha przyszły stylista złożył rozprawkę *„Upiór", apokryf Byrona w Polsce i za granicą* – recenzent, dr Jerzy Koller, *ubolewał, że nieporadność wysłowienia, nieudolność wprost nie pozwoliła autorowi uwydatnić ciekawych szczegółów, wydobytych ze starych czasopism. Życzliwy mi wicekustosz Ossolineum, gdzie już tkwiłem, Bronisław Czarnik, sam ciężkopis nieprawdopodobny, ubolewał nad moim kulawym stylem. „Jaka szkoda – mawiali inni – szukać umie doskonale, pisać ani w ząb. Żeby to miał pióro tak ostre, jak ma język".*

Publikował pierwsze teksty w „Pamiętniku Literackim", gdzie – wspomni po latach – *pisać należało i wyrażać się w ramach obowiązującego przyszłych docentów szablonu i żargonu. Ani o włos nie wykroczyć poza jego srogie regułki.*

Pod kopułą lwowskiego Ossolineum, gdzie w latach 1905–1910 przesiadywał często jako stypendysta i asystent Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, przyszły pisarz czytał zachłannie, szperał i zachwycał się drukami sprzed lat; to stamtąd wyniósł kapitał na późniejsze, jakże płodne literacko lata.

Tam nauczył się szacunku dla źródeł, poznawał uroki zamierzchłej przeszłości, uczył się odczytywać wczorajsze znaki. We wstępie do *Przypadków Króla Jegomości* poprosi czytelnika o wyrozumiałość dla świadków i uczestników życia dworskiego w XVIII wieku: *Sztuka życia wytwornego nie zwykła chadzać w parze ze sztuką wytwornego pisania. Ujawnią za to wdzięk inny, przemiły: wdzięk bezpośredniości i urok antycznego słowa. Starali się być zawsze interesującymi, więc i teraz nudzić nie chcą. Wydawca zebrał z mało znanych lub też zupełnie zapomnianych pamiętników współczesnych ustępy barwne i zajmujące, starając się, by stanowiły zwartą całość dla siebie, by powstał stylowy, żywy, o ile możności obraz życia obyczajowego i towarzyskiego w epoce rozbiorów od wstąpienia na tron Stanisława Augusta aż po ostatnie upokarzające lata petersburskie.*

Dzięki wiedzy, jaką posiadł, z taką swobodą, z takim znawstwem i wdziękiem będzie później odbywać podróże w czasie – do epoki stanisławowskiej, do początków XIX wieku, a nawet do średniowiecza, i podróże w przestrzeni; jak swobodnie się poruszał po Warszawie kilku epok, po Wielkopolsce jemu współczesnej i dziewiętnastowiecznej, po Śląsku jako historyk, etnograf i reporter, po Lwowie wreszcie, któremu tyle sercem pisanych stronic poświęcił. Wrażliwość językowa, imponujący słuch językowy, nie bez przyczyny ogłosi wybór felietonów *Na końcu języka* (1930), jak przyzna: *najpracowitszą chyba i najlepszą z moich książek, gawędę o językach, którymi mówi Polska.*

Pisał dużo i pięknie. Był mistrzem małych form: felietonu, szkicu literackiego, portretu, miniatury; cykle miniatur, felietonów i esejów, ułożone ze smakiem, łączył w cykle,

całości w wycinkach. Jakże często miały formę niewymuszonej gawędy. Jego pisarstwo – tłumaczył Jerzy Kwiatkowski – *jest zbiorem uroczych, kunsztownych, lekko żartobliwych i lekko stylizowanych miniatur. Ale zwraca w nim także uwagę trafny, niedający się złudzić pozorom, sąd historyka i – wyrozumiałego, ale jednak – moralisty.*

Umiejętność opowiadania łączył pisarz z erudycją. Próbował oswoić przeszłość, zrozumieć racje ludzi żyjących tyle lat temu, zachęcić do podróży w czasie wrażliwego czytelnika. Pisał w swojej drugiej ważnej książce, zbiorze szkiców *Na dworze króla Stasia* (1921): *Wsłuchajcie się w rytm menueta, usłyszycie zaś odgłosy może kroków miękkich… Idą, „pachnąc wonnemi spirytusy". Zalotny fircyk Zabłockiego, Papkin Fredrowski z artemizją i markiz z obrazu Fragonarda, podglądający wdzi*ęki bujającej *na huśtawce grande damy; marszałek Rzewuski pyszni się pierwszą w Polsce manicurą, szambelan Kownacki ma sto par pantalonów, a zasię imć Poniński, ten sam, który upodlił się do ostatka, pudruje smycz chartów swoich przed wyjazdem do kniei… I wiele, wiele nazwisk z dworu króla Stasia. Ludzie ze sztychów Le Prince'a i Chodowieckiego zeszli z obrazu. Orzechowe peruki i watowane biusty senatorskie, malowane brwi i miniaturowe zarękawki labusiów. Bohaterowie satyr Krasickiego, ozdobni, jak książka safianowa, misterni, jak mahoniowy kantorek prababki, gładcy, wonni i uśmiechnięci proszą – o przebaczenie. Albowiem nie wiedzieli, co czynią.*

Portretował ludzi sprzed lat, portretował damy z wczoraj i z przedwczoraj, ożywiał je i uwieczniał; potrafił oddać nastrój, smak i barwy minionego czasu, osnuć przeszłe zdarzenia mgiełką melancholii, zadumać się nad przemijaniem; żartem a czasem i ciepłą ironią bronił się przed sentymentalizmem. Pisał o nim żartobliwie Kornel Makuszyński: *Mam wrażenie, że gdyby wielkie ówczesne damy mogły przeczuć narodziny Wasylewskiego (który musiał się urodzić w bibliotece, a obwijano go w rękopisy) byłyby mówiły tylko szeptem i na osobności, a nigdy nie byłyby pisały listów.* Wasylewski dbał o tło, wyławiał umiejętnie mówiące szczegóły, wczuwał się – co podziwiał nawet Stefan Żeromski – w minione czasy, starał się częściej świadczyć, osądzał rzadziej.

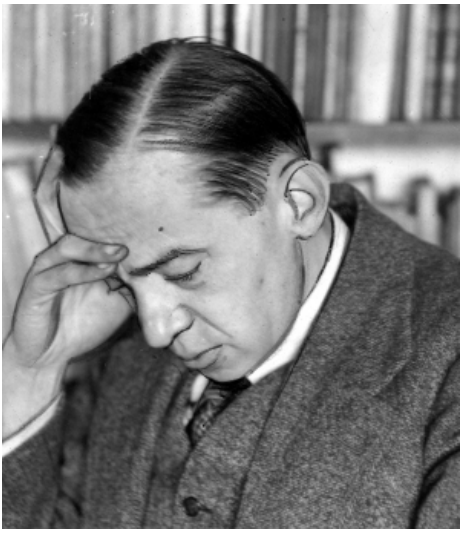

Stanisław Wasylweski, źródło: NAC

Zwracał się do swoich bohaterów z czasów stanisławowskich: *Umieliście sobie bujnie życie urządzić*, *doskonale posiadłszy sztukę marnowania czasu, a święte pozostało dla was tylko jedno hasło:* Après nous le déluge [*Po nas choćby potop* – markiza de Pompadour w liście do Ludwika XV w 1757 roku – przyp. A.W]. *Można by was nawet i lubić za lekkomyślną, barwistą linię hedonizmu, gdyby nie to, żeście w złym, bardzo złym czasie do Rzeczypospolitej zjechali. I gdyby nie zarzut Katarzyny, że za tanio Polskę sprzedaliście…*

Był Wasylewski wybitnym znawcą polskiego obyczaju, znakomicie wyczuwał różnice regionalne, obyczajowe i językowe, kreślił ze znawstwem portrety rzeczowych, co to o *zaśpotem* myśleli, Wielkopolan, czupurnych, serdecznych i roztajojkowanych Lwowian, i melancholijnych „Anglików znad Niemna", czyli Polaków litewskich. Kiedy wydał *Na dworze króla Stasia*, tłumaczył czytelnikom, że autor *zostawił na uboczu zarówno historię polityczną, jak dzieje oświaty i literatury, a starał się wyzyskać materiał wyłącznie pod jednym, mało dotąd uwzględnianym kątem: kultury towarzyskiej i obyczajowej wieku oświecenia*.

Ze znawstwem pisał o architekturze i krajobrazie, o Warszawie, Poznaniu i Lwowie. Od ogółu do szczegółu. We Lwowie przypominał na przykład – *Nowsze badania wykazują, że Lwów był w XVIII wieku najważniejszym obok Warszawy ośrodkiem*

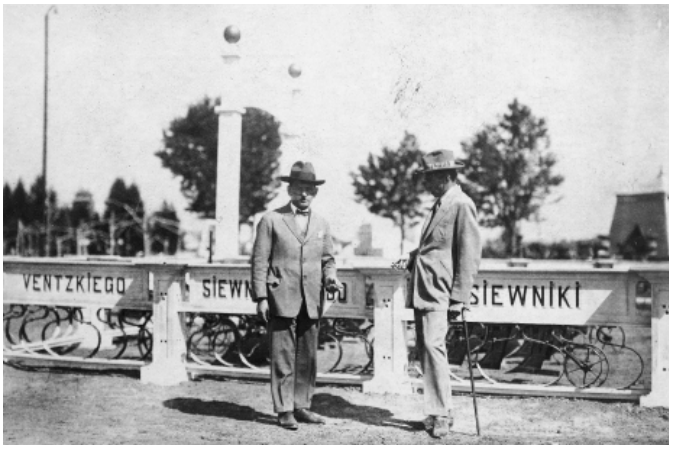

Henryk Grosman i Stan Wasilewski, Targi Wschodnie 1929 r, źródło: NAC

sztuki rzeźbiarskiej. Dziełem artystów miejscowych są posągi w podziemiu Dominikanów, wspaniała ambona w kościele św. Mikołaja, a wreszcie słynny posąg św. Jerzego na frontowej attyce cerkwi św. Jura. Zasięg wpływu lwowskich warsztatów rzeźbiarskich był dość znaczny. Spotykamy je nie tylko w miasteczkach okolicznych, ale wszędzie na Ziemi Czerwieńskiej od Przemyśla po Buczacz.

Wywodził się z Galicji Wschodniej, ze Stanisławowa, gdzie się urodził, ze Stryja, gdzie chodził do gimnazjum (Tadeusz Fabiański we wspomnieniu o Kazimierzu Wierzyńskim napomknął: *prócz Stryja było w Galicji więcej prowincjonalnych miast, jednak żadne z nich nie wydało takiej czwórki jak K. Makuszyński, S. Wasylewski, W. Horzyca i K. Wierzyński*), potem i gimnazjalny, i uniwersytecki Lwów, tam początki dziennikarskie i literackie, tam wreszcie niezwykła popularność; potem Poznań od 1927 roku do 1939, Lwów pod dwiema okupacjami w latach 1939–1944, Nowy Sącz, Kraków powojenny, tam rok więzienia za winy niepopełnione, i od 1947 do śmierci w 1953 – w Opolu. We Lwowie mieszkał na Łyczakowie. W Opolu, kilkaset metrów od miejsca pierwszego pochówku pisarza (cmentarz na ulicy Wrocławskiej), przy placu Jana Kazimierza, zamieszkali po wojnie przesiedleńcy z Łyczakowa… Może znalazł się wśród nich i ten nieznajomy, który w 1940 roku, kiedy w sowieckim już Lwowie wystawiano w polskim teatrze *Zemstę*, powstrzymywał Wasylewskiego, kiedy ten chciał przed czasem opuścić przedstawienie (poszedł po raz drugi tylko po to, by podziwiać Mieczysława Węgrzyna w roli Papkina):

– Ta coś tyż! Nie bądź pan frajer. Trza zostać.

Styki kultur, pogranicze polsko-ukraińskie i polsko-niemieckie, próbował pisarz zrozumieć racje wielu stron, zachwycał się brzmieniem słów, mieszkał raz tam, gdzie mówią „purządny", kiedy indziej tam, gdzie – „porzundny", tłumaczył, skąd się biorą różnice językowe, wskazywał na osobliwości językowe Polski wschodniej i zachodniej: *Język mówiony Wielkopolan jest w ogóle z innej gliny ulepiony.* Trześnie *kwitną u nich, a nie* czereśnie*, a wszystkie* czeredy, hałasy i czerepy *wydają się tu czymś, co nie rośnie na ich glebie językowej. Bo też są w istocie małoruską pożyczką na weksel, którego zachodnia Polska nie podpisywała.*

Poznaniak i w dziedzinie językowej także jest antytezą Mazura. Tamten ekspansywny, rad się rozpycha łokciami powszędy, on woli u siebie w domu.

Umiał pisarz słuchać, zajmująca wydawała mu się polszczyzna Antków warszawskich i lwowskich przekupek, język salonów i przedmieść, ciekawe naloty niemieckie i ruskie (ukraińskie), tłumaczył, skąd u Wielkopolan wąskie *e* i przydechowe *th*, rozprawiał ze znawstwem o zasięgu określonych cech fonetycznych i tropił odmiany regionalne: *Niby głupstwo – Mickiewicz* konczył i tanczył, *i nigdy mu się wargi nie złożyły do* tańczenia *i* zakończenia.

Gdy w głośniku radiowym usłyszę głos księdza śpiewającego Paterh nosterh*, wiem, że transmisja jest z tumu poznańskiego, kazanie z Wilna opowie mi natomiast* o końcu swiata. Jigły *są w Warszawie i* jizby, *które się gdzie indziej zupełnie* jinaczej *nazywają*. *Kraków dlatego nie jest Warszawą, bo nie ma tam* laurek *imieninowych ani* krawatów (*nawet prof. Rozwadowski nosi* krawatkę), *ani* cytrynowej kiełbasy*, a* składki *miesięczne nazywają się* wkładkami.

Antonina Obrębska w recenzji ogłoszonej w „Języku Polskim" (1930, z. 6), zwró-

ciła uwagę na to, że Wasylewski, rozprawiając o języku, stara się być obiektywny: *międzydzielnicowe zróżnicowania językowe, nieuniknioną hegemonię stolicy i udział wybitnych pisarzy w niwelowaniu tych różnic omawia z bezstronnością, na którą, przyznać trzeba, nie zawsze stać i uczonych, ludzi w myśl haseł obiektywnego badania najbardziej chyba do tego powołanych.* Napomknęła też o kompetencjach pisarza: *Z felietonów jego widać* sumienne o*czytanie w popularnej naukowej literaturze lingwistycznej.* […] W państwie lingwistów orientuje się swobodnie i z dużą trafnością ocenia ich stosownie do ich *zasług i roli w językoznawstwie*.

Pisarstwo Wasylewskiego, tak samoswoje, atrakcyjne dla kilku pokoleń czytelniczych, cenione również przez znawców literatury i kultury (Juliusz Wiktor Gomulicki napisał o nim: *wykwintny stylista, rozmiłowany w barwnym* życiu *obyczajowym doby Oświecenia, które z wielkim talentem i z wielkim nakładem pracy starał się odtworzyć w swoich szkicach i sylwetkach historycznych*), wywodzi się z pogranicza literatury i nauki; pisarz łączył kult faktu z polotem; znajomość epoki, umiejętność wczuwania się w psychikę ludzi z przeszłości, dar odczuwania historii, smak literacki, podróże w czasie, solidne badania źródłowe (vide: przypisy do szkiców zebranych w tomie *Na dworze króla Stasia*; takiego aparatu naukowego nie powstydziłby się solenny badacz z tytułami naukowymi), wszystko to nie przeszkadzało literackości, umiał widać pisarz łączyć erudycję badacza z widzeniem artysty. Interesowała go kultura wysoka i popularna. I obrzeża. Ludwik Fiszer, wydawca i księgarz, wspominał, jak to w czasie spotkań w redakcji „Szczutka" powstał plan wydania utworów klasyków polskich, które ze względów obyczajowych nie były dotąd drukowane oficjalnie: *Stanisław Wasylewski wyraził gotowość opracowania antologii takich utworów i po pewnym czasie zgromadził ich ponad sto. Były to dzieła Trembeckiego, Naruszewicza, Węgierskiego i innych. Zbiór ten zatytułował: „Dostojne świństwa, cnotliwych uszu niegodne"* […] *Materiały do tej książki Wasylewski zebrał w Ossolineum we Lwowie. Dużo ciekawostek dostarczył mu Ludwik Solski*.

„Dostojne świństwa" nigdy się nie ukazały, gdyż Wasylewski po przeniesieniu się do Poznania zmienił się nagle zasadniczo – widocznie wpłynęły na to atmosfera poznańska, no i małżeństwo z młodą i urodziwą kobietą. Pod pierwszym lepszym pozorem wycofał ode mnie rękopis – nigdy mi nie zwrócił, twierdząc, że był to wybryk jego młodości. Do najwybitniejszych *smakoszów i znawców literatury swawolnej* zaliczył Roman Kaleta

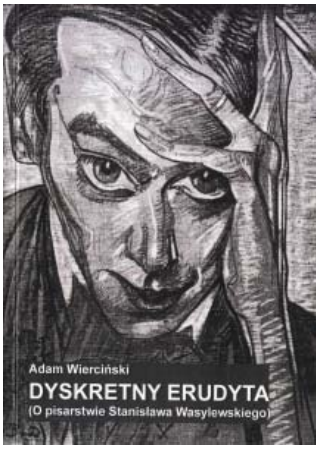

Wasylewskiego. *W Sensacjach z dawnych lat* (wyd. 4, Warszawa 2009) przypomniał*, że był twórcą opracowanej po pierwszej wojnie światowej z niemałym nakładem sił i czasu, acz niezrealizowanej drukiem, antologii polskiej poezji obscenicznej*…

Dyskretna erudycja nie obciążała tego pisarstwa, literacka forma nie przeszkadzała w rekonstrukcji wczorajszych form bytowania. Kiedy Wasylewski zaczął odchodzić od filologii, kiedy zaczął ogłaszać szkice literackie, zauważył wtedy Wilhelm Feldman: *teraz żywy jego umysł przerzucił się na pole essayu z dziedziny literatury i historii, w powabną formę zamykając treść poważnych studiów źródłowych.*

Dbałość o realia, szacunek dla źródeł i uroda słowa. Piękny to stop, tak rzadki w polskim piśmiennictwie (nadmiar w nim nudnych erudytów i uroczych dyletantów, i dziś jeszcze, jak narzekała niedawno Maria Janion, u nas *panuje przekonanie, że nauka musi być hermetyczna, niedostępna, nie może mieć w sobie czegoś z artyzmu. Istnieje u nas stare bizantyńskie tabu tekstu prawdziwie „naukowego", tymczasem na Zachodzie nauka to wolność i wyobraźnia)*. Tyle razy pisał o tym Janusz Tazbir, martwił się on rozbratem między literaturą a historią: *barwny i frapujący styl, jak i samo korzystanie w pracach naukowych z literatury pięknej uznano na przełomie XIX i XX stulecia za sprzeczne z rygorami warsztatu badawczego, przechodząc (głównie pod wpływem historiografii niemieckiej) do suchego wykładu, o którego uczoności miała świadczyć możliwie duża ilość przypisów*. Marceli Kosman

pisał o książkach Karola Szajnochy, Ludwika Kubali i innych historyków XIX wieku, że mogą być zaliczane i do historiografii, i do eseistyki. Do nich porównywał historyk (sam bliski i nauce, i literaturze) Wasylewskiego: *Wszyscy oni byli utalentowanymi ludźmi pióra, warsztatowo zaś reprezentowali kolejne pokolenia pisarskie w większym lub mniejszym stopniu związane z profesją historyka* […] – *ci starsi ledwie wyszli z dość liberalnie nastawionych wobec źródeł czasów romantycznych, młodsi przeszli szkołę hiperkrytycyzmu z drugiej połowy ubiegłego stulecia* [tzn. XIX]. *Należał do nich oczywiście Wasylewski. Miał w swoim dorobku m.in. szkołę dokumentacyjną, ponieważ jako stypendysta Ossolineum musiał przygotować bibliografię polskiej literatury i krytyki literackiej dla „Pamiętnika Literackiego" za 1904 r.*

Wasylewski pisał po swojemu, jego pisanie było różnie przyjmowane. Kiedy pisarz ofiarował prof. Szymonowi Askenazemu *Romans prababki*, gdzie znalazło się i odkrycie, o którym nie mieli pojęcia gabinetowi historycy, Askenazy przestrzegał utalentowanego autora, próbującego z takim powodzeniem uprawiać eseistykę: *Ale niechże się pan przypadkiem nie łudzi, że kościół oficjalny, że parnas naszych historyków użyczy panu poparcia. Nigdy! Oni są impotentami i zwalczać będą pańskie rzeczy, bo tak pisać nie potrafią, albo dla zasady. Z pospolitej zawiści. Gdyby się pan urodził we Francji albo w jakiejś Jugosławii, wtedy całkiem co innego…*

W przedmowie do *Życia polskiego w XIX wieku*, pisanego przez lata (już w 1936 roku książka była złożona do druku w Wydawnictwie Polskim, miała się ukazać, jak i *Lwów*, w serii „Cuda Polski"), tyle razy poprawianego i uzupełnianego, wydanego już po śmierci pisarza, znalazło się kilka ważnych dopowiedzeń; przyznawał autor: *przebiegałem pod kątem życia obyczajowego rozliczne, odlegle od siebie dziedziny historii politycznej, polonistyki, historii sztuki, krajoznawstwa.* […] *Miewaliśmy i mamy dziś znakomitych mniej i więcej syntetyków naszej kultury – brak nam fachowych znawców realiów jej obyczaju.* […] *Ambicją moją było zawsze gromadzenie takich kamyczków-realiów składających obraz całości potocznego życia. Ważne, uroczyste wydarzenia starałem się naświetlić chociażby anegdotą, która w moich opowiadaniach była ważniejsza niż dokument z pieczęcią*.

Czytajmy piękne książki Stanisława Wasylewskiego, dyskretnego erudyty i znakomitego pisarza, szczęśliwego szperacza, czasem uczącego, bawiąc, tak dbałego o więź emocjonalną z czytelnikiem, tak umiejętnie wiążącego tyle czasów i tyle przestrzeni.

Bibliografia

Tadeusz Fabiański, *Ze wspomnień*, [w:] *Wspomnienia o Kazimierzu Wierzyńskim*, zebrał i opracował Paweł Kądziela, Warszawa 2001.

Wilhelm Feldman, *Współczesna literatura polska 1864–1918*, wstęp napisała Teresa Walas, t. 2, Kraków 1985.

Ludwik Fiszer, *Wspomnienia starego księgarza*, Warszawa 1959.

Juliusz Wiktor Gomulicki, *Aleje czarów. Spacery, sylwety, zagadki i zwierzenia literackie*, Warszawa 2000.

Historia powinna uczyć krytycyzmu. Z profesorem Januszem Tazbirem rozmawia Irena Janowska, „Nowe Książki" 2012, nr 4, s. 4–8.

Marceli Kosman, *Stanisław Wasylewski, Paweł Jasienica i Marian Brandys – triumf eseistyki historycznej w Polsce*, „Zeszyty Naukowe Wyższej Szkoły Zarządzania i Bankowości w Poznaniu", R. 3:1998, nr 2 (4), s. 167–193.

Jerzy Kwiatkowski, *Dwudziestolecie międzywojenne*, Warszawa 2000.

Kornel Makuszyński, *Prześliczna książka*, „Świat" 1927, nr 18, s. 4.

Antonina Obrębska, [Recenzja felietonów *Na końcu języka*], „Język Polski" 1930, z. 6, s. 181–184.

Przypadki Króla Jegomości. Opowieści ludzi współczesnych, zebrał i przedmowę napisał Stanisław Wasylewski, Kraków 1957.

Sensacje z dawnych lat, wyszukał i skomentował Roman Kaleta, wyd. 4, Warszawa 2009.

Janusz Tazbir, *Literatura piękna* – źródło niedocenione, [w:] idem, *Polska na zakrętach dziejów*, Warszawa 1997.

Stanisław Wasylewski, *Czterdzieści lat powodzenia. Przebieg mojego życia*, Wrocław 1959.

Stanisław Wasylewski, *Na dworze króla Stasia*, wyd. 2, Lwów–Poznań 1921.

Stanisław Wasylewski, *Lwów*, Poznań [1931].

Stanisław Wasylewski, *Na końcu języka*, Wrocław 1957.

Stanisław Wasylewski, *Życie polskie w XIX wieku*, opracował, przedmową i przypisami opatrzył Zbigniew Jabłoński, Kraków 1962.

Karolina Grodziska

Lwowska i nowosądecka. Dwie Piety Janiny Reichert-Toth

W trzynastotomowej Wielkiej Powszechnej Encyklopedii PWN, dziś już mającej walor jedynie historyczny, a w owym czasie będącej istotną pomocą badawczą, mimo jej wszelkich mankamentów, ogromnej czujności cenzury i uważnie dobieranych (także: pomijanych) haseł i – autorów, w tomie ósmym, opublikowanym w 1966 r., znajdujemy pięciowersowe hasło: Pieta. Nie sądzę, by w tymże czasie można było na nie natrafić w encyklopediach innych państw demokracji ludowej…

Hasło jest nader zwięzłe. Zawiera źródłosłów: włoskie słowo pieta, czyli miłosierdzie, oraz objaśnia, że jest to w sztukach plastycznych przedstawienie boleściwej Marii z martwym Chrystusem na kolanach. Dalej, że Pieta należy do przedstawień dewocyjnych, które pojawiły się w XIV wieku, a rozpowszechniły w XV i XVI.

Tyle. Żadnej wzmianki o najsłynniejszej Piecie, dziele Michała Anioła, czy o tzw. pięknych Pietach z XV w., popularnych w tak licznych krajach Europy. Żadnego zdjęcia. Sama esencja, ale dobrze, że zamieszczono chociaż tak krótkie hasło, bo przecież w owym czasie programy szkolne historii czy wychowania plastycznego nie uwzględniały ani symboli, ani historii słynnych przedstawień religijnych. Wydaje się jednak, że ten właśnie symbol pozostawał ponadczasowy i powszechnie rozpoznawalny, nawet w czasie tak niesprzyjającym.

Uniwersalny symbol: matka, opłakująca zmarłego syna. Zrozumiały i czytelny w tak wielu kulturach i epokach. Z ołtarzy i przedstawień kościelnych w epoce nowożytnej przeniósł się na cmentarze, stając się cenionym motywem sztuki nagrobnej. Tak wiele matek, tak wielu rodziców traciło przecież swoich synów, w czasie pokoju i podczas wojen, pragnienie, by dać świadectwo swojej rozpaczy w ten piękny i poetycki sposób, było zatem oczywiste. Nic więc dziwnego, że przedstawienie Piety podejmowali zarówno rzeźbiarze, jak i kamieniarze.

Janina Reichert-Toth (1895–1986), rzeźbiarka, której najbardziej twórczy czas przypadł na lata międzywojenne we Lwowie (ukraiński badacz, Jurij Biriulow, określił ją jako najbardziej utalentowaną rzeźbiarkę lwowską w czasach II Rzeczypospolitej, a krakowski uczony, Piotr Krasny, jako najwybitniejszą przedstawicielkę art deco w rzeźbie lwowskiej lat dwudziestych XX wieku), z tematem Piety mierzyła się parokrotnie, czego wynikiem były rzeźba z 1925 r. i pomnik z 1954, a także szereg powojennych modeli i szkiców do niezrealizowanych pomników.

Wykonana w 1925 r. gipsowa Pieta eksponowana była na wystawie Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych we Lwowie w 1927 r. Malarstwo reprezentowali na niej Iwan Trusz i Antoni Bartkowski, architekturę – Józef Awin, grafikę – Leon Wyczółkowski, a rzeźbę Janina Reichert. Młoda i prawie nieznana artystka przedstawiła 20 rzeźb

Pieta, 1925. Eksponowana 1927 r.

Pomnik poległych w Nowym Sączu (1950–1954)

w gipsie, drzewie, glinie i alabastrze oraz dwa szkice ołówkowe. Oprócz portretów, masek dekoracyjnych i modeli figur ołtarzowych widzowie mogli oglądać także wykonaną z gipsu Pietę, jedną z czternastu prac przeznaczonych na sprzedaż i wycenionych przez artystkę na niebagatelną wówczas kwotę 200 złotych.

Inny projekt Piety, nigdy niezrealizowany, wykorzystujący tę samą figurę Maryi

Prace młodej rzeźbiarki przyciągnęły powszechną uwagę i zdobyły wiele pozytywnych ocen. Chwalili je wówczas znani krytycy artystyczni: Artur Schroeder, Władysław Terlecki, Artur Lauterbach i Władysław Kozicki. Ten ostatni zachwycił się szczególnie właśnie Pietą i Lotnikiem – gipsowym modelem pomnika. Pisał o nich na łamach „Słowa Polskiego" co następuje:

„To są dzieła, przed którymi trzeba nisko zdjąć kapelusz: jest w nich ogromna, niesłychanie skromna prostota, a zarazem wielka monumentalność i majestat. W pierwszej kompozycji majestat bólu macierzyńskiego, wyrażony niezwykle wzruszającym i po rzeźbiarsku wydatnem oparciem umęczonej głowy na martwej piersi syna, w drugiej majestat zdobywczego geniuszu ludzkiego. […] Oba te dzieła wielkim głosem domagają się wcielenia w szlachetny materiał, w marmur lub brąz".

Nie wszyscy jednak w tym samym stopniu docenili Pietę. Może była zbyt nowatorska? Smukła, mocno pochylona figura Marii miała ukrytą twarz, o jej rozpaczy świadczył sam gest, oparcie czoła o nagą pierś zmarłego… Recenzent, ukryty pod inicjałami M.K.M. napisał w „Wieku Nowym", iż Pieta „jest trochę za śmiała w anatomicznych dowolnościach rzeźby, która waha się między stylizacją a realizmem".

Wystawa z 1927 roku stała się punktem zwrotnym w karierze Janiny Reichert, która mogła po niej zrezygnować z pracy nauczycielskiej i poświęcić się wyłącznie rzeźbie. W późniejszych omówieniach prasowych jej twórczości parokrotnie właśnie zdjęcia Piety reprodukowano. W 1930 r. Mieczysław Sterling na łamach „Wiadomości Literackich" poświęcił jej sporo uwagi, postrzegając Pietę w kontekście tak niedawnych wydarzeń historycznych z lat 1914–1920:

„Przez całe dzieło rzeźbiarki przebija miłość, ta sama, która z twórczości Orzeszkowej uczyniła dzieło sztuki – miłość kobiety i myśliciela. Uczuciowość jej obejmuje życie z dwóch przeciwległych krańców i wydaje takie rzeźby jak *Pieta* i *Niewolnicy*. *Pieta* – kobieta klęcząca nad trupem młodego chłopca, przywarta do niego czołem opuszczonej nad nim głowy i objęciem dłoni – miała być ostatnim aktem wielkiej płaskorzeźby, wyobrażającej tragedię wojny. *Pieta* – to matka pochylona nad synem, dwie postacie symbolizujące chrześcijaństwo i tragedię wojny, dwie postacie symbolizujące ofiarę dla idei. Wielekroć powtarzano ten temat, nigdy w tym ujęciu ideowym, nigdy w tym zestawieniu grupy. Odnaleziono tu ruch najbezpośredniej wyrażający bezsiłę matki bohatera, którego ofiara jest dla niej święta, ale tyleż bolesna, co święta".

Z żalem trzeba powiedzieć, że nie udało mi się ustalić dalszych losów tej rzeźby. Czy została przez kogoś zakupiona? Czy posłużyła jako model nagrobka na nieistniejącym już grobie, na którymś z tak okrutnie potraktowanych przez historię cmentarzy polskich na Kresach? A może jeszcze wypłynie z głębin jakiegoś muzealnego magazynu, jako zakurzone, anonimowe dzieło? Niestety, gipsy są bardzo kruche, więc niewielkie mamy na to szanse… Na szczęście pozostał obszerny materiał zdjęciowy, w tym także i fotografia pierwszego modelu Piety.

Blisko trzy dekady później, w innym mieście – Krakowie, i w innym, dużo trudniejszym czasie, bo w stalinowskiej Polsce, Janina Reichert powróciła do tematu Piety. Tym razem pracowała w zespole, który tworzyli jej mąż Fryderyk Toth, inżynier Zbigniew Wzorek i Antoni Biłka. Zlecenie otrzymali w 1950 roku; miasto Nowy Sącz zlecało im wykonanie Pomnika Poległych zgodnie z projektem, zatwierdzonym uprzednio (22 grudnia 1949)

Projekt Piety

przez Ministerstwo Administracji Publicznej. Umowę podpisano 23 maja 1950; miasto Nowy Sącz reprezentowali przewodniczący Powiatowego Komitetu Opieki nad Grobami Poległych Antoni Wolff i inżynier Zenon Marian Remi, architekt powiatowy w Nowym Sączu w latach 1945–1961. Tu dodajmy, że był on absolwentem Politechniki Lwowskiej, zatem z Janiną i Fryderykiem łączył go właśnie – Lwów.

Dwa ostatnie przed wojną monumentalne pomniki autorstwa Janiny Reichert-Toth nie zdążyły stanąć na swych miejscach. To *Oracz* – pomnik ku czci Marii Konopnickiej, przeznaczony do Parku Kilińskiego, i mierząca 5,60 m statua biskupa Władysława Bandurskiego na dawny plac Cłowy, przemianowany w 1933 r. na plac Bandurskiego. To było apogeum jej twórczości, jednak gotowe już pełnowymiarowe modele uległy zniszczeniu podczas wojny. Zniweczyło to największe dotąd sukcesy Janiny Reichert-Toth. W chwili wybuchu wojny 44-letnia rzeźbiarka skazana była bądź to na prace w duchu socrealizmu (w tym rzeźby o tematyce sportowej, zgodne z panującą ideologią), bądź na dzieła o tematyce antywojennej, jak kompozycja *Widmo wojny*, znana też pod tytułem *Niemiec idzie*. W czasie niemieckiej okupacji Lwowa artystka nie podejmowała żadnych tematów.

Pomnik poległych w Nowym Sączu, prace montażowe (1954). Na zdjęciu widoczni Janina i Fryderyk Tothowie

W połowie 1946 r. Janina i Fryderyk ekspatriowali się do Krakowa. Nowe życie nie było łatwe, a powrót do monumentalnej rzeźby pomnikowej w nowych warunkach politycznych i w mieście, w którym tworzyło wielu znakomitych artystów, był wręcz niemożliwy. Decyzje w sprawach prestiżowych realizacji pomnikowych na miejscach straceń i terenach obozów koncentracyjnych zapadały wedle określonego klucza w Warszawie. Artystka wykonała wówczas szereg projektów pomników ofiar terroru niemieckiego lub pomników partyzantów. Żaden z nich nie doczekał się realizacji, znamy je jedynie z fotografii, jednak warto o nich pamiętać, gdyż niektóre wykorzystywały właśnie motyw Piety, czasem mocno odległy, jak ten wariant pomnika partyzantów, w którym postać poległego młodzieńca jest podtrzymywana przez stojącego mężczyznę.

Na swoistą ironię losu zakrawa fakt, iż jedyne otrzymane przez Tothów w latach 1949–1950 zlecenia pomnikowe dotyczyły Pomnika Wdzięczności w Jarosławiu oraz dwóch pomników na cmentarzach Armii Czerwonej w Sierpcu i Bolęcinie. Dlatego też otrzymane w 1950 r. od miasta Nowego Sącza zlecenie stało się dla nich obojga źródłem dumy i prawdziwej artystycznej satysfakcji.

Oczywiście w żadnym dokumencie z tego czasu nie padło słowo: Pieta, bo też paść nie mogło. Padały nazwy: najpierw Pomnik poległych, a w finalnej umowie z 1953 roku – Pomnik Walki i Męczeństwa w Nowym Sączu. Ideą pomysłodawców pomnika było przecież upamiętnienie ponad 20 000 mieszkańców Sądecczyzny, którzy zginęli z rąk Niemców podczas okupacji. Pomnik zlokalizowano na starym cmentarzu przy alei Wolności, przy grobach ofiar straceń w Biegonicach, Rdziostowie, nad Kamienicą i innych. Uroczystego i mocno nagłośnionego odsłonięcia pomnika dokonano 3 października 1954 r. Na cokole umieszczona została inskrypcja:

ZIEMIA SĄDECKA SWOIM SYNOM
POLEGŁYM W WALCE Z FASZYZMEM
O WOLNOŚĆ I NIEPODLEGŁOŚĆ
OJCZYZNY 1939–1945

W dokumentacji i w relacjach prasowych powtarzały się określenia: pomnik, posąg, figura, grupa figuralna. Dla wszystkich Nowosądeczan było jednak oczywiste, że artyści nawiązali właśnie do Piety. Maria opłakująca Syna była zarazem Polską, opłakującą swoich poległych synów. Ale ta Pieta wyraźnie różni się od poprzedniej rzeźby. Siedząca, nieco wychylona ku przodowi postać, podtrzymująca ciało martwego syna, ma współczesne ubranie, gołą głowę i gładko sczesane do tyłu włosy. Rysy pięknej twarzy są trochę surowe, świadczą o jej wieku i doznanym przez nią bólu. Patrzy nie na zmarłego, ale prosto przed siebie, na widza, jakby wyglądała – czego? Może sprawiedliwości? A może po prostu – pamięci?

Dziś, po latach, ten pomnik funkcjonuje już pod tą najbardziej oczywistą, piękną nazwą: *Pieta Nowosądecka*.

* * *

Te dwie rzeźby Janiny Reichert-Toth, tak silnie związanej ze Lwowem i Krakowem – liczącą prawie sto lat zaginioną lwowską *Pietę* i mający obecnie 68 lat ceniony pomnik w Nowym Sączu – przypominam w pełnym smutku czasie, gdy motyw matki opłakującej poległych synów stał się tak boleśnie żywy na Ukrainie.

Antoni Wilgusiewicz

Katedra łacińska we Lwowie – cztery monografie

Lwowska katedra to jeden z najsłynniejszych kościołów dawnej Rzeczypospolitej, znany w historii Polski przede wszystkim ze ślubów króla Jana Kazimierza złożonych tu przed obrazem Matki Bożej Łaskawej 1 kwietnia 1656 roku. Katedra przetrwała liczne burze dziejowe; nawet w czasach programowej ateizacji czasów sowieckich prowadzono w niej działalność duszpasterską, a dziś wraz z towarzyszącym jej niezwykłym zabytkiem architektury – Kaplicą Boimów – stanowi centrum życia religijnego dla lwowskich katolików – nie tylko o polskich korzeniach – oraz nieustanny obiekt zainteresowania znawców sztuki i zwykłych turystów.

W związku z ukazaniem się najnowszej monografii katedry pod tytułem *Bazylika Metropolitalna obrządku łacińskiego we Lwowie. Dzieje – architektura – wspólnota* opracowanej przez Ryszarda Frączka i przygotowanej do druku przez jego Wydawnictwo Scriba w Raciborzu, sięgnąłem do dawniej wydanych monografii, z których pozycję klasyczną stanowi napisana przez Maurycego hr. Dzieduszyckiego i wydana we Lwowie przez X.O. Hołyńskiego w roku 1872 książka *Kościół katedralny lwowski obrządku łacińskiego* (dostępna w formie reprintu z 1989 roku). Podkreślając fakt, że jest to pierwsza szczegółowa monografia tego znakomitego kościoła gotyckiego, autor wykorzystał wszelkie dostępne mu źródła, a także wydaną wcześniej przez siebie biografię arcybiskupa Wacława Sierakowskiego – stąd wiele miejsca poświęca wysoko cenionej przez siebie działalności tego arcypasterza na polu przeobrażenia i unowocześnienia katedry. Działo się to w latach 1760–1780 (rok śmierci arcybiskupa, kiedy to Lwów znajdował się już pod panowaniem austriackim). Burzliwy początek XIX wieku oznaczał między innymi dla katedry dwukrotny – w latach 1807 i 1810 – zabór na potrzeby wojska jej cennych naczyń i innych przedmiotów o znaczeniu liturgicznym, których zachowane wykazy autor zamieszcza. Niemniej jednak pozostała ona w posiadaniu pewnej liczby cennych przedmiotów – w tym szat kościelnych, sięgających XVI wieku – które autor wymienia w końcowej części pracy. Formułuje też kilka wniosków, z których najważniejszy z pewnością w naszych czasach jest spełniony, co spotkałoby się z jego uznaniem – chodzi o wzmocnienie kultu Matki Bożej Łaskawej w Jej cudownym obrazie, który zdaniem autora w XIX wieku wyraźnie osłabł.

Wyrazem docenienia historycznej i artystycznej roli lwowskiej katedry w dziejach naszego narodu stało sie wydanie w 2004 roku książki – a w zasadzie albumu – pod tytułem *Katedra Lwowska obrządku łacińskiego* z fotografiami Krzysztofa Hejke i tekstem wybitnego historyka sztuki Jerzego T. Petrusa. Inicjatorem wydania był nieodżałowanej pamięci Andrzej Przewoźnik, ówczesny Przewodniczący Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, a obok niego wstępem opatrzył pracę kardynał Marian Jaworski, także już nieżyjący metropolita lwowski. W syntetycznym wstępie pod

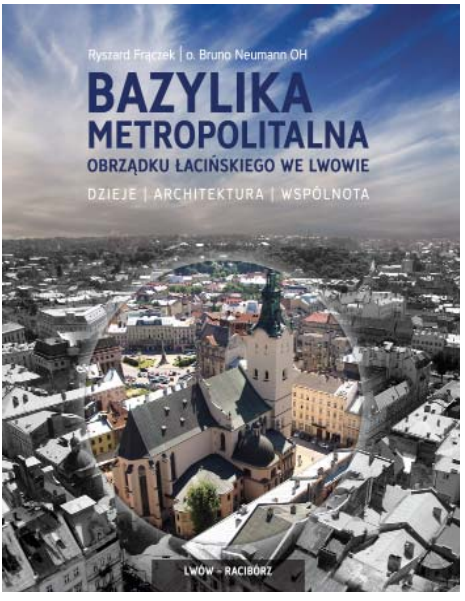

charakterystycznym tytułem *Czas zatrzymany* Jerzy T. Petrus omawia dzieje i główne zabytki katedry, zwracając szczególną uwagę na jej znaczenie w dziejach naszego narodu, czego symbolem są Śluby Lwowskie króla Jana Kazimierza. Pokazuje także trudny okres po II wojnie światowej, zakończony jednak odnową metropolii lwowskiej, czego widomym przejawem było nawiedzenie katedry przez Jana Pawła II w 2001 roku. Znakomite artystyczne fotografie Krzysztofa Hejkego przybliżają nie tylko zabytki i szczegóły architektoniczne kościoła, lecz także obrzędy tam odbywane, jak msza święta i chrzest w Wielkiej Zakrystii.

Popularny charakter ma przeznaczone dla pielgrzymów i turystów (nie tylko polskich, o czym świadczy dwujęzyczny, polski i ukraiński tekst publikacji) wydawnictwo Parafii Katedralnej pod tytułem *Kościół katedralny pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny we Lwowie. 350 lat Ślubów Jana Kazimierza we Lwowie*. Nawiązuje ono przede wszystkim do dwóch wydarzeń – wspomnianych Ślubów oraz wizyty w katedrze Jana Pawła II, która miała miejsce w dniu 25 czerwca 2001 roku. Stanowi też rodzaj uproszczonego przewodnika po katedrze, a bogatą warstwę ilustracyjną stanowią podobizny witraży katedralnych z ich krótkim opisem.

Przechodząc do wspomnianej na wstępie pracy Ryszarda Frączka, należy wspomnieć zasługi autora nie tylko na polu wydawniczym, ale też działalności społecznej – w obecnej trudnej sytuacji jest on jedną z tych osób, które najaktywniej włączyły się w pomoc Ukrainie, nie tylko na miejscu w Polsce, ale też przez wielokrotne wyjazdy charytatywne na Wschód. Pozostaje on w przyjaźni między innymi z proboszczem parafii katedralnej ks. Janem Niklem, co w znacznym stopniu ułatwiło mu realizację zamierzenia wydawniczego, o którym mowa. Konsultantem naukowym albumu był ksiądz profesor Józef Wołczański, a finansowego wsparcia udzieliła Kancelaria Prezesa Rady Ministrów oraz Fundacja Pomoc Polakom na Wschodzie. Zdjęcia wykonali obok autora tekstu o. Bruno Neumann OH (wymieniony na okładce) i dwaj inni autorzy. Rangę publikacji podnosi obszerny wstęp autorstwa ordynariusza lwowskiego, ks. abpa Mieczysława Mokrzyckiego; słowo wstępne napisał wspomniany ks. Jan Nikiel. Osobny, obszerny rozdział najnowszej książki-albumu poświęcono obrazowi Matki Boskiej Łaskawej – Ślicznej Gwiazdy miasta Lwowa, począwszy od jego powstania w 1598 roku aż do czasów współczesnych (skomplikowane losy powojenne doprowadziły do tego, że oryginał spoczywa w skarbcu na Wawelu). Specyfiką publikacji różniącą ją od tradycyjnych jest obszerne ujęcie – obok dziejów katedry i jej architektury wraz z zabytkami (artystyczne fotografie poszczególnych ołtarzy, kaplic itp. wraz z ich krótkim opisem) – współczesnego życia wspólnoty parafialnej katedralnej w jego rozmaitych przejawach. Obok wykazu grup, chórów itp. znajdujemy tu fotografie ilustrujące różne wydarzenia z życia parafii, odwiedzanej przez ważne osobistości z Polski (jak śp. Prezydent Lech Kaczyński obecny wraz z Małżonką na uroczystościach 1 kwietnia 2006 roku). Fotografie przedstawiają także święta w ramach roku liturgicznego obchodzone w katedrze, jak Boże Narodzenie wraz z tradycyjnymi jasełkami, Triduum Paschalne, Boże Ciało; prowadzona jest też działalność charytatywna poprzez Fundację Dajmy Nadzieję ze świetlicą parafialną dla dzieci pod tą samą nazwą. Jak podkreśla ks. Jan Nikiel, katedra lwowska budzi zainteresowanie z różnych względów; są to zarówno wątki historyczno-patriotyczne, jak też wrażenia związane z pięknem architektury i dzieł sztuki tu zgromadzonych. Nade wszystko jednak katedra jest miejscem sakralnym, gdzie czci się zarówno Matkę Bożą Łaskawą, patronkę Lwowa, jak też świętych i błogosławionych – wśród nich św. abpa Józefa Bilczewskiego, którego relikwie zostały tu przeniesione z cmentarza Janowskiego. Powodem do dumy są też najnowsze losy katedry i postacie niezłomnych kapłanów z nią związanych, jak ojciec Rafał Kiernicki. Jak podkreśla abp Mokrzycki, to dzięki nim było możliwe późniejsze wznowienie prowadzonej dziś działalności duszpasterskiej w różnych jej aspektach – także charytatywnym. Zaletą opracowanego przez Ryszarda Frączka albumu jest właśnie – obok ukazania piękna katedry – połączenie chlubnej historii z jej dniem dzisiejszym i życiem skupionej wokół niej wspólnoty, także niełatwym zwłaszcza wobec epidemii Covid i obecnej wojny na Ukrainie.

Bogdan Gancarz

Gigant z Ostroga

16 maja 2022 r. parafianie nad Horyniem dziękowali za 30 lat pracy duszpasterskiej na Wołyniu ks. Witolda Józefa Kowalowa. Ów kapłan archidiecezji krakowskiej rodem z Podhala od razu po święceniach, które otrzymał właśnie 16 maja 1992 r., wyjechał na Ukrainę i uczynił tam wiele dobrego.

Ten potężny mężczyzna z długą siwą brodą, schorowany mocno, przypomina teraz bardzo postać greckokatolickiego metropolity Lwowa abp. Andrzeja Szeptyckiego. – Mógłbym grać go w filmach – śmieje się ks. Kowalów.

Kapłan wszechstronny

– Witold jest gigantem nie tylko z postury. To także gigant pracy – mówi jego przyjaciel Maciej Wojciechowski, krakowski reżyser filmów o tematyce kresowej. W trakcie swego dotychczasowego pobytu na Ukrainie rozwinął imponującą działalność: duszpasterską, społeczną, naukową i wydawniczą. Odnawiał życie religijne w parafii w Ostrogu nad Horyniem oraz sam kościół parafialny. Zamiłowany historyk, jest m.in. autorem rozmaitych prac dotyczących Kościoła na Wołyniu. W rodzinnym Białym Dunajcu na Podhalu założył Ośrodek „Wołanie z Wołynia", który prowadzi ożywioną działalność wydawniczą. Publikuje m.in. redagowany w Ostrogu przez ks. Kowalowa dwumiesięcznik „Wołanie z Wołynia" oraz książki. Na łamach dotychczasowych 161 numerów czasopisma założonego w 1994 r. ukazało się wiele cennych artykułów dotyczących przeszłości i teraźniejszości Kościoła na Wołyniu i tamtejszej społeczności polskiej, z uwzględnieniem spraw kulturalnych. W ramach założonej w 1997 r. Biblioteki „Wołania z Wołynia" ukazało się ponad 140 tomów książek – religijnych, wspomnieniowych, historycznych, literackich. Wśród nich m.in. *Wołyńskie Madonny i inne obrazy sakralne z diecezji łuckiej, poczty biskupów łuckich i kijowskich* Krzysztofa Rafała Prokopa, tomy prac ks. Władysława Bukowińskiego, „Apostoła Kazachstanu" i wspomnienia o nim, tomy reportaży Marka Koprowskiego, reedycje prac historycznych – przypomniał M. Wojciechowski, członek kapituły Nagrody „Semper Fidelis", którą w 2019 r. uhonorowano czasopismo „Wołanie z Wołynia".

Góral z rusińskim korzeniami

Urodzony w 1967 r. ks. Kowalów jest po swojej mamie Helenie z domu Stanek rodowitym góralem z Białego Dunajca. Rodowód ojca Stefana jest bardziej skomplikowany. – Moi przodkowie ze strony taty to zarówno Polacy, Rusini (Ukraińcy), jak i Czesi, Niemcy, a nawet Żydzi – mówi ks. Witold. Od dziecka ciągnęło go do Boga i do Wschodu. W domu rodzinnym miał na ścianie wyciętą z gazety reprodukcję cudownego obrazu Matki Bożej Łaskawej, patronki Lwowa. Na początku lat 80, jako kilkunastolatek, wybrał się do Lubaczowa, by pomodlić się przed tym wizerunkiem, wywiezionym w 1946 r. w trakcie ekspatriacji Polaków ze Lwowa. – Przed tym obrazem prosiłem gorąco Matkę Bożą, by dała mi łaskę udania się na Ukrainę i służenia tam Bogu – wspomina ks. Witold.

Jego nauczyciel wiary

Gdy w czasach licealnych na strychu plebanii w macierzystym Poroninie znalazł książki, czasopisma i zapiski pozostałe po tamtejszym wikarym ks. Marianie Jaworskim z archidiecezji lwowskiej, nie przypuszczał, że ich właściciel, przyszły arcybiskup metropolita lwowski i kardynał, odegra dużą rolę w jego życiu. Zetknął się z nim osobiście w 1984 r. w katedrze na Wawelu w trakcie święceń biskupich niegdysiejszego wikarego z Poronina. Przekazał mu wtedy pamiątki odnalezione na strychu plebanii. W trakcie studiów rozpoczętych w 1986 r. w krakowskim seminarium duchownym, po maturze uzyskanej w słynnym zakopiańskim liceum im. Oswalda Balzera, nadal interesował się Wschodem. Śledził odradzanie się Kościoła katolickiego na dawnych

Kresach Wschodnich, po latach prześladowań wpierw carskich a potem sowieckich. W latach 1990–1991 przyjeżdżał do Lwowa, by zbierać materiały do pracy magisterskiej o ks. Michale „Świętopełku" Głowackim (1804–1846), wikarym w Poroninie, współorganizatorze powstania chochołowskiego w 1846 r. Poznał wówczas legendarnych kapłanów, którzy pracowali na Ukrainie w czasach sowieckich i przyczynili się do odrodzenia tam Kościoła (m.in. ks. Augustyna Mednisa ze Szczerca koło Lwowa, Kurlandczyka posługującego wśród Polaków, ks. Rafała Kiernickiego, późniejszego biskupa, ks. Ludwika Kamilewskiego z katedry lwowskiej, ks. Marcjana Trofimiaka z Krzemieńca, późniejszego jego zwierzchnika jako biskupa łuckiego, wreszcie ks. Jana Cieńskiego ze Złoczowa, wyświęconego w tajemnicy na biskupa w trakcie pobytu w Polsce. W 1992 r. poprosił ks. Mariana Jaworskiego, który był już wówczas arcybiskupem lwowskim, o możność pracy w jego archidiecezji. Przeszkód nie było, także ze strony ks. kard. Franciszka Macharskiego, który zgodził się, by wyświęcony przez niego 16 maja 1992 r. w katedrze na Wawelu na kapłana młody Podhalanin pojechał na Wschód.

– Wyjechałem na początku czerwca. We Lwowie przez dwa tygodnie korzystałem z gościny w ciasnym mieszkanku abp. Jaworskiego, a potem pojechałem do Łucka. Jeszcze nieraz później cieszyłem się życzliwością tego hierarchy, m.in. gdy latach 1996–1998 pełnił obowiązki administratora apostolskiego odnowionej diecezji łuckiej. W 1995 roku poświęcił zaś przy naszym kościele Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu, odbudowaną po zniszczeniu przez sowietów kaplicę Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Pochowano w krypcie pod nią doczesne szczątki bp. Franciszka Komornickiego, który był proboszczem ostrogskim w latach 1773–1780 i sufraganem łuckim w latach 1774–1780. Przy okazji arcybiskup poświęcił także ołtarz Matki Bożej z XVIII w., pochodzący z dawnego kościoła św. Antoniego w Międzyrzeczu Koreckim. To były wielkie dni naszej parafii – wspomina ks. Witold.

Osobę kard. Jaworskiego zachował we wdzięcznej pamięci: – Po św. Janie Pawle II jest to dla mnie druga ważna postać – przewodnika, nauczyciela wiary i cierpliwego znoszenia cierpienia, świadka odrodzenia Kościoła lwowskiego – mówił w 2020 r. w rozmowie z „Gościem Krakowskim".

Proboszcz czterech parafii

Po przyjeździe do Ostroga od razu został rzucony na głęboką wodę. – Pierwszą mszę św. odprawił 16 czerwca, dokładnie w miesiąc po swych krakowskich święceniach. Przez kilka miesięcy był wikarym, a we wrześniu został już proboszczem. Zastanawiałam się wtedy, co on biedny będzie w stanie tu zrobić. Nie ma ogrodzenia kościoła, w środku świątynia praktycznie pusta po zniszczeniach z czasów sowieckich, gdy była tu szkoła sportowa, dach cieknie. Tymczasem on dbał o duchowy rozwój wspólnoty parafialnej, ale także wraz z nami doprowadzał kościół do porządku. Ani on nie miał pieniędzy, ani my, bo pensje wtedy wypłacano nam w naturze. Pomagaliśmy, jak mogliśmy. Zaczęłam mu pomagać w pracy jako sekretarz Rady Parafialnej, a potem przy redagowaniu „Wołania z Wołynia". I tak to moje zaangażowanie redakcyjne trwa do dzisiaj. Warto podkreślić, że od początku integrował także Polaków z miasta i okolicznych wiosek. To było dla nas bardzo ważne – wspomina Ludmiła Poliszczuk, z domu Kaczorowska, aktywna w działalności wspólnoty parafialnej.

Parafia pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny ma XV-wieczne korzenie. Prócz kościoła parafialnego, w Ostrogu były niegdyś również trzy klasztory katolickie: jezuitów, kapucynów i karmelitów. Miasto należało do możnego, książęcego rodu Ostrogskich. Obecny, neoklasyczny kształt architektoniczny świątynia parafialna uzyskała pod koniec XIX w. Przedwojenni parafianie zostali w 1946 r. ekspatriowani do Polski w ówczesnych granicach i kościół został zamknięty. Zaczęli jednak napływać dawni zesłańcy.

– Urodziłam się w Kazachstanie, gdzie moi rodzice byli na zesłaniu przez 12 lat. Przyjechałam wraz z nimi do Ostroga w 1948 r. jako roczne dziecko. Akurat w tym czasie kościół tutejszy został odzyskany przez wspólnotę katolicką i przyjeżdżał tu odprawiać msze św. oraz sprawować sakramenty niezapomniany o. Serafin Kaszuba. Pamiętam go dobrze. W 1958 r. został usunięty przez władze, a kościół wkrótce ponow-

Fot. Ryszard Frączek

nie zamknięto. Wierni, większość dawnych zesłańców, zbierali się po domach, aby się modlić. Potajemnie dojeżdżali kapłani. Tak trwało do 1989 r., gdy udało się odzyskać zniszczony kościół. To była pierwsza odzyskana świątynia na Wołyniu. Pierwszą mszę odprawił ks. Antoni Andruszczyszyn 12 listopada. Siedzieliśmy na ławkach, ołtarzem był stół. Potem jeździliśmy do Kijowa, do Polski, by prosić o księdza dla nas. Przyjechał ks. Władysław Czajka, a potem ks. Witold – wspomina L. Poliszczuk.

Z dawnego wyposażenia kościoła zachowały się m.in. dwie rzeźby Chrystusa i Matki Bożej dłuta znanego rzeźbiarza Tomasza Oskara Sosnowskiego, znajdujące się obecnie w Muzeum Krajoznawczym w Ostrogu, które wciąż nie chce ich zwrócić.

Potrzeby duszpasterskie były na tyle duże, że ks. Witold musiał pełnić w różnych latach także obowiązki proboszcza w Klewaniu, Zdołbunowie i Kuniowie (diecezja kamieniecko-podolska). Nie tracił żadnej okazji, by wspierać Kościół. Służyły temu m.in. wydawnictwa. Dawały mieszkańcom Ukrainy i Polski wiedzę o korzeniach katolicyzmu na Wołyniu. – Nie mam wątpliwości, że publikacje ks. Witolda o ks. Władysławie Bukowińskim przyczyniły się do beatyfikacji w 2016 r. tego „Apostoła Kazachstanu" – mówi red. Marek Koprowski, reporter, od kilkudziesięciu lat jeżdżący po Wschodzie śladami katolików i Polaków, autor bardzo wielu książek. – Godna uznania jest także niestrudzona działalność ks. Witolda w modlitewnym upamiętnianiu polskich ofiar rzezi wołyńskiej. Uważa, że bez godnego pochówku i upamiętnienia tych ofiar pojednanie polsko-ukraińskie nie będzie w pełni możliwe – dodaje red. Koprowski.

Ks. Kowalowa poznał w 1994 roku, w trakcie jednej ze swoich podróży reporterskich na Ukrainę, gdzie jeździł z ramienia „Gościa Niedzielnego". – W rezultacie dzięki niemu zainteresowałem się bliżej Wołyniem, co zaowocowało kilkudziesięcioma książkami na ten temat, wydawanymi m.in. w serii Biblioteka „Wołania z Wołynia" – wspomina red. Koprowski.

Ciężka choroba uniemożliwiła ks. Kowalowowi aktywność w dawnym wymiarze. W styczniu 2019 r. musiał przekazać parafię swemu następcy – ks. Waldemarowi Szlachcie. Mieszka jednak nadal w Ostrogu jako rezydent, nadal redaguje „Wołanie z Wołynia" i nadal, mimo że chodzi, wspierając się na kulach, i msze św. musi niekiedy odprawiać na siedząco, służy modlitewnie. Planów ma jeszcze wiele, chciałby m.in., by jego kilkudziesięciotysięczna biblioteka mogła służyć nadal wspólnocie parafialnej z Ostroga i badaczom z Polski, w chwili gdy jego nie stanie.

Tekst ukazał się uprzednio na łamach krakowskiej edycji „Gościa Niedzielnego" nr 19/2022.

Paweł Stachnik

Lwów w powieściach kryminalnych Marka Krajewskiego

Nad Starym Rynkiem wstawał świt. Różowy blask wdzierał się pomiędzy nędzne budy, w których baby zaczęły ustawiać swe kociołki z barszczem i pierogami, osiadał na bańkach z mlekiem, które żydowski handlarz targał na dwukołowym wózku z mleczarni Estery Fisch, i załamywał się na daszkach kaszkietów baciarów, którzy stali w bramach i nie mogli się zdecydować, czy pójść spać czy czekać na otwarcie pobliskiego szynku na rogu, gdzie mogliby zaspokoić bombą piwa palące poalkoholowe pragnienie. Poblask jutrzenki układał się na sukienkach dwóch dziewczyn, które – nie doczekawszy się tej nocy żadnego klienta – milcząc, wracały ze swoich stanowisk na Mostkach i znikały w bramach przy Mikołajskiej i Smerekowej, gdzie w ubogich izbach wynajmowały łóżko z parawanem. Mężczyzn, zmierzających w pośpiechu przez Wysoki Zamek do fabryki wódek Baczewskiego, różowe światło raziło prosto w oczy, lecz oni je ignorowali, wbijali wzrok w brukowaną jezdnię i przyspieszali kroku, a od ich szybkich ruchów szeleściły torebki z chlebem i cebulą, które trzymali w dłoniach[1].

Ten plastyczny opis lwowskiego poranka pochodzi z wydanej w 2009 roku książki wrocławskiego pisarza Marka Krajewskiego zatytułowanej *Głowa Minotaura*. Była to kolejna część powieściowego cyklu tego popularnego twórcy kryminałów. Kolejna, lecz nieco różniąca się od poprzednich. Jej akcja – inaczej niż w dotychczasowych książkach Krajewskiego – rozgrywała się nie we Wrocławiu (albo nie tylko we Wrocławiu), lecz w przedwojennym Lwowie. To właśnie miasto nad Pełtwią pisarz wybrał na scenerię swoich nowych powieści. Oznaczało to, że Lwów stanie się ważnym bohaterem książek wrocławskiego twórcy, bowiem miasta w jego powieściach odgrywały i odgrywają niebagatelną rolę.

Realizm retrokryminalny

Marek Krajewski zadebiutował w 1999 roku książką *Śmierć w Breslau*[2]. Była to kryminalna opowieść o mieszkającym w przedwojennym Wrocławiu (czyli niemieckim Breslau) radcy kryminalnym Eberhardzie Mocku oraz o śledztwie, jakie prowadził w 1933 roku w sprawie dziwnego zabójstwa miejscowej arystokratki. Sprawnie napisana historia, mocno nawiązująca do gatunku *noir*, oryginalny bohater, zawikłana zagadka, a także – *last but not least* – silne elementy przemocy i makabry sprawiły, że książka została dostrzeżona i zdobyła popularność. Krytycy zwracali uwagę na ciekawe i nowatorskie połączenie kryminału i historycznych realiów, pisarz bowiem nadzwyczaj starannie odtworzył topografię i atmosferę niemieckiego Wrocławia. Zachęcony takim przyjęciem autor wydał cztery lata później następną powieść o Mocku *Koniec świata w Breslau*[3] (z akcją umieszczoną w 1927 roku), a po niej jeszcze trzy kolejne ze słowem Breslau w tytule i Mockiem jako bohaterem[4]. Wszystkie odniosły sukces.

Powodzenie wrocławskiego cyklu Marka Krajewskiego zapoczątkowało w Polsce modę na kryminały retro[5]. Niebawem zaczęły się pojawiać powieści kryminalne

[1] Marek Krajewski, *Głowa Minotaura*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2009, s. 9–10.

[2] Tenże, *Śmierć w Breslau*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1999.

[3] Tenże, *Koniec świata w Breslau*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2003.

[4] Tenże, *Widma w mieście Breslau*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2005, tenże, *Festung Breslau*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2006, Tenże, *Dżuma w Breslau*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2007.

[5] Wolfgang Brylla, *Polski kryminał retro. Między innowacją, naśladownictwem a literackim kiczem*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Zielonogórskiego", seria „Scripta Humana", 2016, t. 5, s. 223–236; Adam Mazurkiewicz, *Literackie kreacje przeszłości w nurcie kryminału retro na przełomie XX i XXI wieku*, „Roczniki Naukowe Uniwersytetu Zielonogórskiego", 2019, nr 5, s. 66.

Marek Krajewski, fot. Paweł Stachnik

dziejące się zwykle u schyłku XIX wieku lub w okresie międzywojennym w rozmaitych polskich (choć wtedy niekoniecznie polskich) miastach: Warszawie, Lublinie, Poznaniu, Gdańsku, Bydgoszczy, Krakowie, Kłodzku, Grajewie[6]… Pojawiali się w nich uparci prywatni detektywni, przenikliwi komisarze i inspektorzy policji, dociekliwi adwokaci prowadzący śledztwa w sprawie morderstw, porwań, szantaży, szpiegostwa. Każde lub prawie każde miasto zapragnęło mieć swojego własnego Mocka i swój własny kryminalny cykl powieściowy. Z czasem w polskiej literaturze rozrywkowej ukształtował się cały, szeroki nurt takiej twórczości, za którego ojca słusznie należy uznać Marka Krajewskiego. Retrokryminał zdobył znaczącą popularność oraz dużą czytelniczą publiczność i mimo że od ukazania się inaugurującej go *Śmierci w Breslau* minęło prawie ćwierć wieku, nadal się rozwija. Ciągle ukazują się nowe takie książki i powstają nowe ich cykle[7].

Wróćmy jednak do Marka Krajewskiego. W 2009 roku opublikował cytowaną wcześniej powieść *Głowa Minotaura*[8], pod pewnymi względami inną niż jego dotychczasowa twórczość książkowa. Po raz pierwszy w tytule nie pojawiała się nazwa Breslau, po raz pierwszy akcja toczyła się nie tylko we Wrocławiu i po raz pierwszy Eberhard Mock nie był jedynym dominującym bohaterem. Pisarz pozwolił sobie na eksperyment i większość wydarzeń umieścił w polskim Lwowie drugiej połowy lat 30. (konkretnie w 1937 roku). Drugą zaś obok Mocka postacią główną uczynił komisarza Edwarda Popielskiego, funkcjonariusza Urzędu Śledczego lwowskiej Komendy Wojewódzkiej. Mock i Popielski razem prowadzili śledztwo w sprawie makabrycznych zabójstw młodych kobiet dokonywanych przez tajemniczego osobnika nazwanego Minotaurem. Tak narodził się nowy ikoniczny bohater retrokryminałów Marka Krajewskiego – „lwowski pulicaj" Edward Popielski, zwany Łyssym. W ten sposób autor postanowił zakończyć cykl wrocławski i rozpocząć nowy – lwowski.

Jako pierwszoplanowa i samodzielna postać Łyssy wystąpił w powieści *Erynie*

[6] Np. powieści Konrada T. Lewandowskiego rozgrywające się w przedwojennej Warszawie, Marcina Wrońskiego w Lublinie, Zbigniewa Wojtysia i Ryszarda Ćwirleja w Poznaniu, Krzysztofa Bochusa w Gdańsku, Jarosława Jakubowskiego w Bydgoszczy, Małgorzaty Kochanowicz i Maryli Szymiczkowej w Krakowie, Tomasza Duszyńskiego w Kłodzku, Grzegorza Curyły w Grajewie.

[7] Np. Mariusz Wollny, *Biały towar*, Wydawnictwo Jama, Kraków 2020, Małgorzata Grosman, *Mord na Zimnych Wodach*, Zysk i S-ka, Poznań 2020, Alfred Siatecki, *Szwindel w Grünbergu*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry – Winnica, Zielona Góra 2021.

[8] Marek Krajewski, *Głowa Minotaura*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2009.

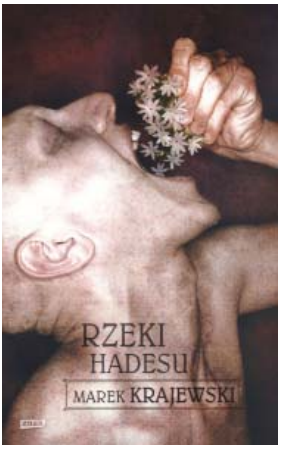

z 2010 roku (skądinąd połączonej przez autora zgrabnym literackim chwytem z *Głową Minotaura*). Popielski prowadził w niej trudne śledztwo w sprawie przestępcy brutalnie mordującego dzieci. Obok niego równoprawnym bez mała bohaterem książki było miasto, czyli żywo i barwnie opisany przedwojenny Lwów. Szczegółowe i zgodne z historycznymi realiami ukazanie „naturalnego środowiska działania policjantów" – czyli dużego miasta – to wizytówka prozy Marka Krajewskiego. Już jego wrocławskie książki zwracały uwagę wspaniałym odtworzeniem realiów, topografii i atmosfery międzywojennego Breslau (*Bohaterem jest moje miasto* – powiedział pisarz w jednym z wywiadów)[9]. Autor czerpał informacje z naukowych opracowań, przedwojennej prasy, ksiąg adresowych, dzienników urzędowych, przewodników i planów, które studiował w bibliotece Uniwersytetu Wrocławskiego. Na własnych nogach zaś przemierzał współczesny Wrocław, starając się odnaleźć ślady przedwojennej rzeczywistości – ulice, budynki, zaułki i parki, które ocalały z wojennej pożogi 1945 roku – a następnie wpasować je w fabułę swojej powieści. Efekt był imponujący: na kartach powieści Eberhard Mock odwiedzał autentyczne przedwojenne restauracje, knajpy i szynki, zamawiał w nich potrawy, które naprawdę wtedy tam serwowano, palił papierosy produkowanych wówczas marek i pił piwo warzone w ówczesnych dolnośląskich browarach. Sprawy załatwiał w rzeczywiście istniejących wówczas instytucjach z prawdziwymi adresami przy przedwojennych ulicach. Krajewski starannie odtworzył też strukturę wrocławskich instytucji bezpieczeństwa, w których pracował Mock w trakcie swojej kariery. Teraz zaś obiektem podobnych studiów stał się dla pisarza Lwów.

Do Lwowa!

Powodów, dla których akcję swojego nowego cyklu powieściowego autor umieścił we Lwowie, było kilka. Po napisaniu pięciu książek, których akcja rozgrywała się w międzywojennym Wrocławiu, Krajewski postanowił zakończyć przygodę z Mockiem i stworzyć nowego bohatera w zupełnie nowej scenografii[10]. Powieść szósta – wspomniana już *Głowa Minotaura* – miała charakter przejściowy, a jej akcja rozgrywała się i we Wrocławiu, i we Lwowie. Jak wyznał autor w jednym z wywiadów, świat przedwojennego Wrocławia w pewnym momencie zaczął go nudzić[11]. Rozpoczął więc poszukiwania nowej scenerii i wybrał Lwów. Z miastem tym Krajewski związany był rodzinnie. Jego matka pochodziła ze wsi Strzelczyska pod Mościskami, biegle mówiła po ukraińsku, a język ten był obecny we wrocławskim domu pisarza. Dziadek przed wojną pracował we Lwowie jako kelner, a wuj opowiadał Markowi wspaniałe historie o tym mieście[12]. W 2007 roku Krajewski pojechał do Lwowa na targi książki (prezentować ukraiński przekład swojej książki *Koniec świata w Breslau*) i wtedy opowieści jego bliskich o kresowym mieście stanęły mu jak żywe przed oczami. *Zobaczyłem to miasto piękne, nie zniszczone, a zatem bardzo wygodne dla autora kryminałów w stylu retro, bo wystarczy tam pojechać, wziąć ze sobą aparat fotogra-*

[9] Na ten temat zob.: Barbara Wężgowiec, *„O mieście, którego nie ma", czyli Wrocław w kryminalnych powieściach Marka Krajewskiego*, w: „Zeszyty Naukowe Towarzystwa Doktorantów Uniwersytetu Jagiellońskiego", numer specjalny 1 (1/2010), Kraków 2010, s. 124–139.

[10] Według niektórych relacji rzeczywisty powód był natury prawnej: umowa z poprzednim wydawcą, oficyną W.A.B., nie pozwalała pisarzowi na wykorzystywanie postaci Mocka w książkach pisanych dla innego wydawcy, z którym podjął współpracę (krakowskiego Znaku). Patrz: https://booklips.pl/newsy/michal-witkowski-ujawnia-marek-krajewski-zaczal-pisac-kryminaly-o-popielskim-ponieważ-poprzednia-umowa-blokowala-postac-mocka/. Dostęp: 29.03.2022.

[11] Paweł Stachnik, *Wyprawy w czasie i przestrzeni*, „Dziennik Polski" 2012, nr 163, s. 2C.

[12] *Z jego ust słyszałem o wspaniałym mieście-ogrodzie, pełnym zieleni, rozśpiewanym, w którym żyły w zgodzie obok siebie trzy narodowości*. Michał Kuźmiński, *Lwów nadał nam charakter*, https://www.tygodnikpowszechny.pl/lwow-nadal-nam-charakter-141365. Dostęp: 29.03.2022.

ficzny, notatnik i to wszystko, sceneria jest gotowa. Kierowałem się zatem względami sentymentu, wygody, a także tym, że po prostu zakochałem się w tym mieście. A akcję swoich książek umieszczam tylko w takich miejscach, które kocham, czyli Wrocławiu i Lwowie – mówił pisarz[13].

W jednym z wywiadów wyznał, że chciałby stworzyć powieść o tym mieście. Informacja ta dotarła do mera Lwowa Andrija Sadowego, który ucieszył się, że znany polski pisarz, którego książki zostały przełożone na kilkanaście języków, chce pisać o Lwowie. Sadowy zaprosił więc Krajewskiego, a ten spędził we Lwowie dwa tygodnie, podczas których intensywnie poznawał miasto. Z aparatem fotograficznym, notesem i dyktafonem spacerował po ulicach, robił zdjęcia, szukał interesujących miejsc. Wstępował nawet tam, gdzie normalnie bałby się zajrzeć. Przydzielono mu do pomocy historyków, pełnych pasji badaczy dziejów miasta, którzy wsparli go swoją wiedzą o dawnym Lwowie: Irinę Kotłobułatową, Petra Radkowca, Serhija Tereszczenkę, wspomnianego Jurija Wynnyczuka i Ilka Łemkę, skądinąd pozytywnie nastawionych do polskiej przeszłości Lwowa. I tak na przykład to dzięki Radkowcowi pisarz znalazł potrzebną mu do powieści lokalizację knajpy, w której mógł zbierać się lwowski półświatek. Przewodnik zaprowadził go na podwórko jednej z kamienic blisko kościoła Paulinów. Tam w pozbawionej okien piwnicy rzeczywiście mieścił się przed wojną ciemny i ponury lokal gastronomiczny. Na ścianie zachował się nawet pokryty pajęczynami napis z jego polską nazwą – Morska Grota. Dzięki temu odkryciu jedna ze scen *Głowy Minotaura* rozgrywa się w tym właśnie obskurnym miejscu, pełnym spoglądających na Popielskiego spode łba pijanych baciarów.

Krajewski odtworzył w powieściach także lwowski bałak. Mówią nim w jego książkach mieszkańcy Lwowa, osobliwie zaś dorożkarze, stróże, służące, robotnicy, przestępcy… Autor słyszał bałak w domu u swojej matki i odwiedzających ją lwowskich znajomych. Słyszał go też we Wrocławiu, gdzie mieszkało wielu lwowian. Korzystał ponadto z opracowań naukowych: monografii nieżyjącej już krakowskiej językoznawczyni prof. Zofii Kurzowej z Uniwersytetu Jagiellońskiego o dialekcie lwowskim *Polszczyzna Lwowa i Kresów południowo-wschodnich do 1939 roku*[14] oraz pracy czterech autorek ukraińskich *Leksykon lwowski: poważnie i żartobliwie*[15]. Ta druga publikacja była dla twórcy szczególnie przydatna, jako że uwzględniała wyrażenia wulgarne i obraźliwe, potrzebne przecież autorowi ukazującemu miejski półświatek. *Piszę kryminały, moimi bohaterami są złodzieje, prostytutki, policjanci, pijaczki. Szukam właśnie tego autentycznego słownictwa, którym mówili ci wszyscy ludzie we Lwowie lat trzydziestych XX wieku. Opisuję nie pałace arystokracji, ale knajpy, takie jak słynna knajpa u Bombacha*[16] – tłumaczył autor. Dzięki wszystkim tym staraniom możemy czytać w lwowskich książkach Krajewskiego takie choćby dialogi: *Fest my pupili za dnia, a wieczorem kac nadszyd. Z kacem trza walczyć tym samym, co? Klin klinym. – Roześmiał się do wtóru swoich kolegów. – Fajnu. Nu tam hulamy do Wacki na Zamarstynowsku, bo ona daji na borg. A tam hara si leji. Siedzą trzej atleci z cyrku, no z tego, co dawał pokaz na święta, a z nimi dwie binie, o przepraszam, dwie panny. Umalowany, wysztafirowany. A za parawanem* śmichi*, piski, krzyki… Nu powidz, Alfonek, dobrzy bałakam? – Atleta*

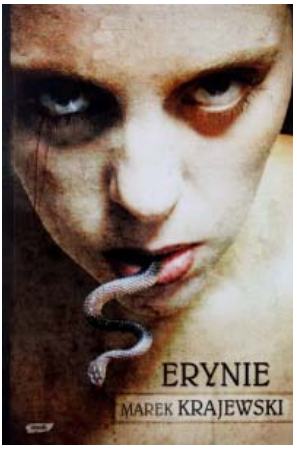

[13] Paweł Stachnik, *Ciemne uliczki, mgła nad Plantami. Rozmowa z Markiem Krajewskim, autorem powieści kryminalnych*, https://dziennikpolski24.pl/ciemne-uliczki-mgla-nad-plantami/ar/2767482. Dostęp 17.03.2022.

[14] Zofia Kurzowa, *Polszczyzna Lwowa i Kresów południowo-wschodnich do 1939 roku*, Universitas, Kraków 2006.

[15] Natalia Chobzej, Ksenia Simowycz, Tetiana Jastremska, Hanna Dydyk-Meusz, *Leksykon lwiwskyj: poważno i na żart*, Nacionalna Akademia Nauk Ukrainy, Lwiw 2009.

[16] Jurij Smirnow, *Marek Krajewski i Lwów jako przestrzeń literacka*, https://kuriergalicyjski.com/marek-krajewski-i-lwow-jako-przestrzen-literacka/. Dostęp 20.03.2022.

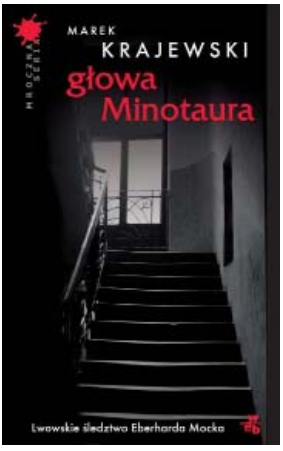

szpuntował ta dziuni, że fest – mruknął Alfonek[17].

Później twórca jeszcze kilka razy odwiedzał miasto; w sumie spędził w nim ponad miesiąc. Ostatecznie swoje lwowskie badania i przygotowania Krajewski wykorzystał w liczącym cztery pozycje cyklu o przygodach Edwarda Popielskiego (wszystkie noszą mitologiczne tytuły). Prócz wspomnianych już *Głowy Minotaura* i *Erynii* były to także *Liczby Charona* i *Rzeki Hadesu*[18]. W *Liczbach Charona* komisarz Popielski tropił w 1929 roku mordercę nazywanego Hebraistą, który zostawiał przy swoich ofiarach zaszyfrowane wiadomości po hebrajsku. Z kolei w *Rzekach Hadesu* (akcja toczyła się we Lwowie w 1933 roku) bohater starał się schwytać porywacza wykorzystującego seksualnie dzieci. Wprawdzie Popielski pojawił się też potem w sześciu kolejnych książkach, lecz ich akcja w zasadniczej części nie dzieje się we Lwowie, lecz w innych miejscach: we Wrocławiu, Darłowie, Gdańsku, Bydgoszczy, Równem…

Miasto jak żywe

Jaki jest więc ów Lwów opisany piórem Marka Krajewskiego w tetralogii o Popielskim? Żywy, barwny, realistyczny. Autor rzeczywiście lubi i potrafi kreować filmowe wręcz obrazy miasta, tak aby przechodnie, ulice, place, budynki i sklepy stanęły przed oczami czytelników. Adekwatny przykład z *Głowy Minotaura* pojawił się już na początku tego tekstu, ale wczytajmy się jeszcze w taki oto fragment pochodzący z *Rzek Hadesu*: *Mimo porannej pory w niedzielę 11 czerwca, w czasie kulminacji lwowskich Targów Wschodnich, w parku Stryjskim panował ogromny tłok. Ludzie cisnęli się wokół Pałacu Sztuki, gdzie pod gołym niebem maestro Leon Boruński, laureat Konkursu Chopinowskiego w poprzednim roku, grał utwory lżejszego kalibru, które pisał dla warszawskich teatrzyków rewiowych. Spragnieni mocnych trunków pielgrzymowali do pawilonu Baczewskiego i wypijając gratisowy kieliszek, podziwiali słynną wieżę, zbudowaną z butelek wypełnionych różnokolorowymi likierami. Przemysłowcy chowali się przed letnim upałem w pawilonie rolniczym i rozmawiali o interesach przy limonadzie i wodzie mineralnej Naftusia. Rodziny, pokrzepione duchowo na porannych mszach, podziwiały prezentowane w tymże pawilonie wystawy kwiatów. Kobiety płynęły między kioskami w przewiewnych letnich galanteriach, dzieci opędzały się od os, które zuchwale atakowały ich lody i cukrowe waty, a mężczyźni zsuwali kapelusze na tył głowy i rozglądali się za „piwem z kotwiczką", jak powszechnie nazywano pienisty produkt Browarów Lwowskich. Policjanci mundurowi i szpicle, pomni terrorystycznych ataków ukraińskich i komunistycznych prowokacyj w latach minionych, przyglądali się młodym, rozkrzyczanym ludziom i intuicyjnie wypatrywali wśród nich groźnych radykałów. Ten cały tłum zwiedzających kłębił się i gęstniał pośród kiosków i pawilonów wystawienniczych, natomiast rozrzedzał – w dalej położonych parkowych alejkach*[19]. Proszę wybaczyć długość cytatu, ale trzeba przyznać, że fragment urzeka plastycznością i realizmem opisu. Jest takich momentów w lwowskim powieściach Krajewskiego znacznie więcej.

Równie udanie pisarz odtworzył topografię przedwojennego Lwowa, opierając się na dawnych planach, przewodnikach, opisach, no i własnych eksploracjach miasta. Komisarz Popielski zajmuje eleganckie mieszkanie przy ul. Kraszewskiego 3, w którym mieszka ze swoją kuzynką Leokadią Tchorznicką, córką Ritą i służącą Heleną Półtoranos. Z jego balkonu roztacza się wspaniały widok na Ogród Jezuicki. Rita uczy się w Gimnazjum im. Królowej Jadwigi przy ul. Potockiego 35. Jej ojciec pracuje w Komendzie Wojewódzkiej Policji, mieszczącej się w XIX-wiecznej kamienicy na ul. Sapiehy i zwanej „gmachem na Łąckiego". W ramach swojej pracy Popielski odwie-

[17] Marek Krajewski, *Głowa Minotaura*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2009, s. 66.

[18] Tenże, *Liczby Charona*, Znak, Kraków 2011; tenże, *Rzeki Hadesu*, Znak, Kraków 2012.

[19] Tenże, *Rzeki Hadesu*, Znak, Kraków 2012, s. 63.

dza lwowskie lokale, w których spotyka się miejscowy półświatek: szynk Bombacha na ul. Bernsteina, spelunkę Morska Grota przy Dominikańskiej, knajpę Gutmana przy pl. Gołuchowskich, mordownię Pod Śledzikiem na pl. Unii Brzeskiej… Bywa też w bardziej eleganckich lokalach, np. cukierni Franciszka Iwanejki przy ul. Kilińskiego, restauracji Atlasa przy Rynku 45 czy restauracji Louvre w pięknej kamienicy Rohatyna u zbiegu ulic Kościuszki i Trzeciego Maja. Ale komisarz odwiedza nie tylko lokale gastronomiczne. Prowadzone śledztwa kierują go m.in. do zakładu na Kulparkowie, biblioteki Ossolineum, Stawu Zamarstynowskiego, słynnej kawiarni Szkocka, katedry łacińskiej, uniwersyteckiego Ogrodu Botanicznego, hotelu Zipper Rubena Tannenbauma i innych znanych i mniej znanych miejsc. Dochodzi do tego mnóstwo anonimowych lwowskich uliczek, zaułków, podwórek, piwnic, strychów i mieszkań, które Popielski musi penetrować w trakcie prowadzonych przez siebie dochodzeń. Autor rzeczywiście dobrze poznał Lwów, bo w topografii tego miasta porusza się sprawnie i równie sprawnie prowadzi swojego bohatera: *Szedł ulicami Mickiewicza, Zygmuntowską i Gródecką. Po drodze minął potężny gmach dyrekcji kolei, pałac Gołuchowskich i kościół św. Anny. Przeskoczył dziurawy bruk ulicy i po chwili był na rogu Janowskiej i Kleparowskiej, na którym znajdował się szynk, zwany „na rogu Klipa-roskiej i Janoskiej”*[20]. *Pojechali ulicą Kopernika obok seminarium greckokatolickiego i skręcili w Leona Sapiehy, obok dobrze im znanego gmachu policji na Łąckiego. Z lewej strony minęli przepiękną narożną kamienicę z wielkimi, półokrągłymi tarasami, w której mieściła się słynna kwiaciarnia Heleny Bodnar, i pojechali dalej, wzdłuż potężnego gmachu Politechniki. Minęli kościół św. Teresy, ukraińskie gimnazjum akademickie i dojechali do kościoła św. Elżbiety*[21].

A propos topografii – w *Eryniach* autor pisze tak: *Lwowianie byli tradycjonalistami i wykazywali się zawsze całkowitą obojętnością na wszelkie nazewnicze innowacje wprowadzane przez władze miejskie. Park Kościuszki określali uparcie starym mianem „Ogrodu Jezuickiego”, a Więzienie Karno-Śledcze wciąż nazywali „Brygidkami”, choć podłużny, ponury dawny budynek klasztorny przy ulicy Kazimierzowskiej cesarz Józef odebrał siostrom brygidkom ponad półtora wieku wcześniej i od razu przeznaczył do celów penitencjarnych*[22]. Notabene w lwowskich powieściach Krajewskiego natkniemy się tu i ówdzie na sentymentalne odniesienia do starych, dobrych galicyjskich czasów, gdy Lwów był stolicą jednego z krajów cesarsko-królewskiej monarchii i czerpał korzyści z tego statusu. Cóż, nostalgia do Galicji była (i jest!) charakterystyczna nie tylko dla Krakowa i jego mieszkańców.

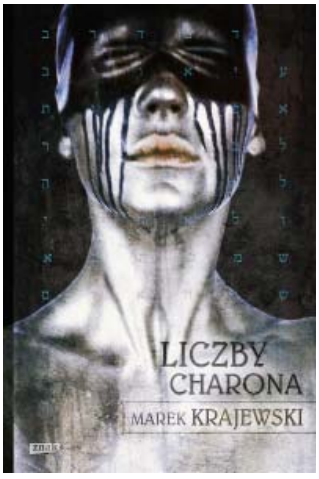

Prześledźmy teraz miejsca, w których rozgrywa się akcja drugiego tomu tetralogii, czyli *Erynii*. Zaczynamy od apteki Adolfa Aschkenazego na ul. Żółkiewskiej 4, gdzie w podwórzu odnaleziono okaleczone zwłoki dziecka. Potem trafiamy na krótką chwilę do rezydencji metropolity lwowskiego przy ul. Czarnieckiego i do wspomnianego mieszkania Popielskiego przy ul. Kraszewskiego. Dalej komisarz odwiedza swoje ulubione miejsca – kawiarnię Szkocką i restaurację Atlas. Najchętniej zostałby tam przez cały dzień, jednak wymogi śledztwa zmuszają go do wizyty na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jana Kazimierza przy ul. Piekarskiej. Zapoznaje się tam z wynikami sekcji zamordowanego chłopca wykonanej przez jego współpracownika dr. Iwana Pidhirnego. Następnie odwiedza Szpital Powszechny na ul. Pijarów i nędzną kamienicę przy Joselewicza 25, gdzie mieszka jeden z podejrzanych. W podlwowskich Winnikach składa wizytę królowi półświatka Mosze Kiczałesowi i zawiera z nim sekretny układ. W niedzielę zawozi wnuka na dziecięce przyjęcie

[20] Tenże, *Głowa Minotaura*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2009, s. 116.
[21] Tamże, s. 95.
[22] Marek Krajewski, *Erynie*, Znak, Kraków 2010, s. 189.

w jednej z willi przy ul. Własna Strzecha na Persenkówce. Szukając kolejnej ofiary, penetruje fabrykę ultramaryny na ul. Słonecznej, a próbując złapać sprawcę, odwiedza skład maszyn na Piekarskiej 13, IV Komisariat Dyżurny Policji na Kurkowej oraz cyrk Franciszka Wojciechowskiego koło Piaskowej Góry. Kluczowe dla rozwiązania sprawy informacje zdobywa u mecenasa Ludwika Machla mieszkającego w kamienicy przy ul. Sobieskiego 15. A dramatyczna finałowa scena rozgrywa się na kąpielisku Staw Zamarstynowski. O dokładności opisów Krajewskiego świadczy fakt, że w Internecie znaleźć można strony i blogi pokazujące na zdjęciach lwowskie miejsca, w których rozgrywała się akcja poszczególnych części cyklu, są też przewodnicy i biura turystyczne oferujący zwiedzanie miasta szlakiem Edwarda Popielskiego[23].

Miłość do Lwowa

Aby wiarygodnie przedstawić rzeczywistość, pisarz dba też o detale – drobiazgi i szczegóły składające się na ówczesną codzienność. Popielski pije piwo lwowskie (choć zdecydowanie woli wódkę, np. Baczewskiego lub Smirnoffa), kosmetyki kupuje w perfumerii Pod Czarnym Psem, koszule w sklepie Poland na Gródeckiej, a garnitury u Braci Jabłkowskich. Jeździ chevroletem, czytuje „Słowo Polskie" i „Lwowski Kurier Poranny", pali papierosy Egipskie, mawia „Idę do pana Edzia", a w restauracji prosi o sztangielki obsypane kminkiem i solą. Jedzenie to w ogóle osobna kategoria, bo autor opisuje je z wyraźnym upodobaniem. W lwowskich knajpach i restauracjach komisarz zamawia m.in. faszerowane jajka na ciepło, zupę rakową, paszteciki w cieście, szyjki gęsie nadziewane wątróbką, pasztet z borówkami, ozór na szaro i galaretę wieprzową zwaną studzininą. Konsumuje to wszystko z przyjemnością i znawstwem, popijając zmrożoną wódką, która „gładko spływa po przełyku i przyjemnie rozlewa się w żołądku".

Lwowskie realia to także słynni baciarzy. Krajewski nie osunął się tu w sentymentalizm, lecz był wierny rzeczywistości. Posłuchajmy bowiem tego oto opisu: *Za brudnymi fasadami rozpościerał się niebezpieczny świat baciarów. Wielu z nich stało w bramach niewysokich domostw przy placu Bilczewskiego, a spod daszków kaszkietów unosiły się smugi papierosowego dymu. Ponure spojrzenia osiadały na lśniącej karoserii auta. Poza miejscem narodzin w tej dzielnicy nie mieli oni wiele wspólnego z wesołym Szczepciem, który ku uciesze całej Polski przekomarzał się ze swoim kompanem Tońciem w audycji „Na wesołej lwowskiej fali". Na ich twarzach było tyle wesołości, ile trucizny na zapałce*[24]. I rzeczywiście, baciarzy u Krajewskiego to nie sympatyczni ulicznicy, ale niebezpieczni przestępcy – nożownicy, złodzieje, kieszonkowcy. Popielski nie raz i nie dwa ma z nimi poważne przeprawy.

Czytając lwowskie powieści Marka Krajewskiego, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że darzy on to miasto prawdziwym uczuciem. Być może miłość do Lwowa odziedziczył rodzinnie w genach, być może zakochał się w tym mieście podczas swoich wizyt w nim, a być może jest to wynik jednego i drugiego. Swoją miłość przelał na karty książek i widać ją tam na każdej prawie stronie i w każdym prawie opisie. Zaszczepił ją też swoim bohaterom, którzy wyrażają się o Lwowie z ogromnym przywiązaniem i sentymentem. *Lwów to metropolia europejska, a jednocześnie swojska i przytulna. To miasto pełne życia, a jednocześnie skłaniające do refleksji i namysłu* – mówi kuzynka Popielskiego. Tragedią jest dla nich konieczność opuszczenia grodu nad Pełtwią i przeniesienia się do dalekiego, obcego i zupełnie nieznanego Wrocławia. *On nade wszystko chciał powrotu do wspaniałych parków i łagodnych pagórków Lwowa, odrzucał a limine to cmentarne miasto* – opisuje wrocławskie reakcje Popielskiego autor[25]. Torturowana we wrocławskim więzieniu UB jego kuzynka

[23] Zob. np. *Lwów, część pierwsza: Śladami komisarza Popielskiego*, https://onlytravelersleftalive.com/lwow-czesc-pierwsza-sladami-komisarza-popielskiego/. Dostęp: 29.03.2022. *Lwów śladami komisarza Popielskiego – Erynie*, https://www.lwowskibaciar.pl/lwow-sladami-komisarza-popielskiego-erynie. Dostęp: 29.03.2022. *Szemrany Lwów lat dwudziestych*, https://www.polskieradio.pl/10/485/Artykul/677899,Szemrany-Lwow-lat-dwudziestych. Dostęp: 29.03.2022.

[24] Marek Krajewski, *Głowa Minotaura*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2009, s. 95.

[25] Tenże, *Rzeki Hadesu*, Znak, Kraków 2012, s. 27.

też marzy o powrocie do Lwowa: *Leokadia pomyślała o jesiennym Ogrodzie Jezuickim. O secesyjnej restauracji w stylu zakopiańskim w jego centrum, gdzie podawano najlepsze lwowskie lody. O dębach Grottgera w najwyższej części parku. Dlaczego nikt jej jeszcze nie zaproponował powrotu do Lwowa? Widoku parku? Dlaczego nikt na to nie wpadł?*[26]. […] *Była pewna, że wydałaby swego kuzyna bez wahania, gdyby propozycja oprawców brzmiała: powiedz nam, gdzie on jest, a w nagrodę pojedziesz do Lwowa i będziesz mogła patrzeć na żółte jesienne liście Ogrodu Jezuickiego*[27].

Symboliczna jest rozgrywająca się w 1946 roku we Wrocławiu końcowa scena *Rzek Hadesu*, w której dwaj przyjaciele, Popielski i Mock, żegnają się ze sobą po latach znajomości. Obaj – mimo powojennej biedy – są odświętnie ubrani. Mock założył krawat w czerwone i żółte pasy, Popielski krawat w pasy czerwone i niebieskie. Te pierwsze to barwy niemieckiego Wrocławia, te drugie – polskiego Lwowa. Panowie żegnają się ze sobą i ze swoimi miastami. *Zostawiamy już na zawsze nasze miasta. – W oczach Mocka zalśniły łzy. – Nigdy już do nich nie wrócimy. Ty już wyjechałeś na zawsze, a ja wyjeżdżam jutro – mówił do Popielskiego*[28]. Na pożegnanie wypijają kupioną przed wojną we Lwowie wódkę Baczewskiego.

Siedem książek Marka Krajewskiego zostało przełożonych na ukraiński i ukazało się na Ukrainie (z lwowskiego cyklu były to *Głowa Minotaura*, *Erynie* i *Liczby Charona*). Ich tłumaczem była lwowska filolog Bożena Antoniak, a wydawcą tamtejsza oficyna Urbino. Powieści zyskały uznanie, a autor zdobył popularność, zwłaszcza po książkach z Popielskim i Lwowem w rolach głównych. W mieście nad Pełtwią Krajewski jest znany i lubiany. Często go tam zapraszano na targi książki i spotkania z czytelnikami, a jeśli wierzyć prasowym doniesieniom ze Lwowa, jest tam też postacią rozpoznawalną. W 2011 roku otrzymał z rąk Andrija Sadowego odznaczenie Złoty Herb Miasta Lwowa za „promowanie Lwowa na arenie międzynarodowej". Był pierwszym i jak dotąd jedynym obcokrajowcem, który otrzymał ten medal.

Po *Rzekach Hadesu* pisarz stworzył kolejne powieści z Popielskim w roli głównej, jednak jak już wspomniano, ich akcja toczyła się po wojnie poza Lwowem – we Wrocławiu i Darłowie[29]. Potem autor cofnął się w czasie i rozpoczął podcykl szpiegowski, w którym Popielski w latach 20. oddelegowany został do tzw. Defensywy Politycznej, czyli struktury Policji zajmującej się zwalczaniem szpiegostwa. Tutaj akcja tylko rozpoczynała się we Lwowie i szybko przenosiła w zasadnicze miejsce: do Równego, Gdańska, Warszawy, Wilna, Bydgoszczy[30]. Z kolei wiosną bieżącego (2022) roku Marek Krajewski wydał nową powieść. Nosiła tytuł *Demonomachia*, nie pojawia się w niej ani Mock, ani Popielski, a jej akcja została umiejscowiona w cesarsko-królewskim Krakowie przełomu XIX i XX w. Autor stworzył zupełnie nowego bohatera, niedoszłego egzorcystę Stefana Zborskiego, i zupełnie nową tematykę: zmagania z siłami nadprzyrodzonymi, demonami, diabłami… Nie trzeba dodawać, że XIX-wieczny Kraków został w *Demonomachi* znakomicie odtworzony, a książka być może stanie się początkiem nowego cyklu powieściowego. Jak jednak pokazuje dotychczasowa praktyka, Marek Krajewski lubi wracać do swoich bohaterów i dopisywać im przygody dziejące się we wcześniejszych latach ich życia. Być może więc doczekamy się kiedyś powrotu do Lwowa i jeszcze jednej lwowskiej książki o komisarzu Edwardzie Popielskim i jego ukochanym mieście. Jest jeszcze w historii ich obu (i Popielskiego, i Lwowa) tyle ciekawych wątków do wykorzystania: walki o miasto w listopadzie 1918 roku (w których brał udział Popielski), zamachy na Józefa Piłsudskiego i Stanisława Wojciechowskiego w 1921 i 1924 roku, zamieszki społeczne w 1936, obrona przed Niemcami i sowietami we wrześniu 1939, sowiecka i niemiecka okupacja…

[26] Tamże, s. 36.
[27] Tamże, s. 21.
[28] Tamże, s. 265.

[29] Były to: *W otchłani mroku*, Znak, Kraków 2013, *Władca liczb*, Znak, Kraków 2014 i *Arena szczurów*, Znak, Kraków 2015.
[30] Były to: *Dziewczyna o czterech palcach*, Znak, Kraków 2019, *Pomocnik kata*, Znak, Kraków 2020, *Miasto szpiegów*, Znak, Kraków 2021.

Dominik Filipek

Elżbieta Róża Czacka (1876–1961)

MIRABILIS DEUS IN SANCTIS SUIS

12 września 2021 r. w Świątyni Opatrzności Bożej w Warszawie odbyła się beatyfikacja dwojga Sług Bożych Kościoła Katolickiego: kard. Stefana Wyszyńskiego i matki Elżbiety Róży Czackiej. W imieniu papieża Franciszka uroczystości przewodniczył prefekt Kongregacji ds. Świętych, kard. Marcello Semeraro.

W homilii beatyfikacyjnej legat papieski wskazał na więź łączącą dwoje nowych błogosławionych: „Dziś Kardynał Wyszyński i Matka Czacka są beatyfikowani razem. Jest to jakby dopełnienie owego historycznego spotkania, dzięki któremu ci Błogosławieni poznali się w Laskach już 95 lat temu, w 1926 roku. Młody wówczas kapłan był zbudowany wiarą i wytrwałością tej kobiety, która, poruszona Bożą miłością, była całkowicie oddana Panu Bogu i bliźniemu. Zrodziła się z tego cenna współpraca, szczere dzielenie się zamiarami oraz planami. (…) On – zaangażowany osobiście w niesienie pomocy tym wszystkim, którzy doświadczali krzywd i ograniczeń w praktykowaniu ich wolności oraz wyznawaniu własnej wiary; ona – niewidoma wśród niewidomych fizycznie i duchowo, pomagała tym wszystkim którzy zostali porzuceni i pozostawieni na marginesie społeczeństwa. 19 maja 1961 roku Kardynał Wyszyński przewodniczył pogrzebowi Matki Czackiej i tak mówił o niej w homilii: Matka „to był człowiek, który nieustannie stał w obliczu swego Najlepszego Boga; człowiek, który wiedział, że Bóg jest Miłością, przede wszystkim – Miłością! Człowiek, który wytrwale czerpał z niezgłębionego źródła Bożej miłości! Dlatego zdołała tylu ludzi wokół siebie obdzielić i pożywić Miłością”.

Wspólne wyniesienie na ołtarze Prymasa Tysiąclecia oraz m. Elżbiety Róży Czackiej rzeczywiście jest dopełnieniem ich wieloletniej współpracy i głębokiej więzi, której ślady znajdujemy w licznych świadectwach świadków oraz pismach (w tym korespondencji) dwojga nowych błogosławionych. Dla Prymasa Tysiąclecia podwarszawskie Laski – miejsce i środowisko stworzone przez m. Czacką – były jedną z oaz, w których odnajdywał przestrzeń ciszy i osobistej refleksji. Związkom oraz wzajemnemu wpływowi wielu innych osób współtworzących dzieło Lasek lub z nim na różne sposoby związanych – takich jak ks. Władysław Korniłowicz, ks. Jan Zieja, ks. Tadeusz Fe-

Wizerunki beatyfikacyjne. Archidiecezja Warszawska, Konferencja Episkopatu Polski, Grzegorz Gałązka

derowicz – można poświęcić osobne opracowanie. Ze względu na profil czasopisma i objętość tego tekstu chciałbym zwięźle opisać związki m. Róży Czackiej z ziemią wołyńską, na której się wychowała i podjęła kluczowe dla jej życia decyzje.

KRESY – WARSZAWA

Róża Maria Czacka urodziła się 22 października 1876 r. w Białej Cerkwi, w majątku Branickich, którymi administrował jej ojciec. Była najmłodsza z czworga żyjących dzieci (w sumie mieli ich siedmioro) Feliksa (1840 – 1909) i Zofii z Ledóchowskich (1845–1912). Ród Czackich wywodzi się z rodu tytułującego się herbem Świnka, którzy nazwisko Czaccy zdobyli na przełomie XIV i XV wieku. Obecność jednej z gałęzi rodu Czackich na Wołyniu można datować na drugą połowę XVI wieku, kiedy to Wojciech Czacki ożenił się z Barbarą Telefusówną i nabył nieruchomości w Kamieńcu Podolskim. Feliks Czacki zasłużył się w czasie powstania styczniowego, za co skazano go na 6 lat więzienia i osadzono w Łucku. Wykupiony przez krewnego, Władysława Branickiego, chcąc uratować rodzinny Poryck przed konfiskatą, przekazał go bratu Tadeuszowi, sam zaś zarządzał majątkami żony: Koniuchami, Ludzinem i Borszczami. Stryjem Róży był Włodzimierz Czacki (1835–1888), urzędnik watykański i zaufany współpracownik papieża Piusa IX; następnie z woli Leona XIII nuncjusz papieski w Paryżu (od 1879), a od 1882 r. ponownie pracownik kongregacji watykańskich i kardynał.

Róża przyjęła chrzest 19 listopada 1876 r. w dzień św. Elżbiety Węgierskiej w Białej Cerkwi, co warto odnotować z uwagi na patronkę, której imię przyjmie później, wstępując na drogę życia zakonnego. Biała Cerkiew to miasteczko położone nad rzeką Roś (dopływem Dniepru), oddalone o 84 km od Kijowa. Pod koniec XIX w. liczyło około 19 tys. mieszkańców, z czego większość stanowili Żydzi, następnie prawosławni i dalej katolicy. Były tam 3 cerkwie, 2 synagogi, 1 kościół katolicki, gimnazjum i 3 fabryki. Róża zachowała w pamięci żywe wspomnienia wołyńskiej przyrody, z którą dane jej było obcować do roku 1882, kiedy to Czaccy postanowili przeprowadzić się do Warszawy, gdzie Róża otrzymała staranne wykształcenie domowe (m.in. posługiwała się biegle czterema językami obcymi). Zamieszkiwali początkowo w pałacu Krasińskich przy Krakowskim Przedmieściu, a następnie w pałacyku (pałac Janaszów, który jest jednym z najlepiej zachowanych warszawskich pałaców pochodzących z połowy XIX w.) przy ul. Nowozielnej (obecnie ulica Zielna).

Róża Czacka w pałacu przy ul. Zielnej, fot. z archiwum Franciszkanek Służebnic Krzyża

Róża od dzieciństwa cierpiała na słaby wzrok, co nie powodowało większego niepokoju z uwagi na dziedziczoną w rodzinie krótkowzroczność. Co roku czas letnich wakacji spędzała w majątkach rodzinnych na Wołyniu. Jedną z ulubionych rozrywek Róży i jej braci była jazda konna, w czasie której pewnego dnia 1894 r. spadła z konia. Upadek był na tyle poważny, że przyczynił się do odklejenia siatkówek, co przesądziło o ostatecznej utracie wzroku. Mimo wielu konsultacji oraz badań i zabiegów medycznych przeprowadzanych przez najlepszych specjalistów w Paryżu i Berlinie, jakiekolwiek operacje okulistyczne okazały się bezcelowe. Utrata wzroku była ciężkim doświadczeniem dla Róży i jej rodziny, która traktowała jej ślepotę jako coś poniżającego i hańbę, którą starano się ukrywać. Przed ostatnim wyjazdem na leczenie do Berlina (w 1898 r.) zaufany okulista doktor Bolesław Gepner (1864–1923) jako pierwszy wskazał Róży możliwość wykorzystania trudnych okoliczności: „Niech pani pomyśli o zajęciu się losem 18 tys. niewidomych w Królestwie Polskim, o których do tej pory nikt się nie zatroszczył" – miał powiedzieć. Od tamtej pory w Róży dokonu-

Prymas Wyszyński i Matka Czacka, fot. z archiwum Franciszkanek Służebnic Krzyża

je się przełom i zasadnicze przeorientowanie dotychczasowego biegu życia. Najpierw uczy się pisma punktowego Braille'a i podejmuje intensywną rehabilitację, by osiągnąć maksymalną samodzielność. Przez blisko 10 lat zdobywa wiedzę na temat edukacji niewidomych w czasie podróży do Francji, Szwajcarii i Niemiec. Zainspirowana działalnością i pismami Maurycego de la Sizeranne'a (1857–1924), jednego z prekursorów nowoczesnego systemu edukacji niewidomych, zakłada w 1911 r. Towarzystwo Opieki nad Ociemniałymi w Królestwie Polskim. Do roku 1914 powstają: ochronka dla niewidomych dzieci, szkoła elementarna, warsztaty, biblioteka książek brajlowskich i tzw. patronat, który obejmował opiekę nad niewidomymi mieszkającymi w Warszawie. W pierwszym statucie Towarzystwa nie wspominano o aspektach religijnych działalności. Aczkolwiek dla Róży to właśnie wiara była zasadniczym źródłem energii do przezwyciężenia osobistej tragedii ślepoty i rozpoczęcia działalności społecznej. Wybuch wojny w 1914 r. zatrzymał rozwój dzieła.

W czerwcu 1915 r. Róża udała się na kilkutygodniowy pobyt do brata Stanisława na Wołyń. W tym czasie zmiana sytuacji na froncie (przełamanie linii frontu w okolicach Gorlic i znaczne wyparcie Rosjan w głąb kraju) uniemożliwiła jej powrót do Warszawy, czego rezultatem był trzyletni okres odłączenia od Towarzystwa, który był równie przełomowy w jej życiu jak utrata wzroku. Początkowo Róża Czacka dzieli los tysięcy uchodźców, którzy zmuszeni byli porzucić swoje majątki z obawy przed zbliżającym się frontem. Ostatecznie znajduje schronienie w Żytomierzu, gdzie przebywa do 1918 r. Tutaj uczęszcza do rzymskokatolickiej katedry pw. św. Zofii, gdzie spotyka ks. Władysława Krawieckiego (1881–1920) – profesora żytomierskiego seminarium duchownego, wykładowcę dogmatyki, homiletyki i historii Kościoła. Ks. Krawiecki podejmuje się towarzysze-

Pałac Czackich w Porycku, fot. z archiwum Franciszkanek Służebnic Krzyża

nia w duchowym rozwoju Róży Czackiej, która w 1916 r. rozpoczyna pod jego kierunkiem nowicjat w III Zakonie św. Franciszka z Asyżu. 19 marca 1917 r. hrabianka Czacka składa pierwsze śluby zakonne, przyjmując imię Elżbieta. Ten okres trzyletniego odłączenia od warszawskiego Towarzystwa Opieki nad Ociemniałymi zdecydował ostatecznie o kierunku dalszej działalności Elżbiety Róży Czackiej. W maju 1918 r. wraca do Warszawy z zamiarem założenia nowego zgromadzenia zakonnego.

Katedra w Żytomierzu, źródło: Wikipedia

ZGROMADZENIE SIÓSTR FRANCISZKANEK SŁUŻEBNIC KRZYŻA

Elżbieta Róża Czacka podjęła się dzieła wielce innowacyjnego jak na ówczesne warunki. Arcybiskup Aleksander Kakowski wyraził wprawdzie zgodę na utworzenie nowego zgromadzenia, jednakże w kurii biskupiej podchodzono do jej inicjatywy sceptycznie (chociażby z uwagi na krytyczny stan gospodarczy i polityczny kraju po I wojnie światowej), czemu dał wyraz jeden z urzędników kościelnych zdaniem, które przeszło do historii: „Zachciało się ślepej babie zakon zakładać". Jednym z pracowników kurii odnoszącym się z przychylnością do zamierzeń Matki Czackiej był wówczas ks. Władysław Korniłowicz (1884–1946). Nieocenionym wsparciem był dla niej również nuncjusz apostolski w Polsce abp Achille Ratti (1857–1939) – od 1922 r. papież Pius XI. W 1922 r. abp Kakowski zatwierdza konstytucję Zgromadzenia Franciszkanek Służebnic Krzyża, a za rok następuje wybór Elżbiety Róży Czackiej na pierwszą przełożoną generalną wspólnoty.

LASKI

Rok 1922 to nowy rozdział w rozwoju działalności Matki Czackiej i założonego przez nią zgromadzenia zakonnego również ze względu na darowiznę skrawka ziemi na skraju Puszczy Kampinoskiej. W Laskach – około 16 km od centrum Warszawy – następuje początek wielkiego dzieła współtworzonego przez świeckie Towarzystwo Opieki nad Ociemniałymi, zgromadzenie zakonne Franciszkanek Służebnic Krzyża i osoby niewidome. Ten innowacyjny jak na tamte czasy system współpracy trzech podmiotów stanowi wielki dorobek w kościelnej działalności Elżbiety R. Czackiej. Jako specjalistka w dziedzinie tyflologii opracowuje dostosowaną do polskiego systemu fonetycznego wersję systemu Braille'a oraz polskie skróty ortograficzne. Ośrodki wychowawczo-edukacyjne dla osób niewidomych są po dziś dzień godnymi podziwu środowiskami wszechstronnego rozwoju ludzkiego. Tymi dokonaniami Matka Elżbieta Róża Czacka wyprzedziła swoją epokę i może być uznawana za jedną z najwybitniejszych Polek w historii.

BIBLIOGRAFIA

S. Radosława Podgórska FSK, *Niewidoma matka niewidomych*, Warszawa 2020.

Michał Żółtowski, *Blask prawdziwego światła. Matka Elżbieta Róża Czacka i jej dzieło*, Lublin 2005.

Kard. Marcello Semeraro, *Msza Święta z obrzędem Beatyfikacji Sług Bożych Stefana Wyszyńskiego i Elżbiety Róży Czackiej. Homilia*, [za:] https://episkopat.pl/kard-semeraro-niech-nowi-blogoslawieni-będą-poteznymi-oredownikami-dla-tego-zasluzonego-narodu/, (dostęp: 26 stycznia 2022 r.).

Michał Piekarski

Pierwsza dyrektoressa…

Pierwszą w świecie kobietą na stanowisku dyrektora teatru operowego była Janina Korolewicz-Waydowa (ur. 1876 w Warszawie, zm. 1955 tamże). Dokonała tego w Operze Warszawskiej w sezonie 1917/1918. Odzyskanie przez Polskę niepodległości w listopadzie 1918 r. powitała *Halką* Stanisława Moniuszki, a przed podniesieniem kurtyny orkiestra operowa w Warszawie po raz pierwszy w historii zagrała *Mazurka Dąbrowskiego*. Następnie Korolewicz-Waydowa objęła dyrekcję sceny operowej Teatru Miejskiego we Lwowie w sezonie 1919/1920, a w kolejnej dekadzie powróciła jako dyrektor Opery Warszawskiej aż na dwa sezony 1934/1935 – 1935/1936. Objęcie przez kobietę dyrekcji najbardziej prestiżowej państwowej instytucji kulturalnej stanowiło dokonanie niemające dotąd precedensu na całym świecie. Było to w czasach, kiedy w wielu europejskich krajach kobiety nie miały nawet praw wyborczych (m.in. we Francji). Do dziś fakt ten pozostaje mało znany. Do tej pory jest wiele teatrów operowych na świecie (jak choćby Opera Wiedeńska), w których kobieta nigdy nie obejmowała dyrekcji. W dziejach Teatru Wielkiego w Warszawie Korolewicz-Waydowa zapisała się dotąd jako jedyna dyrektorka. Była też wielką diwą scen operowych w Warszawie, we Lwowie, wielu innych miastach europejskich oraz na innych kontynentach.

Choć z urodzenia warszawianka, jej wykształcenie muzyczne oraz początki kariery artystycznej wiązały się ze Lwowem. Przyjechała tu w wieku 15 lat, otrzymując stypendium Marceliny Sembrich-Kochańskiej. Janina Korolewiczówna mieszkała początkowo na stancji u pani Mozerowej. Wyprowadziła się potem na ul. Skarbkowską 3, skąd miała zaledwie kilka kroków do Teatru Skarbkowskiego, w którym poznawała kolejne dzieła operowe. Śpiewu i umiejętności muzycznych uczyła się w Konserwatorium Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego we

Źródło: NAC

Lwowie pod kierunkiem Aleksandra Myszugi i Walerego Wysockiego. Jeszcze podczas nauki w 1893 r. zadebiutowała w Teatrze Skarbkowskim jako Hanna w *Strasznym dworze*. Batutę obejmował wówczas Henryk Jarecki, wieloletni kierownik muzyczny Teatru Skarbkowskiego. W 1898 r., po ukończeniu konserwatorium, śpiewała w Krakowie wraz z zespołem opery we Lwowie, a wkrótce została zaangażowana do Opery Warszawskiej, występując po raz pierwszy w roli Aminy w *Lunatyczce* Belliniego. W 1900 r. wzięła udział w uroczystościach otwarcia we Lwowie Teatru Miejskiego, występując w operze *Janek* Żeleńskiego. W tym samym roku na scenie lwowskiej po raz pierwszy wykonała partię Halki.

W 1901 r. była partnerką sceniczną występującego w Operze Warszawskiej Enrica Caruso. W tym okresie łączyła pracę na obu scenach – warszawskiej i lwowskiej. W latach 1900–1906 była stałą solistką Teatru Miejskiego we Lwowie, wpisując się trwale w dzieje tej sceny. Gdy w 1903 r. we Lwowie pojawił się gościnnie przybyły z Wiednia Gustaw Mahler, jeden wieczór spędził w lwowskiej operze, gdzie wysłuchał po raz pierwszy *Toski* Giacoma Pucciniego właśnie

w wykonaniu Janiny Korolewicz-Waydowej. W tym okresie w 1902 r. wyszła za mąż za Władysława Waydę, lwowskiego historyka i prawnika. Ślub odbył się w Krakowie w Kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu. Kazimierz Wayda przez całe życie darzył ją miłością oraz wspierał podczas licznych występów i podróży.

Od jesieni 1908 r. Korolewicz-Waydowa śpiewała w wielu spektaklach na scenie lwowskiej, m.in. w *Aidzie* Verdiego i *Żydówce* Halevy'ego. Wsławiła się wówczas, jako pierwsza we Lwowie, wykonaniem głównej roli Cio-cio-san w *Madame Butterfly* Pucciniego. Z repertuaru koloraturowego zaczęła przestawiać się na partie liryczne (rola tytułowa w *Tosce*) oraz dramatyczne (Elza w *Lohengrinie*). Występowała gościnnie w teatrach operowych w Lizbonie, Madrycie, Barcelonie, Budapeszcie, Wenecji, Bukareszcie, Odessie, Kijowie, Berlinie, Petersburgu, Pradze, Sofii i Paryżu. W 1906 r. w *Fauście* Gounoda wystąpiła zarówno z Fiodorem Szalapinem w Kijowie, jak i z Enrico Carusem w Londynie. Śpiewała też na wielu scenach Stanów Zjednoczonych, skąd udała się na tournée do Australii. W 1912 r. powróciła do Teatru Miejskiego we Lwowie, śpiewając główne partie m.in. w *Madame Butterfly* i *Tosce* Pucciniego oraz *Tannhäuserze Wagnera*. Miała w swoim repertuarze scenicznym ponad 60 partii operowych.

Janina Korolewicz-Waydowa występowała także podczas recitali pieśniowych. W 1909 r. śpiewała w sali „Sokoła" we Lwowie podczas akademii pamięci Mieczysława Karłowicza. Brała też udział w licznych polskich akcjach patriotycznych i charytatywnych. W 1922 r. odbył się we Lwowie koncert Janiny Korolewicz-Waydowej, którego dochód został przeznaczony dla Bratniej Pomocy Uniwersytetu Jana Kazimierza oraz na budowę drugiego Domu Techników. Tego wieczoru śpiewaczce akompaniowała Helena Ottawowa. Jak pisał Adam Mitscha w „Słowie Polskim": „Oto szczera artystka – obywatelka. Tu objawia się jej wartość, tu wryją się w pamięć niezatarte ślady jej działalności artystyczno-społecznej".

Lwowscy kompozytorzy dedykowali Janinie Korolewicz-Waydowej swoje utwory. Mieczysław Sołtys poświęcił jej pieśń *Maggiolata*, Jan Gall przeznaczył dla niej pieśń *Słowik zaufany*. Z kolei Stanisław Niewiadomski zadedykował Korolewicz-Waydowej cały zbiór *Maki*. Zawiera on siedem pieśni do wierszy lwowianina Kornela Makuszyńskiego:

Teatr Wielki – Opera Narodowa w Warszawie, autor i Beata Kost przy popiersiu Janiny Korolewicz Waydowej autorstwa Barbary Falender

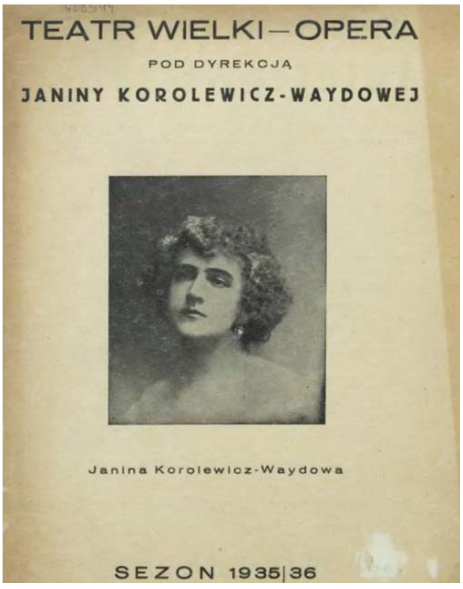

Panna, *Maki*, *Największy pan*, *Werbunek*, *Na wojnę*, *Prośba piechura, Powrót*. Zbiór ten powstał tuż po zakończeniu I wojny światowej, dlatego też pieśni odwołują się do tradycji ułańskiej. Do dziś nie przestała być popularna pieśń *Maki* o tytule nadanym również całemu zbiorowi, a zaczynająca się słowami „Hej dziewczyno, hej niebogo" – śpiewana niejednokrotnie przez Janinę Korolewicz-Waydową.

* * *

Do niedawna Janina Korolewicz-Waydowa była postacią niemal całkowicie zapomnianą, w żaden sposób nieupamiętnioną ani w Warszawie, ani we Lwowie. Bardzo rzadko na jej postać wskazywali też autorzy prac na temat działalności kobiet (chlubnym wyjątkiem jest książka Beaty Kost *Kobiety ze Lwowa*). Będący w coraz gorszym stanie nagrobek Korolewicz-Waydowej na warszawskich Powązkach co roku sprzątam z trawy i mchu.

Choć nie miałem wielkich nadziei, uznałem, że spróbuję zainteresować dyrekcję Teatru Wielkiego postacią Korolewicz-Waydowej. 12 listopada 2020 r. wysłałem do dyrekcji oficjalne pismo, w którym stwierdziłem m.in.: „W związku z niebywałymi zasługami Janiny Korolewicz-Waydowej zarówno jako wieloletniej solistki oraz dwukrotnej dyrektor Teatru Wielkiego zwracam się z inicjatywą upamiętnienia tej postaci w foyer teatru. Mało kto dziś zdaje sobie sprawę, że Korolewicz-Waydowa była jedyną znaną nam kobietą na stanowisku dyrektora opery w stolicy europejskiego kraju przed 1939 r. Jak opowiadam o tym w Wiedniu, gdzie również pracuję, środowisko muzykologów austriackich jest tym bardzo zaskoczone i zdziwione, że Polska w ogóle tego faktu nie promuje".

17 grudnia 2020 r. otrzymałem wiadomość z sekretariatu dyrekcji Teatru Wielkiego: „W związku z pismem, które od Pana otrzymaliśmy na temat upamiętnienia pani Janiny Korolewicz-Waydowej, chciałabym zapytać, czy jest możliwość kontaktu telefonicznego z Panem. Dyrektor, Waldemar Dąbrowski zainteresował się tą sprawą i chciałby porozmawiać z Panem…" Wkrótce odbyła się moja rozmowa z dyrektorem. Ciąg dalszy nastąpił ponad rok później.

W marcu 2022 r. Teatr Wielki w Warszawie przywrócił wreszcie Janinie Korolewicz-Waydowej należną jej pamięć. W dolnym foyer teatru 12 marca odbyło się odsłonięcie popiersia z marmuru autorstwa Barbary Falender. Popiersie z białego i czarnego marmuru (marmur calacatta, marmur czarny dębnik) rzeźbiarka wykonała przy pomocy Firmy B.W. Wiśniewscy w Milanówku. Mecenasem popiersia została Fundacja Rodziny Staraków. Popiersie odsłonił dyrektor Teatru Wielkiego Waldemar Dąbrowski. Jest to wyjątkowej klasy rzeźba, która poza upamiętnieniem wybitnej śpiewaczki stanowi wartościowe dzieło sztuki. Odsłonięciu towarzyszył krótki koncert złożony z wybranych pieśni dedykowanych Janinie Korolewicz-Waydowej, których wykonanie zasugerował dyrekcji teatru piszący te słowa. Wystąpili: Teona Todua i Paweł Horodyski, przy fortepianie Natalia Pawlaszek.

Postać Janiny Korolewicz-Waydowej została trwale przywrócona dla Teatru Wielkiego Opery Narodowej w Warszawie. Powstaje pytanie, kiedy na upamiętnienie Janiny Korolewicz-Waydowej zdobędzie się Opera Lwowska (także w dziejach tej sceny była to pierwsza kobieta-dyrektor). Poza docenieniem działalności wybitnej kobiety byłby to także miły gest dyrekcji ukraińskiej wobec Polski i Polaków, zwłaszcza że w foyer Teatru Wielkiego w Warszawie już od 2009 r. stoi popiersie ukraińskiej śpiewaczki Salomei Kruszelnickiej…

Jerzy Wasidłow

Obcy weszli w dom

… skarby mieczowi spustoszą złodzieje,
pieśń ujdzie cało…
(A. Mickiewicz)

I rozległ się łomotów grom
Utknęły w zębach pianina nuty
Przez próg wkroczyły ciężkie brudne buty
I obcy weszli w dom

Jak wcześniej kwitły
Pelargonie w doniczkach
A już kanarek z przerażeniem
O pręty klatki
Rozbijał pierś i skrzydła łamał
gubiąc pióra
Brud szerzył się już dalej po pokojach
Choć krochmalowa biel poduszek
Przez jakiś jeszcze czas
Pozostawała białą

I w innym rytmie nut
Muzyka powstawała
I blade wargi nowe
Już słowa wymawiały
Początki bezszelestne
Potężnej nowej pieśni

Bo obcy weszli w dom

* * *

A w Krakowie pada śnieg
Ktoś osłupiał przed kawiarnią
Z filiżanką kawy czarnej
I się gapi w marynarce
Na widoczny jemu brzeg
Czy nie ja to czasem jestem
Zapomniany tu przez resztę
Z otworzonym naścież sercem
A na serce pada śnieg
I do kawy pada śnieg

Opóźniona wiosna 2022

W tym roku wiosna z opóźnieniem
W tramwaju tłocznie od przybyłych
Na trawę pada śnieg
A ja…

Dla wszystkich stać nie mogę bliskim
Lecz Wy dla kogo bliski jestem
I Wy do których chcę się zbliżyć
Nie oddalajcie się ode mnie
I ośmielajcie mnie uśmiechem
Nieśmiały robię do Was krok

Wśród Was pobędę niezbyt długo
A obecnością nie zanudzę
Ale i Wam opuszczę których
Nie uda się i krótkiej chwili
Przebywać dłużej pośród mnie

Na kopcu śnieg
A to i prawda
W tym roku wiosna z opóźnieniem

* * *

Niezapomniane
Imiona wasze,
Daty, szczegóły życiorysów –
Zapomniałem.

Lecz słyszę,
Smutne wyszukując w trawie
Ślady dołów,
Wyraźnie słyszę
Trzask przeraźliwy strzałów
Odbierających życie,
I bezwinnych, którym życie odbierano,
Rozpaczliwe krzyki.

Okrutne dokonano tu morderstwo.
Pamiętaj,
To nie może się powtórzyć
Już nigdy więcej.

Fifty-fifty

Jestem nie małym
Nie dużym
a takim sobie
Zwykłym zwierzakiem
Od lat osiedlonym
W mym biednym laseczku
Pod krzakiem
Nie dużo nas w lesie
Reliktów zostało
Mało
Śmiało-nieśmiało
Chodzących krawędzią
Niszczonej pamięci i chwały
I słabną w mym lesie
Mądrości honoru zasady i więzi
Zwalniając codziennie
Coraz więcej przestrzeni
dla szczurów
Jeśli mi na tym zależy
Mam szansę się w szczura przemienić
i przeżyć
Również mam szansę nie przeżyć
Gdy futra nie zmienię

Ukryty poeta

Zabawimy dziś w chowanego
Wielbiciele szukają poety
(Zabrakło im poezji żywej)
Ja uciekam i kryję się, chowam

Moje szczęście – nie mogą mnie znaleźć
Wasze szczęście – że dobrze się chowam

* * *

Wiesz co można?
Można prosto
Nie czekając z nieba głosu
Zrzucić buty chodzić boso
Przyjść pod starą dobrą wierzbę
(W dziupli wierzby spoczywają nietoperze)
Stać i słuchać jak wyraźnie choć nie głośno
Trawa rośnie
I wieczności dotykając
Wierzyć w cuda
Wierzyć w miłość
Sobie wierzyć

Lustro

Żarówki światło
Załamało się w zwierciadle
Odbijającym jakąś pogniecioną twarz
I zakurzone meble
W niezmiennych czterech ścianach
I więcej nic

Zamieniłbym to lustro chętnie na kałużę
Odbijającą w niebie
Ptaków wolny lot

Teresa Dutkiewicz i Jerzy Wasidłow, lata 90. XX w.

Jerzy Wasidłow urodził się w 1949 roku w Stanisławowie. Przed kilku laty przybył do Krakowa, gdzie zamieszkał. Jego wiersze, zauważone przez Teresę Dutkiewicz, po raz pierwszy ukazały się w ułożonej przez nią antologii *Gdzie jesteś, Ojczyzno*… wydanej w 1996 roku. Z wykształcenia jest biologiem, z zamiłowania miłośnikiem turystyki górskiej, alpinistą i ekologiem. W Stanisławowie pracował jako nauczyciel. U schyłku lat 90. XX wieku aktywnie włączył się w walkę o przywrócenie języka polskiego jako wykładowego. Był pierwszym nauczycielem w powojennym Stanisławowie wykładającym w oficjalnej szkole po polsku, a były to przyroda, biologia, bezpieczeństwo życia. Teraz dba, by jego wnuczka mieszkająca poza Polską, nie zapomniała o swych polskich korzeniach.

Aleksandra Solarewicz

Historia z fusów

W stosie opakowań z niemieckimi napisami, pogiętych blistrów, zmurszałych rulonów i buteleczek – gruba probówka, zatkana srebrnym kapturkiem. W probówce ciecz koloru kawy… Przeleżała tam 80 lat, i dobrze, jeśli tyle. Etykiety nie ma, ale to może być tylko jedno. O rany, co ja trzymam w sypialni?!

Już 15 lat trwa, etapami, żmudne porządkowanie tułaczych bagaży, przewożonych ze Lwowa przez kolejne miasta Polski. Niektóre nigdy nie zostały rozpakowane. Zostały ściśnięte w papierowych torebkach i kartonikach, zrolowane, złożone, rozpadały się ze starości. A teraz każdy przedmiot trzeba wziąć w dłonie, obejrzeć, odczytać etykietę, zapiski, instrukcję i dwa razy się zastanowić, co z tym robić dalej. Czy zostawić, bo stanowi on część domowego łańcucha historii, czy wyrzucić, bo i tak się rozleci. A może podać dalej, bo są pamiątki, których miejscem nie jest prywatna szafa, tylko gabloty muzeum.

Leki z listów

Pudło, które otworzyłam, miało napis UNRRA *Pet Milk*, a okazało się pełne muzealnej farmacji spod znaku Ludwika Spiessa. To są najwyraźniej pozostałości apteczki domowej moich dziadków, która wędrowała z nimi przez całą wojnę. O preparacie Cebion, po którym został kartonik, wiedziałam, że przesyłał go z Nowego Sącza brat dziadka, lekarz, pisał o tym w listach. Od niego też musiały pochodzić inne niemieckie witaminy. A może też cała, nienaruszona seria szczepionek przeciw dyfterytowi. Brrr. *Zigaretten* były zaś cenną walutą wojenną, dziadek mówił mi o tym. – Ja nie paliłem tytoniu – podkreślał zawsze jako harcerz – a inni wydawali na niego duże pieniądze. Brałam do rąk kolejne opakowania, a wszystko wymieszane ze szkłem, ostrym i pociętym w drzazgi.

Prof. Zbigniew Stuchly jako kierownik Katedry i Zakładu Biologii Ogólnej Akademii Medycznej we Wrocławiu, lata 60. XX w.

Zawartość tajemniczego pudła – apteczki domowej?

Spojrzeć śmierci w twarz

Kiedy odgarnęłam pożółkły bandaż z sowiecką pieczątką, zmurszałe pudełeczka i torebki, podniosłam uszkodzoną kolbę o ukośnie ściętej szyjce. Na jej brzuszku widniała papierowa etykietka z napisem wybitym na maszynie do pisania, a fioletowy tusz już zdążył wyblaknąć: „TYPHUS… 1943". Jakbym spojrzała śmierci w twarz! Rozejrzałam się, czy zawartość nie wylądowała przypadkiem gdzieś obok, ale nie – musiała zostać zużyta lub wyparować dziesiątki lat temu. Jest za to jeszcze gruba probówka zakorkowana srebrną folią, mocno ściśniętą sznurkiem, pełna brunatnej zawartości. Tego się w życiu nie spodziewałam.

Szczepienia przeciw tyfusowi na Huculszczyźnie, lata 30. Profesor Weigl (w środku) z zespołem. Zbigniew Stuchly z przodu, drugi od prawej

W termosie od kawy

„Przewoziło się ją w termosie, jako kawę" – zabrzmiało mi w uszach echo opowieści Dziadka – „bo to wyglądem przypominało fusy". To, czyli szczepionkę przeciw tyfusowi, która musiała przyjechać z Dziadkiem ze Lwowa w 1944, a potem w bagażu przewędrowała Polskę aż do Wrocławia. Nie pomyślałam, że dziadek Zbigniew Stuchly, do kwietnia 1944 kierownik działu produkcji szczepionki w Instytucie Weigla, mógł ją przywieźć na zachód.

Teraz przed oczami stanęły mi sceny, przywoływane w dziesiątkach rozmów, listów i relacji. To właśnie „to" Profesor testował najpierw na sobie samym, to „to" jego współpracownicy szmuglowali do lasu, getta i obozów. Brązowe złoto, zamknięte w szklanej tubie. Mikrobiologiem nie jestem, otwierać nie będę.

– Co z tym teraz zrobić?

– A wylać – poradziła mi najstarsza ciotka, lwowianka.

O, nie!

Nadtłuczona kolba „Typhus, 15.09.1943" oraz probówka z cieczą koloru kawy

Dla pożytku wielu

„Trzeba, pani Olu, żeby służyło innym…" – mawiała o takich pamiątkach moja kochana sąsiadka, pani Barbara z Surzyńskich Zakrzewska (1922–2015). Córka ostatniego wicemarszałka Sejmu II RP, oddawała dla pożytku narodowego listy, wspomnienia i rękopisy. Przez 6 lat byłam, można powiedzieć, jej sekretarką i robiłyśmy to wspólnie. Przedmiot tej wagi musi żyć, muszą na niego patrzeć oczy innych ludzi, musi być opisywany i być inspiracją dla wielu, inaczej staje się prywatnym przedmiotem kultu, i po co mi on. To jest właśnie ta droga.

I teraz to, co znalazłam we własnym domu, spakowałam do sakwy rowerowej i zawiozłam do wrocławskiego Muzeum Farmacji. Pan dyrektor Andrzej Syroka zadeklarował stworzenie tam witryny z darami, opisanej nazwiskiem Ireny i Zbigniewa Stuchlych. Mój skarb to pamięć i relacje. Miejsce innych skarbów jest pomiędzy ludźmi.

Ze Stanisławem Czernym,

honorowym członkiem Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich rozmawia Janusz M. Paluch

Przez dziesięciolecia aktywnie uczestniczy Pan w życiu Krakowskiego Oddziału TMLiKPW, przez lata był Pan w zarządzie jego wiceprezesem, do niedawna prezesem zarządu… Pańskim dziełem jest przede wszystkim renowacja zniszczonych grobów znanych postaci na Cmentarzu Łyczakowskim…

To był pomysł Andrzeja Chlipalskiego. Najpierw trzeba jednak było znaleźć fundusze, bo tego rodzaju prace do tanich nie należą… Zaczęliśmy zbierać pieniądze na krakowskich cmentarzach 1 listopada. Odzew społeczeństwa był niesamowity. Za czasów prezesowania Adama Guyrkowicha przeszliśmy do realizacji projektu odnowy nagrobków. Przez ten czas podnieśliśmy wręcz z gruzów 36 grobów zasłużonych dla Lwowa, dla Polski, rodaków. Od 1996 roku trwały prace porządkowe, czyszczenie z chwastów i zarośli, aby groby stały się widoczne. Kosztowało to 231 tys. zł zebranych z wielkim poświęceniem. W tamtym czasie prowadził tę działalność ówczesny wiceprzewodniczący zarządu Jurek Żuk. Po jego śmierci organizowanie odnowy cmentarza powierzono mnie, jako wiceprzewodniczącemu zarządu. Od 2008 roku, z moim partnerem inż. Ryszardem Defortem, przechodziliśmy dziesiątki kilometrów dziennie po Cmentarzu Łyczakowskim, typując groby do remontu, wraz z dokonaniem wyceny na podstawie ustalonego zakresu robót. Do 2021 roku prace porządkowe kosztowały dokładnie 246 130 zł, a remont 606 grobów, w tym Pomnika Chwały i pięciu kaplic, 825 010 zł, łącznie na ratowanie Cmentarza Łyczakowskiego Oddział Krakowski TMLiKPW wyasygnował kwotę 1 071 140 zł! To wszystko dzięki wielkiemu zaangażowaniu i wysiłkowi wielu ludzi, także uczniów krakowskich szkół. Korzystam z okazji i raz jeszcze gorąco za wszystko Wam dziękuję!

Zofia Czerny, z domu Mieżyńska

Cmentarz Łyczakowski wraz z Cmentarzem Orląt Lwowskich jest dla Pana ważny także ze względów rodzinnych…

Spoczywają tam wszyscy moi bliscy, którzy odeszli z tego świata przed 1939 rokiem. Przede wszystkim mój tata – Stefan Czerny…

Skąd we Lwowie znalazła się rodzina Czernych?

Nie potrafię tego powiedzieć. Mój pradziadek, który spoczywa na Cmentarzu Łyczakowskim, Albin, był we Lwowie starszym radcą skarbowym, znanym i szanowanym człowiekiem udzielającym się społecznie. Miał czworo dzieci. Najstarszym był mój dziadek – Bronisław (1861–1930). Pracował jako kierownik Wydziału Administracyjno-Prawnego Kuratorium Okręgu Lwowskiego. Żonaty był z Wandą Lisowską. Pochowani są też na Cmentarzu Łyczakowskim. Mieli czworo dzieci: Zygmunta, Zofię, Stefana – mój tato i najmłodszą Halinę…

Wspomina o Stefanie w swej książce *Cmentarz Orląt Lwowskich* prof. Stanisław S. Nicieja… Urodził się 7 grudnia 1899 roku…

Ojciec był obrońcą Lwowa na odcinku szkoły Sienkiewicza. Później został przeniesiony do załogi pociągu pancernego PP3. Był wtedy studentem I roku medycyny. Brał również udział w wojnie polsko-bolszewickiej, w której został ranny. Nie przejmował się ranami, szybko wyszedł ze szpitala i poszedł walczyć dalej. Został odznaczony Krzyżem Walecznych. Na medycynę jednak już nie wrócił. Skończył filozofię na Uniwersytecie Jana Kazimierza… Pracował, podobnie jak jego ojciec, w Kuratorium Okręgu Lwowskiego, jako sekretarz. Jak opowiadała mama, był towarzyski i bardzo lubiany przez kolegów. Niestety zmarł dość młodo na gruźlicę. Miał 34 lata…

Nie nacieszył się Pan ojcem…

Miałem wtedy sześć lat… Tato został pochowany na Cmentarzu Orląt Lwowskich w kwaterze uczestników obrony Lwowa, którym udało się przeżyć. Za czasów sowieckich przez tę część cmentarza poprowadzono drogę. Część grobów, m.in. grób projektanta cmentarza Rudolfa Indrucha, znalazła się pod asfaltową drogą. Podczas remontu cmentarza zgodzono się na przeprowadzenie ekshumacji tych grobów. Zostałem zaproszony, by uczestniczyć w tej ważnej chwili. Ojciec po wojnie polsko-bolszewickiej miał już stopień oficerski. Gdy przyjechałem do Lwowa, grób był już odsłonięty. Prace nadzorowali archeolodzy, każdy przedmiot, każda kostna pozostałość były pieczołowicie badane. Z munduru zostały tylko guziki, pas i ostrogi… Szczątki trafiły do małych trumienek, które zanim je ponownie pogrzebano, umieszczone zostały w katakumbach. Muszę powiedzieć, że bardzo dziwnie się czułem… Na pogrzebie ojca w lipcu 1934 roku nie byłem. Mama nie chciała. Wywiozła mnie do Czortkowa, gdzie mieszkała jej siostra Helena – żona wówczas kapitana Henryka Ottenbreita, lekarza wojskowego. O śmierci ojca dowiedziałem się dopiero, jak mama po mnie przyjechała. Była okropna rozpacz… Ottenbreitowie byli polską rodziną wywodzącą się ze Lwowa. Henryk był oficerem liniowym w austriackiej armii, uczestniczył już w obronie Lwowa, potem w wojnie polsko-bolszewickiej. Zaprzyjaźnił się z ojcem. Po wojnie został urlopowany, pozwolono mu skończyć medycynę i wrócić do służby wojskowej. W Czortkowie świetnie mu się powodziło, bo nie tylko był wojskowym, ale prowadził też praktykę lekarską, do tego był biegłym sądowym. Wynajmowali willę z dużym ogrodem i kortem tenisowym. Potem dostał awans na majora i przeniesiono go

do Torunia do Centrum Wyszkolenia Artylerii na stanowisko naczelnego lekarza. W Toruniu została mu tylko porządna gaża majora… Tak się złożyło, że poślubili siostry Mierzwińskie – ojciec młodszą Zofię…

Henryk Ottenbreit przetrwał wojnę?

Tak. Trafił do niewoli, z której udało mu się, jako lekarzowi, wydostać. Przedostał się do Lwowa okupowanego przez sowietów. U nas, przy ul. Wojciecha, mieszkała jego żona z dwoma córkami: Wandą (1924–1977) – później doktorem matematyki w Katedrze Matematyki WSP w Rzeszowie, i Ewą (1929–2007) – artystką-graficzką, absolwentką Wydziału Grafiki ASP w Krakowie. Zostały wysiedlone z Torunia przez Niemców i przyjechały do najbliższej rodziny. Wujek szybko podjął decyzję o przeniesieniu się na stronę niemiecką. Tam mógł prowadzić prywatną praktykę lekarską, w sowieckim Lwowie, jakby tylko dowiedzieli się, że był majorem w Wojsku Polskim, w najlepszym razie groziła mu wywózka na Syberię. Ulokowali się w Czyżynach, w Krakowie, i jako lekarz prowadził prywatną praktykę. Był też zaangażowany w działalność konspiracyjną, o czym dowiedziałem się dość późno. Był szefem służb medycznych Armii Krajowej na Kraków. Po wojnie, jako podpułkownik rezerwy, został kierownikiem Ośrodka Zdrowia w Bieńczycach.

Mama też pochodziła ze Lwowa?

Urodziła się w znanej i zasłużonej dla Lwowa rodzinie Mierzwińskich. Jej mama, Emilia z domu Prokopowicz, była Ormianką. Moja ukochana babcia… We Lwowie chodziła do kościoła rzymskokatolickiego i do cerkwi ormiańskiej… W jednym tygodniu do naszego kościoła, w kolejnym do ormiańskiego… Pochowaliśmy ją w Krakowie, na cmentarzu w Mogile… Ojciec mamy Władysław Mierzwiński był uznanym prawnikiem jeszcze w czasach austriackich. Miał tytuł hofrata, czyli najwyższy urzędniczy stopień w służbach cywilnych, równy generałowi w armii. Najpierw mieszkali w Czerniowcach. Po przeniesieniu się do Lwowa był sędzią Sądu Apelacyjnego, a później jego prezesem. Miał pięcioro dzieci, z czego dwoje w niemowlęctwie zmarło na *menigitis*, czyli zapalenie opon mózgowych. Pozostała trójka to mama – Zofia i jej siostra Halina oraz

Stefan Czerny

wuj Władek. Też był prawnikiem, uczestnikiem wojny polsko-bolszewickiej, w której stracił oko, kapitan WP. Skończył prawo pod kierunkiem ojca. Został sędzią w Podhajcach, a potem w Brzeżanach. Po II wojnie światowej nadal był sędzią, ale przeszedł do adwokatury w Nowej Soli – gdzie zamieszkał – i w Zielonej Górze..

Pana Ojciec nie był jednak najstarszym dzieckiem Zofii i Bronisława…

Najstarszy z rodzeństwa był Zygmunt Czerny. Urodził się we Lwowie w 1888 roku. Był profesorem filologii klasycznej na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Studia językowe ukończył w Paryżu. Przed wojną przewodniczył Towarzystwu Przyjaźni Polsko-Francuskiej. Znano go jako zapalonego alpinistę i taternika. W wieku ponad 80 lat jeszcze chodził w Tatry i ciągnął za sobą całą plejadę asystentów z Uniwersytetu Jagiellońskiego. W okresie okupacji sprawował konspiracyjną funkcję prorektora lwowskiego UJK. Stryj był też bardzo ceniony poza granicami Polski. Na paryskiej Sorbonie przyznano mu tytuł doktora *honoris causa*, a rząd francuski uhonorował go Komandorskim Orderem Legii Honorowej. Niedługo potem został zaproszony do Ministerstwa Oświaty, gdzie przyjęto go z wielką pompą i odznaczono Komandorskim Orderem Odrodzenia Polski. Ponieważ było to odznaczenie

Stanisław Czerny przy grobie ojca

za działalność naukową, stryj je przyjął. Niestety, niewiele wiem o jego konspiracyjnej działalności, bo w czasie wojny nic o tym nie mówił, a po wojnie udziałem w strukturach konspiracyjnych raczej się nie chwalono, bo można było się narazić na krajoznawczą wycieczkę na daleki syberyjski wschód. Nie ukrywał jednak, że był prorektorem i prowadził zarówno przewody doktorskie, jak i był promotorem magistrantów. W czasie wojny utrzymywał się z udzielania lekcji języka francuskiego i z karmienia wszy u prof. Weigla. Pokazywał mi tę klateczkę, którą przytwierdzano do nogi… Po wojnie, jako ekspatriant, wyjechał do Torunia, gdzie organizował na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika romanistykę. Po likwidacji tego kierunku w Toruniu, w 1952 roku, przeniósł się do Krakowa, gdzie był dziekanem Wydziału Filologicznego na UJ do emerytury. Do ostatnich chwil życia był niezwykle aktywnym człowiekiem… 18 lutego 1975 roku w drodze na zebranie do Polskiej Akademii Nauk, której był członkiem, zmarł na ulicy Sławkowskiej… Został pochowany na Cmentarzu Salwatorskim.

Obok żony Ludwiki Anny Czerny…

Tak, Ludwika Anna Czerny (1891–1968), z domu Pierożyńska, lwowianka. Znana autorka poezji, prozy i tłumaczka. W swym dorobku miała tłumaczenia m.in. *Opisania świata* Marco Polo, *Don Kichota* Cervantesa czy *Pieśni o Cydzie*… Była cenioną tłumaczką literatury francuskiej, włoskiej, hiszpańskiej, łacińskiej i prowansalskiej. Jej tłumaczenia do dziś są wznawiane i obok przekładów Władysława Boya Żeleńskiego uznawane za najbardziej wartościowe. Małżeństwem byli od 1913 roku.

Z rodziną Czernych spokrewniony był gen. Stanisław Maczek…

Stryj Zygmunt związany był z kuzynostwem – Stanisławem i Jadwigą, dziećmi Karola Czernego, brata naszego dziadka, i Bronisławy z Dziubińskich[1]. Karol Czerny był prawnikiem, miał posiadłość ziemską – już dziś nieistniejącą – w Wielkich Oczach, położoną obecnie przy samej granicy z Ukrainą, koło Krakowca. Bywał tam często, spokrewniony z nami, wówczas pułkownik Stanisław Maczek[2]. Stryj Zygmunt się z nim przyjaźnił. Najczęściej spotykali się w Wielkich Oczach, gdzie była stadnina, a obaj uwielbiali konną jazdę. Tu muszę wyraźnie zaznaczyć, że nie polowali, zarówno bowiem Maczek, jak i Zygmunt nienawidzili polowań. Po wojnie stryj Zygmunt chyba ze dwa razy spotkał się z gen. Maczkiem podczas swych zagranicznych wyjazdów. W marcu 1963 roku w Szkocji, w Edynburgu, dostał od generała książkę *Od podwody do czołga* z piękną dedykacją: *Kochanym Isi i Muniowi z serdecznymi naszymi myślami o Was i o całej naszej Rodzinie, której niedobitki rozwiała zawierucha wojenna po całym świecie – od autora.* I tu podpis gen. Maczka. Teraz ta książka jest w moich zbiorach. W Przemyślu jest pochowana matka gen. Maczka – Anna z Czernych (1852–1939), siostra mojego dziadka Bronisława, która zmarła 30 października 1939 roku. U Maczka służył, jako podchorąży, syn stryja Karola – Stanisław. Pod koniec wojny dosłużył się stopnia ofi-

[1] Bronisława z Dziubińskich Czerny, z zawodu nauczycielka muzyki, ur. 17.01.1865 r. we Lwowie, zm. 9.02.1939 r. we Lwowie.

[2] Stanisław Maczek jako dziecko bywał w Wielkich Oczach u swego wuja, o czym pisze w swych wspomnieniach. W 1939 r. stoczył zwycięską walkę w Krakowcu, 10 km od Wielkich Oczu, w drodze ze swym oddziałem do Lwowa (informacja od p. Krzysztofa Dawida Majusa, autora książki *Wielkie Oczy. Studia z dziejów wieloetnicznego galicyjskiego miasteczka*, Południowo-Wschodni Instytut Naukowy w Przemyślu, Przemyśl 2013).

cerskiego. Podobnie jak gen. Maczek, nie wrócił do Polski. Osiadł w Afryce, w RPA[3]. Karol przeżył wojnę. Wraz z córką Jadwigą[4] i jej rodziną wyjechali ze Lwowa. Jako ekspatriant osiadł w Gliwicach, gdzie zmarł w 1947 roku.

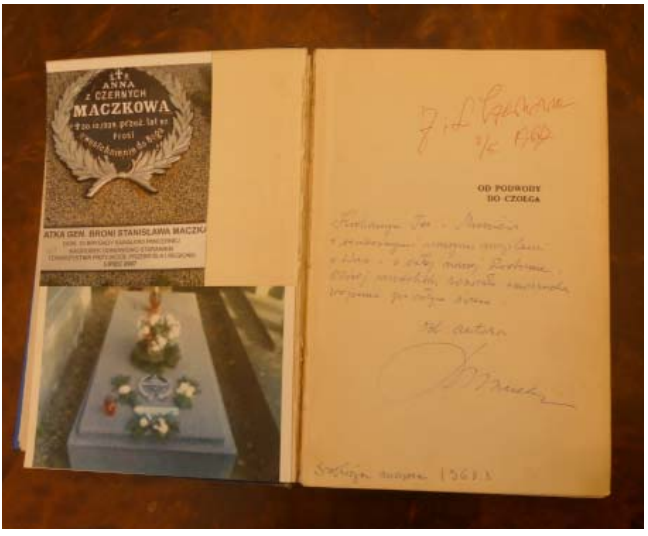

Książka z dedykacją gen. Stanisława Maczka

Wśród rodzeństwa Pana ojca były jeszcze dwie siostry – Zofia i Halina…

Starsza, inż. Zofia Czerny-Biernatowa, urodziła się we Lwowie w 1894 roku. Po skończeniu gimnazjum prowadziła zajęcia dla dziewcząt w szkole gospodarstwa domowego. W 1919 roku ukończyła studia w Paryżu. Wróciła do Polski i rozpoczęła pracę w Krakowie w seminarium dla nauczycielek gospodarstwa domowego. Od 1933 roku rozpoczęła pracę w Seminarium Gospodarstwa Domowego w Warszawie. Już wtedy pisała podręczniki na temat żywienia domowego i zbiorowego. W Warszawie przetrwała powstanie warszawskie. Jej córka, Maria, była sanitariuszką w powstaniu, a po wojnie prowadziła cukiernię w Warszawie. Ciocia Zofia wróciła do swej pracy jako nauczycielka w Szkole Gospodarczej, skąd przeszła do Ministerstwa Aprowizacji, a później do Departamentu Żywienia Zbiorowego w Ministerstwie Handlu Wewnętrznego. Mieszkali na Sadybie Czerniakowskiej. Była autorką ważnych książek z zakresu dietetyki i masowego żywienia, a także pierwszą redaktorką czasopisma „Żywienie Człowieka". Zmarła w Warszawie w 1964 roku.

Najmłodsza siostra taty – ciocia Hala (1900–1959) wyszła za mąż za kapitana Romana Rettingera (1899–1958). On był spokrewniony z szarą eminencją gen. Sikorskiego – Józefem Rettingerem. Po wrześniowej klęsce udało mu się dostać przez Rumunię do Europy Zachodniej. Trafił do Londynu, skąd wrócił po rozwiązaniu Wojska Polskiego – już rozwiedziony z ciotką – z nową żoną do Polski i zamieszkał w Szczecinie, gdzie był dyrektorem szpitala. Ciotka Halina zamieszkała po wojnie z dziećmi, Wandą i Krzysztofem, w Opolu, gdzie zmarła.

Gdzie Pan mieszkał we Lwowie?

Podnajmowaliśmy mieszkanie w kamienicy na św. Wojciecha – boczna od ul. Teatyńskiej, ostatni przystanek przed Wysokim Zamkiem. Nieopodal był kościółek św. Wojciecha, a za nim Kajzerwald. Raj w lecie, a szczególnie zimą. Wszyscy tam na nartach jeździliśmy! Jak się ściemniało, to zjeżdżaliśmy z pochodniami… Za Niemców musiałem narty poobrzynać, bo można było posiadać tylko określone wielkości nart, inne obowiązkowo trzeba było oddać wojsku niemieckiemu. Na Łysej Górze – to była Piaskowa Góra – we wrześniu 1939 roku znajdowały się okopy i stanowiska karabinów maszynowych przeciwlotniczych. Nosiliśmy żołnierzom jedzenie. Później kapitulacja. Polscy żołnierze szli do niewoli zwartym szeregiem przez naszą ulicę. Płaczące kobiety, ogólna rozpacz. Naszym sąsiadem był Niemiec Hausman, który nigdy nie nauczył się polskiego. Jego żoną była Austriaczka pochodząca z Wiednia – dość dobrze po polsku mówiła. Jak zobaczyła polskich żołnierzy prowadzonych po kapitulacji do niewoli, rozpłakała się. Mieli syna, jedynaka – Bibi Hausman, kolega

[3] Stanisław, ur. w 1906 r. we Lwowie, zm. w 1976 r. w Kapsztadzie.

[4] Jadwiga, ur. 28.11.1897 r. we Lwowie, zm. 4.10.1983 r. w Gliwicach.

z naszej „szóstej budy", który uważał się za Polaka. Poszedł do partyzantki i tam za Polskę zginął.

W jakich lwowskich szkołach się Pan uczył?

Szkołę zacząłem w 1934 roku… Od razu poszedłem do 2 klasy, bo byłem chory na szkarlatynę i przez rok nie chodziłem do szkoły. Musiałem zdawać egzaminy… Zacząłem chodzić do szkoły Staszica, koło straży pożarnej. Po śmierci ojca mama znalazła się w niełatwej sytuacji. Na szczęście szybko znalazła pracę jako sekretarka w VI Gimnazjum im. Stanisława Staszica na Łyczakowie. Do pracy przyjmował ją dyrektor Władysław Chodaczek, a później dyrektorem szkoły został pan Włodarski. Byli tam wspaniali nauczyciele, m.in. taką sławą był polonista Władysław Stabryła, który mieszkał po wojnie w Krakowie. Jego syn prof. Stanisław Stabryła jest wybitnym filologiem, naukowcem związanym z Uniwersytetem Jagiellońskim. Ja do tej szkoły, VI „budy", trafiłem dopiero za sowieckiej okupacji. Oni zrobili z tej szkoły „dziesięciolatkę" i w wyniku łączeń klas miałem o dwa lata starszych kolegów! Nazywała się XII Szkoła Średnia z polskim językiem wykładowym. Oczywiście z czasem ograniczali wykłady w języku polskim, ukrainizując i rusyfikując nas. Wtedy też Włodarski przestał być dyrektorem. Zastąpił go Iwan Muzyka. Pojawiły się organizacje pionierów i komsomolców. Przykro mówić, ale niektórzy nasi koledzy żydowscy natychmiast się zapisywali. Polacy, od dzieciństwa chowani w duchu patriotycznym, bojkotowali. Mieliśmy sąsiadów Cyferblatów. Tragicznie zginęła cała rodzina… Ojciec był radcą w magistracie, matka nauczycielką… Podawał się zawsze jako Polak mojżeszowego wyznania. Jak przyszli sowieci, ich syn Marianek zaczął chodzić w czerwonym krawacie – pionier! Jeszcze przed wojną uczyli się prywatnie języka hebrajskiego. Pytałem:

– Po co się Marian tego języka uczysz?

– Piękny język – odpowiadał. – Może kiedyś powstanie państwo żydowskie i będziemy tam w odwiedziny jeździć?

Jak w czasach okupacji wyglądała nauka w szkole?

W szkole poważaliśmy tylko polskich nauczycieli. Tam była feeria językowa! Bo uczyliśmy się polskiego, rosyjskiego, ukraińskiego i francuskiego lub niemieckiego – do wyboru… Jaki był poziom innych przedmiotów? Lepiej nie przypominać! Uczyli nas o Marii Konopnickiej… „Dążyła do obalenia pańskiego ustroju, świadczy o tym jej stosunek do proletariatu" (śmiech). I jej poruszający wiersz, którego – w tym kontekście – trzeba było się nauczyć na pamięć. Do dziś pamiętam!

A czemuż wy, chłodne rosy,
Padacie,
Gdym ja nagi, gdym ja bosy,
Głód w chacie?…
Czy nie dosyć, że człek płacze
Na ziemi?
Co ta nocka sypie łzami
Srebrnemi?

Oj, żebym ja poszedł ino
Przez pole
I policzył łzy, co płyną
Na rolę…
Strach by było, z tego siewu
Żąć żniwo,

Boby snopy były krwawe
Na dziwo!

Przyjdzie słonko na niebiosy
Wschodzące
I wypije bujne rosy
Na łące…
Ale żeby wyschło naszych
Łez morze,
Chyba cały świat zapalisz,
Mój Boże!

I co ten Pan Bóg myślał? To nie Pan Bóg, to Konopnicka myślała. Ona była rewolucjonistką. Ona dążyła do ogólnoświatowej rewolucji. Bo co to znaczy – cały świat zapalisz?! (*śmiech*)

Były też lekcje bezbożnictwa, o powstaniu człowieka, świata, którego nie stworzył pan Bóg, tylko ewolucja i przyroda… Zadręczaliśmy nauczycieli pytaniami. Choćby taką panią Hercig – to była Żydówka, wykładająca po polsku, której postawiliśmy kiedyś problem: co było pierwsze – kura czy jajko… – Pinełes, jej następczyni, była przynajmniej lepszą matematyczką. Pamiętam też Tatianę Stiepanowną od języka rosyjskiego, która kończyła jeszcze Carskie Sioło, nazywaliśmy ją Ciotka Bandziuchowa. Byli też Jaworski – przyrodnik, Czarny Władziu – Władysław Stabryła uczył języka polskiego, Jaworski przyrody, Dekański – zajęć praktycznych…

Chodziliśmy do szkoły, niechętnie się ucząc… Jak była pogoda, zamiast do szkoły trafialiśmy na Żelazną Wodę albo na Zamarstynów, gdzie były słynne kąpieliska. Byliśmy zaprzyjaźnieni z ratownikami. Jeden z nich, na Żelaznej Wodzie, były marynarz Seniuta, wariat, a do tego pijaczyna, był chyba ich szefem. Jak mieliśmy jakieś pretensje do sowieckiego profesora, to kupowaliśmy flaszkę wódki, a ten pojawiał się pod szkołą i go wyzywał. Pojawiała się milicja, legitymowała go i puszczała, bo miał „wariackie papiery"…

Starszym naszym kolegą był tam Andrzej Hiolski – później słynny operowy śpiewak. W szkole było paru pięknie śpiewających chłopaków. Pamiętam jeszcze Leszka Tarnowskiego – też miał wspaniały głos – tenor. Hiolski chorował na płuca i lekarz zalecił mu naukę śpiewu. To są przecież ćwiczenia oddechowe. On naukę śpiewu pobierał u pani prof. Oleskiej. Hiolski był bardzo słaby z matematyki, której uczył nas prof. Vrabetz. Miał dziwny system odpytywania. W klasie martwa cisza. Brał długopis do ręki i trafiał w dzienniku na nazwisko ucznia…

– Chłopak Hiolski, wyciągnie średnią arytmetyczną z cyfr… – tu padały cyfry. Zapadała głucha cisza… Po dłuższej chwili, nieco zniecierpliwiony mówił dalej. – Chłopak Hiolski milczy, a pan profesor chce słuchać…

Andrzej coś zaczyna mówić, ale kompletnie nie na temat. W końcu Vrabetz mu przerywa. – Chłopiec Hiolski ma dwóję! Ja się pytam, co chłopiec Hiolski w ogóle umie?

– Śpiewać umie, panie profesorze! – krzyczą z klasy.

– A co może chłopak Hiolski zaśpiewać? – pyta profesor.

Hiolski zaśpiewał pieśń o wojaku… Profesor był wyraźnie poruszony.

– A teraz widzę, że chłopiec Hiolski średniej arytmetycznej nie wyliczy, ale ja to muszę zrobić: 5[5] z matematyki i 1 ze śpiewu, to średnia arytmetyczna będzie trzy… W naszej szkole był też Włodek Hiolski, młodszy brat Andrzeja, też doskonale śpiewał. Po wojnie razem zaczynali karierę w Operze Śląskiej w Bytomiu. Włodek dołączył do swego nazwiska przydomek artystyczny Lwowicz – Włodzimierz Hiolski-Lwowicz, dla podkreślenia swego lwowskiego pochodzenia.

A w czasie okupacji niemieckiej?

Za Niemców nie było średniej szkoły. Żeby przetrwać, zapisałem się do takiej zakonspirowanej średniej szkoły: Państwowej Technicznej Szkoły Zawodowej (Staatliche Technische Fachschule) z polskim językiem nauczania. Tam uczyli polscy profesorowie, którzy przemycali program gimnazjalny. Wychowawcą był prof. Horwat, były wizytator szkół, mieszkał na osiedlu Nowy Lwów. Był strasznym formalistą i trzymał straszną dyscyplinę. Miał syna Jurka, który uciekł mu do lasu do partyzantów i zginął. Był światłym człowiekiem. Kiedy zginął gen. Sikorski, wszyscy mieliśmy w klapie marynarki wplecioną czarną, żałobną wstążkę. Wszyscy! Srogi Horwat, który sadził nam mnóstwo dwój, popatrzył na klasę, rozpłakał

[5] W tamtym czasie skala ocen różniła się od obecnej: 5 – było najniższą oceną, a 1 najwyższą.

się… Otworzył dziennik i alfabetycznie zaczął czytać nazwiska uczniów i skreślać im dwóje… W czasie wojny uczęszczałem na zajęcia teatralne. Chodziłem do sierocińca na ul. Zadwórzańską, którego dyrektorem był pan Światoń. Odbywały się tam zajęcia zakonspirowanego kółka teatralnego prowadzone przez prof. Bieleckiego, lwowskiego aktora. Uczył nas dykcji, poruszania się… Oczywiście w wielkiej tajemnicy graliśmy przedstawienia dla Polaków. Były sprzedawane bilety, a dochód szedł na wsparcie sierocińca. Grałem rolę szaleńca w farsie *Człowiek, który redagował gazetę*. Hiolski śpiewał, występowali m.in. Ludwik Maguder, Andrzej Biedrzycki… Było śmiesznie, widzowie wychodzili zadowoleni. Wracali do okupacyjnej rzeczywistości… Na Boże Narodzenie przygotowaliśmy Jasełka wg. Rydla… Tekst był zmieniony, na „unitę z Wołynia"… To był czas rzezi, ludobójstwa dokonywanego przez OUN UPA na Polakach nie tylko na Wołyniu.

Z tych opowieści wynika, że nie był Pan idealnym dzieckiem…

(śmiech) Rzeczywiście, ku zmartwieniu rodziny, nie byłem ideałem… Grawitowałem do lwowskiej batiarni z okolic Wysokiego Zamku, tzw. chewry… Stąd też do dziś biegle władam lwowskim bałakiem – już dziś nieistniejącym – z okolic Wysokiego Zamku, Kaiserwaldu i Łyczakowa. Brylowali tam Hadziu Szpinak, Ceju Czyż i Kaju Błaszko. Co nie znaczy, że w szkole miałem kłopoty… Miałem dobre stopnie, z wyjątkiem zachowania oczywiście, za ciągłe uczestnictwo w bójkach… (śmiech).

Kiedy zetknął się Pan z działalnością konspiracyjną?

Pierwszy raz w listopadzie 1939 roku… Pierwsza sowiecka okupacja. Próbują nas na wszystkie strony werbować propagandą. Na jakimś obowiązkowym dla młodzieży zgromadzeniu, ja w tym nie uczestniczyłem, zaintonowali *Międzynarodówkę*, a nasza młodzież zaśpiewała *Rotę* Marii Konopnickiej. Zrobiła się straszna chryja, prowadzili dochodzenia. NKWD szalało! Nie wiem, czy to się wydarzyło przed czy po 11 listopada 1939 roku. Byłem wtedy w szóstej klasie. Pocztą pantoflową przychodzi wiadomość: *zbiórka na Cmentarzu Orląt Lwowskich 11 listopada, godzina 18.00*. Mamie nic nie powiedziałem, bo byłby lament, nie idź, zaaresztują cię, wyrzucą ze szkoły – jak to matki… Okazało się, że ta wiadomość poszła do wszystkich polskich szkół. I na Cmentarzu Obrońców Lwowa, gdzie było ponad dwa tysiące mogił, to na każdy grób przypadały co najmniej trzy osoby. Tłok! A świec paliło się tyle, że mój kolega – Wiśniewski – mieszkający na Zielonej, opowiadał potem o łunie nad cmentarzem. Pamiętam jakieś przemówienia. I zakończenie uroczystości, kiedy nad cmentarzem wybuchła pieśń – *Rota*, w której oczywiście zmieniono słowa. W drugiej zwrotce, zamiast o krzyżackiej zawierusze zaśpiewaliśmy:

Do krwi ostatniej kropli z żył
Bronić będziemy ducha,
Aż się rozpadnie w proch i pył
sowiecka zawierucha…

I tak dalej… I po hymnie rozpierzchliśmy się do domów… Wszystkie bramy i boczne bramki były otwarte… Wystawione były czujki… Widać było, że nad spontanicznością ktoś czuwał, że wszystko było precy-

zyjnie przygotowane… Ani jedna osoba nie została aresztowana. NKWD nic się o tym nie dowiedziało. Nie chciało się wierzyć… Ale 11 listopada 1940 roku wystawili taką obstawę milicji i wojska, że nie było możliwości wejść na cmentarz, a co dopiero zorganizować manifestację…

W 1945 roku miał Pan dopiero 17 lat. Jak to się stało, że został pan przyjęty do konspiracji?

Jako chłopcy kręciliśmy się wokół AK, czasem nawet nie mając świadomości, że nas obserwują i oceniają. Doskonale znaliśmy się sprzed wojny. Wierzyliśmy sobie wzajem. Rozmawialiśmy o tym, że trzeba działać, pomagaliśmy w jakichś drobnych sprawach. Oczywiście trzeba było trochę ponaginać z wiekiem, nikt od nas metryki nie żądał… W końcu, w grudniu 1943 roku, zostałem zakwalifikowany do przysięgi wraz z czterema innymi kolegami. Zazwyczaj przysięgę odbierał instruktor, który prowadził szkolenie. Tymczasem zostaliśmy wezwani na pl. św. Zofii, druga kamienica w sąsiedniej uliczce, mieszkanie na pierwszym piętrze. Podajemy hasło, wpuszczają nas i jesteśmy zaskoczeni… W pomieszczeniu, z zasłoniętym firanami oknem, spotykamy oficera w mundurze polskim w randze podporucznika. Na stole leży pistolet, o który oparty jest krucyfiks. Za stołem stoi ksiądz. Oficer czyta zdanie po zdaniu słowa Roty przysięgi, które znamy na pamięć, ale powtarzamy je posłusznie. *W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny Królowej Korony Polskiej, kładę swe ręce na ten święty Krzyż, znak męki i Zbawienia. Przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięcie na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił, aż do ofiary mego życia. Prezydentowi Rzeczypospolitej i rozkazom Naczelnego Wodza oraz wyznaczonemu przezeń dowódcy Armii Krajowej będę bezwzględnie posłuszny, a tajemnicy dochowam niezłomnie, cokolwiek by mnie spotkać miało.* Zapada chwila przejmującego milczenia i w końcu słyszymy słowa wypowiadane przez przyjmującego od nas przysięgę oficera: *Przyjmuję cię w szeregi żołnierzy Armii Polskiej walczącej z wrogiem w konspiracji o wyzwolenie Ojczyzny. Twym obowiązkiem będzie walczyć z bronią w ręku. Zwycięstwo będzie twoją nagrodą. Zdrada karana jest śmiercią.* Ksiądz nas pobłogosławił. Od tej chwili zostaliśmy żołnierzami AK. To był bardzo przejmujący moment, pod którego wrażeniem długo trwaliśmy. Czuliśmy się tak mocni, pełni tajemniczych sił, tego naprawdę nie da się opisać… W szkole kolegą był Adam Dąbrowiecki, który kiedyś zaprosił mnie do swego domu przy ul. Sakramentek. Byłem tam niemal codziennie, bo podkochiwałem się w jego młodszej siostrze Jasi… On też działał w konspiracji, zapytał mnie, gdzie działam, i zaproponował, że załatwi mi przeniesienie: *Powiem staremu, to cię przeniesie*… – powiedział. Jego ojciec, Włodzimierz Dąbrowiecki ps. „Luboń", był w Kedywie, gdzie prowadził sprawy wywiadu. Oczywiście szkoliliśmy się cały czas. Moim instruktorem był podchorąży o pseudonimie „Roman". Później dowiedziałem się, że nazywa się Cisek i z jego najmłodszym bratem chodzę do szkoły. Cisków było trzech, wszyscy działali w konspiracji i cudem uniknęli aresztowania, a w domu mieli cały magazyn broni. Zdążyli, po ostrzeżeniu, broń ewakuować, zanim sami się zakonspirowali. W naszej piątce do dyspozycji kpt. „Lubonia" byli: Adam Dąbrowiecki, Bolek Guzal, Leszek Gretschel, Leszek Nitefor i Stanisław Czerny. Jako pseudonimy wybraliśmy swoje imiona. Roznosiliśmy różnego rodzaju materiały i rozkazy od niego i do niego. Byliśmy też dla niego osłoną. W mieszkaniu była broń. Gdyby nastąpiła wsypa, to – jeśli nie byłoby odwrotu – mieliśmy się czym bronić, by mieć czas na ewentualne zniszczenie dokumentów. Pamiętam inną ważną akcję… Mieliśmy przesyłkę dostarczyć do Brzuchowic. To była skrzynka, nie mieliśmy pojęcia, co w niej jest. Musiało być coś bardzo ważnego, bo podczas wykonywania zadania była bardzo duża, pięcioosobowa, obstawa. Nasza grupa zabezpieczała akcję. W kieszeniach broń i granaty. Eskortowaliśmy przesyłkę koleją od Podzamcza do Brzuchowic. Na szczęście nikt nas nie kontrolował ani nie atakował. Akcja się powiodła. Inna akcja, w której uczestniczyłem, odbywała się na ul. Franciszkańskiej. Przy ul. Kurkowej był komisariat. Z nieodległej cerkwi wychodził młody człowiek, Ukrainiec, który szedł na komisariat. To był agent gestapo. Była grupa likwidacyjna, a my uczestniczyliśmy w akcji jako obstawa. My mogliśmy rozpocząć wycofywanie, dopiero w chwili

RZECZPOSPOLITA POLSKA

LEGITYMACJA

Nr 13-95-275

Warszawa

dnia 4 kwietnia 1995 r.

POSTANOWIENIEM

z dnia 4 kwietnia 1995 r.

Pan **CZERNY**

Stanisław s. Stefana

odznaczony został

KRZYŻEM ARMII KRAJOWEJ

PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Lech Wałęsa

Jako miłą pamiątkę po tamtych czasach przechowuję siedem odznaczeń AK, między innymi Krzyż AK, Akcja Burza, Krzyż Obrony Lwowa. Ja i Leszek Gretschel, po Akcji Burza natychmiast zniknęliśmy. Zatrzymaliśmy się u weterynarza w Świlczy – porucznika AK, gdzie w przypadku zagrożenia mieliśmy się ewakuować. W końcu trafiliśmy do Krakowa. Zatrzymałem się u wuja Henryka w Czyżynach. Rozpocząłem pracę w tytoniach i uczyłem się na kursach wieczorowych, żeby jak najszybciej zdać maturę. W końcu zdaliśmy eksternistycznie małą maturę i zapisaliśmy się do liceum Joteyki, a tam po roku mogliśmy przystąpić do matury. Wtedy dwa lata realizowało się w ciągu roku, by nadrobić w nauce stracony przez wojnę czas. Egzaminatorzy byli bardzo wyrozumiali i szli nam na rękę. Jedynym, którym im podpadł, był Jan Gawlik… I nie zdał matury! Rodowity lwowianin, bardzo mądry i inteligentny. Napisał wypracowanie niezgodne z ówczesną ideologią, ale ocenione przez polonistkę na bardzo dobry. Podważył tę ocenę kurator Wolański, który był przewodniczącym komisji. Podczas rozmowy Gawlik nie wycofał się ze swych tez i dostał dwóję… We Lwowie działał w AK. Znałem go pod nazwiskiem Stefan Dozorcow. Jak była wsypa na ul. Wyspiańskiego we Lwowie, już w czasie drugiej sowieckiej okupacji miasta, aresztowali wielu naszych kolegów. Wśród zatrzymanych był Dozorcow. Jakimś cudem udało mu się uciec. Przy pomocy księży dostał lewe dokumenty. Gdy spotkałem go w liceum Joteyki, jak mnie zobaczył, złapał mnie za rękę i konspiracyjnie wyszeptał: *Nic nie mów, ja się teraz nazywam*

gdy zniknie grupa likwidacyjna. To nie było łatwe zadanie, bo po wykonaniu egzekucji musieli zlikwidowanemu zabrać broń i dokumenty. Akcja poszła sprawnie. Wycofaliśmy się, dziewczęta – łączniczki zabrały od nas broń. Ukraińcy z koszar nie wyszli na tę strzelaninę. A my się rozproszyliśmy.

W lipcu 1944 roku uczestniczył Pan w Akcji Burza…

Nasz dowódca – kpt. Włodzimierz Dąbrowiecki, przed Akcją Burza zmienił pseudonim na „Wisła". Był zaangażowany bezpośrednio w sztabie. Został aresztowany przez Rosjan i parę lat był internowany w obozie jenieckim. W tej akcji brałem udział, ochraniając wraz z naszą piątką i innymi żołnierzami odcinek Wałów Hetmańskich od Kościoła Karmelitów, Basztę Prochową, Pałac Arcybiskupi do ul. Klasztornej, odcinając ewakuację Niemców w kierunku dworca kolejowego.

KOMITET ORGANIZACYJNY 50-lecia POWSTANIA WARSZAWSKIEGO I *AKCJI BURZA* POD PROTEKTORATEM PREZYDENTA RZECZPOSPOLITEJ POLSKIEJ

przyznaje:

Stanisławowi Czernemu

ODZNAKĘ PAMIĄTKOWĄ *AKCJI BURZA*

pieczęć

Sekretarz Stanu

RZECZPOSPOLITA POLSKA

ARMIA KRAJOWA

AKCJA BURZA

LEGITYMACJA

ŻOŁNIERZA AK *AKCJA BURZA*

Nr...

Jan Paweł Gawlik… Tak, zapamiętam – odpowiedziałem. Jak przyszła Solidarność, on już nie ukrywał swego prawdziwego nazwiska i zrobili z niego Ukraińca… Wtedy Andrzej Hiolski, Włodek Hiolski i ja – wszyscy świadczyliśmy o jego polskości! Gawlik był ważną i znaną postacią w świecie kultury. Takich, którzy chcieli go zniszczyć, nigdy nie brakowało…

BRACTWO
ORLĄT LWOWSKICH
Członek
zwyczajny – ~~honorowy~~

LEGITYMACJA
Nr III/T/30
wydana Uchwałą
Kapituły z dnia
22-XI-1981

Miasto Zawsze Wierne
RZECZYPOSPOLITEJ
nadaje
swojemu Obrońcy
Panu (i):
Stanisławowi Cmentarzowi

KRZYŻ
OBRONY LWOWA
1939 – 1944
W imieniu Kapituły
sekretarz
przewodniczący

Jak się dalej potoczyło Pańskie życie?

Po maturze – zdawałem w lutym i nie było szans na składanie wstępnych egzaminów na studia – drapnęli mnie do wojska. Tam utknąłem na dłużej. Ponieważ miałem przeszłość związaną z AK, której nie mogłem ukrywać, to kariery wojskowej nie zrobiłem. Po kursie oficerskim – musiałem go trzykrotnie odsłużyć. Zapychano mną luki, przeważnie w kwatermistrzostwie… Byłem p.o. oficera żywnościowego, kwaterunkowo-budowlanym, dowódcą Hufca Służba Pracy – pracującego przy odbudowie obiektów wojskowych. W sumie nie był to czas stracony, bo zdobyłem trochę umiejętności. Zacząłem studia w krakowskiej Wyższej Szkole Nauk Społecznych na Wydziale Administracyjnym, który pod koniec III roku połączono z Wydziałem Prawa UJ. Dyplom po zdaniu egzaminów podpisywał dziekan Wydziału Prawa i rektor UJ. Potem, dzięki szczęściu i znajomościom, udało mi się zwolnić z wojska. W cywilu pracowałem w zaopatrzeniu, planowaniu, jako główny ekonomista, potem na różnych kierowniczych stanowiskach… Jednak moją ulubioną pracą było zorganizowanie – wydzielonego z Zarządu Zieleni Miejskiej – Miejskiego Parku i Ogrodu Zoologicznego. Doprowadziłem do wybudowania drogi dojazdowej do ZOO i parkingu, dzięki wieży ciśnień skończył się deficyt wody, a nowa stacja trafo zabezpieczyła dostęp do energii elektrycznej. Rozbudowa i ciągła modernizacja pozwoliły na przejście do grupy większych ogrodów zoologicznych. Udało się uratować otoczenie i małą architekturę Sowińca, czyli Kopca Józefa Piłsudskiego, a sam kopiec wzmocnić systemem korzennym krzewów. Muszę podkreślić wybitną pomoc posła Józefa Raźnego[6] przy tych ostatnich działaniach. Potem pracowałem na kierowniczych stanowiskach w Instytucie Kształtowania Środowiska, Peweksie i – ponad 10 lat – w Krakowskiej Spółdzielni Cukierniczej z 300-osobową załogą. Mogłem we względnym dostatku utrzymać pięcioosobową rodzinę. W sumie przepracowałem 48 lat! Od roku 1989 działam aktywnie w Towarzystwie Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, wchodząc do zarządu i w końcu nim kierując. Od 2008 roku moją życiową pasją stało się ratowanie Cmentarza Łyczakowskiego. Dzięki udanej środowiskowej współpracy udało się osiągnąć imponujące rezultaty w odniesieniu do naszych możliwości. W 2021 roku, mając 93 lata, doszedłem do wniosku, że należy zrezygnować z kierowania zarządem krakowskim TMLiKPW. Korzystam z okazji tej rozmowy i dziękuję wszystkim za okazane mi wyrazy życzliwości i uznania. A memu następcy, którego bardzo wysoko oceniam, prezesowi Leszkowi Popławskiemu, i zarządowi – dalszych sukcesów.

Serdecznie dziękuję za rozmowę, życząc kolejnych sukcesów w pracy na rzecz TMLiKPW!

[6] Józef Raźny (1915–1976), rzemieślnik krakowski, działacz Stronnictwa Demokratycznego w Krakowie, wieloletni przewodniczący oddziału krakowskiego SD, poseł na Sejm PRL II, III i IV kadencji.

Jak to na Podolu drzewiej bywało

Wspomnienie – Rozalia Szpytma (z domu Brzezińska)

Powyższy tekst jest częścią wspomnień Pani Rozalii Szpytmej. Ze względu na to, że wspomnienia są obszerne i dotyczą wielu wątków, wybrałam fragment, który opisuje życie w jednej z wiosek, położonych na Podolu. Początkowo wydawało mi się, że są to takie zwykłe opisy, jak to bywa na wsi, w gospodarstwie, w różnych porach roku. Opowiadanie o znanych działaniach w gospodarstwach rolnych wydawało mi się nieco banalne. Ale w pewnym momencie, chyląc czoło wobec Pani, która te swoje wspomnienia napisała, pomyślałam, że trzeba znaleźć sens publikowania tych treści. I… uświadomiłam sobie, że choć nie było to całe wieki temu, to dziś mamy do czynienia z zupełnie inaczej prowadzonymi pracami na roli i w wiejskich ogrodach, o ile w ogóle prowadzi się uprawy, pielęgnuje ogrody warzywne i wreszcie organizuje wspólnie z sąsiadami działania, które pochłaniają dużo czasu; jest jakaś kolejność prac, która rozsądnie poprowadzona zajmuje prawie cały rok, prócz czasu zimowego.

Równocześnie dowiadujemy się o życiu kulturalnym mieszkańców Wierzbowca, niewielkiej wsi, ale jakże prężnej w działaniach wszelakich. I wreszcie myślę, że warto określić wartość konopi w innym aspekcie.

Jest to opowieść, która i nam może przynieść sympatyczne myśli i wspomnienia z dawnych czasów.

Na postawie fragmentu wspomnień opracowała Anna Stengl.

Wierzbowiec leży w powiecie trembowelskim na Podolu. To moja wioska rodzinna, tam urodziłam się 26 lipca 1932 roku. Wieś zamieszkana była przez ludność ruską i polską, przy czym ludności ruskiej było więcej. Sąsiednią wioskę zamieszkiwali Rusini, tylko z rzadka były domy Polaków. Używam tu określeń ludność ruska, Rusini, bo tak wtedy mówiło się na Ukraińców.

Moją wioskę żegnałam, gdy miałam 12 lat, ale dużo pamiętam, jak tam było za tamtych czasów. Zanim nastały lata wojenne, było pięknie i wesoło. Rodzice moi, Katarzyna (z domu Kubaczkowska) i Alojzy Brzezińscy, byli rolnikami. Gospodarzyli na średnim gospodarstwie, mieli dwa i pół hektara ziemi uprawnej i jeden mórg pięknej łąki „na kapeluchu"; nasze pola, nasze łąki miały swoje nazwy.

Chata na Podolu, źródło NAC

Wioska leżała w miejscami głębokim, miejscami rozległym jarze. Jego środkiem płynęła niewielka rzeka Zwiniacz, która wpadała do Seretu w Budzanowie. W czasie suszy była płytka, ale po ulewnych deszczach bardzo głęboka.

Na zboczach jaru, po obu jego stronach, rozrzucone były domy, po dwa z każdej strony

Jagielnica Podole, źródło NAC

rzeki. Między domami prowadziły dwie drogi z Wierzbowca – do Laskowiec i do Budzanowa. Większość domów była lepiona z gliny i słomy i kryta słomianą strzechą, dzięki czemu domy były suche i ciepłe. Jednak coraz częściej budowano domy murowane, kryte dachówką albo blachą. Murowany był też kościół i piękny, piętrowy Dom Ludowy, w którym na piętrze była duża sala ze sceną, na dole mleczarnia, sklep spożywczo-przemysłowy i klasy lekcyjne w czasie wojny, jak przyszli sowieci. Przed wojną dzieci chodziły do szkoły do Wierzbowca po ukraińskiej stronie. Ponieważ szkoła była w środku wioski, uczyliśmy się wspólnie.

Podole to nie tylko piękne, malownicze krajobrazy, ale i urodzajne gleby: czarnoziem stepowy i bagienny, a zatem dobrze rozwinięte rolnictwo.

Ludzie tam mieszkający kochali tę ziemię i sumiennie na niej pracowali. Widziałam to na przykładzie moich rodziców, którzy byli bardzo pracowici i mnie do tego przyzwyczajali. Już mając 6 lat, pędziłam krowy na pastwisko. Jesienią po zbiorach ojciec siał zboża ozime – pszenicę, żyto, a na wiosnę zboża jare – owies, jęczmień, pszenicę jarą, grykę i proso. Po zasianiu zbóż jarych sadzono ziemniaki, siano buraki cukrowe, w maju kukurydzę i fasolę. Mama uprawiała ogród – na wydzielonym zagonie siała konopie (2–3 ary), sadziła wczesną odmianę ziemniaków, warzywa, a w maju, na Stanisława, ogórki, kukurydzę i fasolę.

Ogród był obsadzony dookoła słonecznikami, a na zagonach, już po wzejściu kukurydzy, sadzono dynie i arbuzy. Kukurydzy sadzono u nas sporo, większe zagony były na polu. Wiadomo, że pracy było dużo – kiedy rośliny wzeszły, zaczęły rosnąć, trzeba je było okopywać motykami i usuwać chwasty. Przy radleniu ziemniaków wykorzystywano konie, ciągnęły one płużek, który podsuwał ziemię pod krzaki ziemniaków. Pielenie trwało prawie do żniw, równocześnie trzeba było skosić łąkę i po wysuszeniu zwieźć siano.

Żniwa to długa – wieloetapowa i ciężka praca w polu, która później trwała koło domu.

Zboża koszono sierpem albo kosą. Zboża aby wyschły, wiązano w snopki i ustawiano na polu w półkopki. Potem zwożono je do obejścia i stawiano na wielkie stogi, odpowiednio je przykrywając, aby nie zamokły. Były też budowane brogi (rodzaj szopy bez ścian, tylko z zadaszeniem). Młócenie zboża odbywało się jesienią albo zimą, w pogodne dni. Młócono w kilka osób cepami, ale przed wojną już zaczęto też młócić młocarniami.

Po żniwach mama zaczynała wybierać konopie. Najpierw wyrywała już dojrzałe rośliny z kwiatem męskim, a trochę później, kiedy nasiona były już twarde, pozostałe z kwiatem żeńskim. Pomagałam mamie, wyrywałam łodygi konopi, mama wiązała je w nieduże snopki, rozstawiała na wolnym polu. Wyschnięte snopki nasienne trzeba było wymłócić, nasiona oczyścić. W olejarniach bito z nich olej. Olej z konopi był smakowity, lepszy niż rzepakowy. Ubocznym produktem olejarni był makuch, który w kształcie grubego krążka po rozmoczeniu służył jako karma dla bydła.

Olejarnie znajdowały się w odległych miejscowościach, z tego powodu dojazd furmanką był całodzienną wyprawą.

Suche, wymłócone snopki konopi wiązano w mendle i moczono w rzece, tak żeby łodygi nie wystawały z wody. Musiały moczyć się dość długo, około miesiąca. Gdy łodygi łatwo się łamały, a włókna odstawały, mama rozwiązywała mendel i płukała każdy snopek tak długo, aż łodygi były białe. Po wyschnięciu snopków wysuszone konopie mama międliła na drewnianej międlicy. Po odpadnięciu paździerzy zostawało włókno, które trzeba było wyrównywać i starannie czesać. Część włókien była długa i równa, część splątana i to były te gorsze. Z włókien cienkich i równych mama przędła nici, zwijała je na motki i po wypraniu, wyciągnięciu, zanosiło się do tkacza. Warsztat tkacki zajmował pół izby, można było na nim utkać cieńsze i grubsze płótno. Z cieńszego płótna, po wybieleniu na słońcu, szyło się obrusy, ręczniki, prześcieradła, a nawet ubrania dla dzieci i dorosłych. Obrusy, ręczniki i narzuty zdobiono haftem. Z gorszych włókien przędło się grubsze nici, z których tkano grube płótno. Szyto z niego worki i płachty.

Dzieci i młodzież wychowywano do pracy, zajmowali się tym przede wszystkim rodzice, a pomagała szkoła i Kościół. W Domu Ludowym były prowadzone kursy gotowania, haftowania i wyszywania, robót na drutach – prowadziły je córki ziemianina Zawadzkiego.

Jesienią zbierano z pól kukurydzę, kopano ziemniaki i buraki. Najwięcej pracy było z kukurydzą. Po zebraniu z pola trzeba było każdą kolbę obrać z łupin, a kukurydzy było dużo. Spraszano więc do pracy sąsiadów i krewnych. Można powiedzieć, że prace na tłokach i przy darciu pierza to były spotkania towarzyskie. Rozmowy, żarty i pieśni umilały zebranym pracę. Po zakończeniu tłoki, gospodyni czym mogła gościła pracujących, najczęściej była to herbata i chleb z masłem, ale czasem podawała coś mocniejszego, nalewkę wiśniową albo wino domowej roboty.

Obieranie kolb z nasion odbywało się przeważnie zimą. W długie zimowe wieczory cała rodzina zasiadała do łuskania kukurydzy, z której potem otrzymywano pokarm dla

ludzi. Gorsze ziarna wykorzystywano jako karmę dla zwierząt i ptactwa domowego.

Gdy nadeszły zimowe wieczory, skończyły się prace polowe, plonowe, gospodarcze, czytano książki. Pamiętam, jak mój ojciec czytał *Trylogię* i książkę *Sobieski pod Wiedniem*, a babcia Rozalia, mama mojego taty, nam, dzieciom, czytała „Rycerza Niepokalanej" i uczyła nas pieśni religijnych. To, że dzisiaj śpiewam wiele pieśni z pamięci, to jej zasługa. Wszystko to odbywało się w jednej izbie, przy lampie naftowej w czasie zimy.

Ośrodkiem życia społecznego i kulturalnego był kościół i Dom Ludowy. Tu odbywały się uroczystości państwowe, przedstawienia i zabawy taneczne. Pamiętam przygotowania zespołu ludowego do występu na dożynkach powiatowych w Trembowli. Zespół Wierzbowian został tam wyróżniony za piękny śpiew i stroje krakowskie.

Nad rzeczką Zwiniacz były liczne źródła, które dostarczały zdrowej wody pitnej. Ujęcia były obudowane, zwano je „kiernicami". Wieczorem, 24 czerwca, w Noc Świętojańską, przy „kiernicach" zbierały się kobiety i dziewczęta, dekorując je kwiatami i zielenią, a potem rozlegały się śpiewy do późnych godzin nocnych. Ja też, z mamą, brałam udział w tej Nocy Świętojańskiej.

Z dzieciństwa utkwiło mi w pamięci także to, że moja wioska była bardzo rozśpiewana. W Domu Ludowym odbywały się próby chóru, zorganizowano orkiestrę dętą, a poza tym była też Straż Pożarna. Dobrymi organizatorami zajęć dla młodych byli księża – ksiądz Wojtuś, ksiądz Janczewski.

W roku 1936 na dużej parceli zaczęto budować kolonię Rudka. Parcelę pod budowę kolonii rząd wykupił od ziemianina Zawadzkiego dzięki ulgowym kredytom państwowym. Mieszkańcami Rudki byli dawni Legioniści Marszałka Piłsudskiego. Ziemię, wraz z zabudowaniami, dostali w nagrodę za udział w wojnie z Rosją w 1920 roku. Wiosną 1938 roku na Rudkę sprowadziło się 36 rodzin z województwa rzeszowskiego, ze wsi Kraczkowa. Domy mieszkalne, budynki gospodarcze, studnia, ziemia należąca do jednego gospodarza były ogrodzone. Były to wzorcowe gospodarstwa rolne.

Ludzie z Wierzbowca pomagali kolonistom przywieźć ich dobytek i ludzi z wagonów podstawionych na stacji w Trembowli.

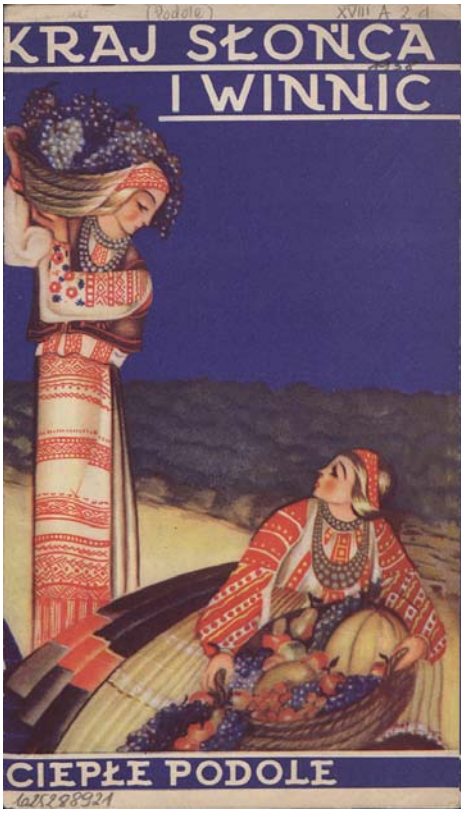

Okładka informatora turystycznego Podolu

Tak zaczęła się nasza przyjaźń i zażyłość z ludźmi z kolonii Rudka. W początkowym okresie nie wszystkie urządzenia w Rudkach były gotowe. Pamiętam, że rodziny z kolonii przyjeżdżały do naszego domu piec chleb, z gotowym już wyrośniętym ciastem, a w niedzielę i święta odwiedzaliśmy się nawzajem. My z siostrą poznałyśmy dzieci tych rodzin, przybyły nam nowe koleżanki i koledzy.

Na początku stycznia 1945 roku przyszedł rozkaz żebyśmy się spakowali i wyprowadzili do Trembowli, gdzie mieliśmy czekać na transport, który zawiezie nas do Polski, na Ziemie Zachodnie. Na transport czekaliśmy cztery miesiące. Zakończenie wojny obchodziliśmy jeszcze w Trembowli. W końcu nadszedł czas. Wyjechaliśmy na zachód – mama, ja, jako najstarsza z rodzeństwa, siostra (9 lat) i brat (3 lata). Ojca zabrano na wojnę, gdzieś w głąb Rosji.

To moja opowieść o Podolu, rodzinie, gospodarowaniu, życiu na wsi. Kiedyś napiszę jeszcze o zdarzeniach innych niż sielanka na podolskiej wsi.

Franciszek Haber

Żywioły Conrada

Salut Kapitanie

Odbija morskie zwierciadło
wszystkie pokłady i żagle
tutaj surdut chroni przed wiatrem
pod marynarską czapką oblicze
jak mapa pełna nostalgii
z pomieszanymi kursami
i szmaragdową falą rejsu
toczącą paginy refleksji
o etosie człowieka
na morzu życia

w jasnej pasteli południa
szepczącym ogrodzie oceanu
kwitnie pełnymi żaglami
dziwny kwiat bark Otago
metafora białego cienia

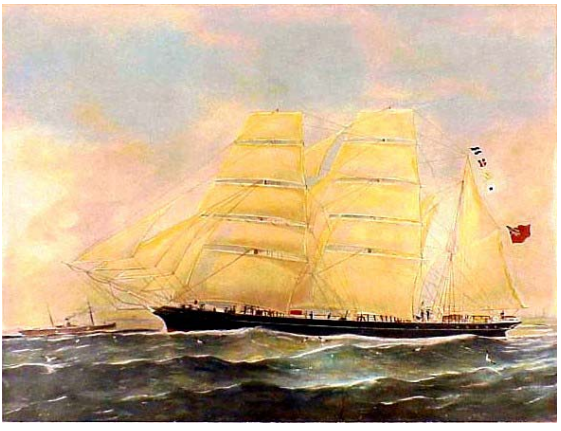

Bark „Otago", obraz z okładki pierwszego wyd. „Zwierciadła morza" (przed 1906), źródło: domena publiczna

znikająca za ostatnim
widnokręgiem iluzji
zostawiając smutek
macochy ojczyzny
zapisany traktatem
o kresie włóczęgi
atramentem z Tamizy

ze zbioru „Wygnany w siebie" 2018

O Conradzie tyle już napisano i wciąż się pisze, że nie sposób uniknąć powtórzeń czy wręcz kompilacji opinii czy opisów. Sam będąc jachtowym kapitanem żeglugi wielkiej o sporym stażu, przypuszczam, co może tkwić w marynarzu, jakie rozterki czy emocje targają wnętrzem na codziennym pokładzie obowiązku. Dlatego w tym eseju znajdują się głównie informacje z morzem i Conrada twórczością związane. Swoisty bilans człowieka i pisarza.

Urodzony w Berdyczowie (03.12.1857), dzieciństwo miał tułacze. Już w 1861 roku rodzice przenieśli się do Warszawy, a następnie po aresztowaniu ojca za działalność niepodległościową znaleźli się na zesłaniu, gdzie matka zmarła na gruźlicę (1865). Gdy z zesłania powrócił schorowany ojciec (1867), mieszkali przez dwa lata we Lwowie, a potem ciężko chory ojciec zabrał syna do Krakowa i tutaj wkrótce zmarł (1869). Po śmierci ojca opiekę nad Józefem Konradem sprawował wuj Tadeusz Bobrowski. Konrad w tym czasie często chorował i uczył się głównie prywatnie. Dla poratowania zdrowia, pod opieką korepetytora, wzmacniał się także w Szwajcarii.

Kuzyn Bobrowicza Antoni Syroczyński prowadził we Lwowie szkołę z internatem dla sierot po powstańcach, więc wuj wysłał siostrzeńca do Lwowa, ale przyszły pisarz zrezygnował po roku z lwowskiej edukacji. Wrócił do Krakowa i przekonywał wuja do swojego wyboru zawodu marynarza. Być może zainteresowanie morzem rozbudziła lektura książki *Pracownicy morza* Wiktora Hugo, przetłumaczona przez ojca Apollona Korzeniowskiego herbu Nałęcz, a może dramaturgia popowstaniowa, umieranie ojca, krakowskie osamotnienie. Ten syndrom duchowego wyalienowania wyniesiony z dzieciństwa niósł na swoich barkach przez całe dorosłe życie. Uciekał od przeszłości, wybrał więc morze i wyjechał

Mały Konrad,
źródło: domena publiczna

Rodzice Józefa Korzeniowskiego Ewa i Apollo, źródło: domena publiczna

do Marsylii (14.10.1874) z przyznaną przez Tadeusza Bobrowskiego pensją 600 rubli rocznie. Początkowo był tutaj pod opieką krewnego wuja Wiktora Chodźki i z jego rekomendacji młody adept sztuki żeglarskiej trafił do firmy armatorskiej Delestanga i na pokłady jej statków.

Cztery lata pozostawał w służbie francuskiej (1874–1878), gdzie pływał na barku „Mont Blanc" najpierw jako pasażer (na Martynikę), potem praktykant (na Haiti), czy steward na barku „Saint Antoine" (Martynika, Haiti, Wenezuela, Kolumbia). Rejs zakończył w lutym (1878). W tymże lutym próbował popełnić samobójstwo, na szczęście nieudane, a z długów wiszących nad jego głową wyratował go wuj, który przyjechał do Marsylii, spłacił wszystkie należności siostrzeńca i podwyższył mu pensję do 950 rubli rocznie. Perypetie z wizą francuską, nie pozwalały na dalsze mustrowanie na statki francuskie.

Jako poddany rosyjskiego cara, zagrożony poborem do wojska, za namową wuja przezornie zaciągnął się do floty brytyjskiej na parowiec „Davis", idący w kwietniu w rejs

Herb Nałęcz, źródło: domena publiczna

Tadeusz Bobrowski, źródło: domena publiczna

Kliper „Duke of Sutherland" 1865, źródło: domena publiczna

do Konstantynopola. W czerwcu statek z Conradem powrócił do Anglii, gdzie w lipcu najął się jako marynarz na szkuner „The Skimmer of the Sea" (pensja 1 szyling na miesiąc). Po trzech rejsach pomiędzy Lowestoft a Newcastle wrócił na ląd (wrzesień), aby w październiku znów jako marynarz popłynąć na pięknym kliprze „Duke of Sutherland" do Australii. Po powrocie zamustrował już jako starszy marynarz na parowiec „Europa" w rejsie na Morze Śródziemne.

W tych rejsach z pewnością nabierał doświadczenia, nauczył się wiele, dopinał swego, aby po kolejnym zejściu na ląd przygotować się do egzaminu na patent drugiego oficera (2nd mate), który zdał 28 maja. W sierpniu już jako trzeci oficer (3rd mate) na kliprze „Loch Etive" pożeglował do Australii (gaża 3 funty 10 szylingów). Po powrocie zmienił statek i zamustrował jako drugi oficer na bark „Palestine", odbywając na nim kilka rejsów. W ostatnim rejsie u wybrzeży Sumatry z powodu pożaru ładunku (węgiel) załoga opuściła tonący statek (marzec 1883) i odstawiona została do Singapuru na brytyjskim parowcu „Sissie", gdzie w postępowaniu sądowym została uniewinniona, a Conrad wrócił do Londynu (maj 1883). Między jego morzami zdarzały się rodzinne epizody lądowe, chociażby spotkanie z wujem w Czechach i spędzenie z nim dwóch letnich tygodni w Cieplicach.

Loch Etive – 1877, źródło: domena publiczna

Po powrocie we wrześniu 1883 roku, zamustrował jako drugi oficer na kliper „Riversdale" w rejsie do Madrasu (pensja 5 funtów 5 szylingów). W kwietniu 1884 roku, po kłótni z kapitanem, opuścił statek w Madrasie. I jeszcze w tym samym miesiącu zaciągnął się na kliper „Narcissus" (2nd mate) z pensją 5 funtów. W październiku pożegnał się ze statkiem w Dunkierce. Myślał już o egzaminie.

Conrad z pewnością w tamtych latach był duchem niespokojnym, przepełnionym ambicją dorównania najlepszym, co poświadczają kolejne egzaminy morskiej profesji.

W grudniu zdał egzamin na patent pierwszego oficera (1st mate), gdyż listopadowa

próba była nieudana. Jego pasja życia rozpisywana na daty kolejnych rejsów, brzemię doświadczeń i poznawanie plejady ludzkich charakterów, posłużyły za kanwę wielu powieści oraz z życia wziętych archetypów bohaterów jego twórczości.

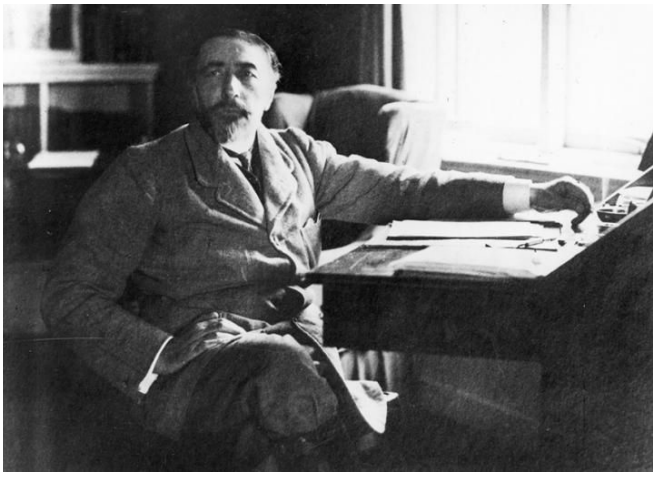

Konrad Korzeniowski w literackim żywiole, źródło: domena publiczna

W kwietniu (1885) zamustrował (2nd mate) na kliper „Tilkhurst" (gaża 5 funtów) i pływał na nim (Singapur, Kalkuta) do czerwca 1886 roku. Schodzi w Dundee.

W lipcu nie zdał egzaminu kapitańskiego, w sierpniu uzyskał obywatelstwo brytyjskie, a w listopadzie zdał egzamin na kapitana brytyjskiej marynarki handlowej i zaraz zaciągnął się (2nd mate) na fregatę parowiec „Falconhurst", aby jednak po kilku dniach zrezygnować. Następnie jako pierwszy oficer wypłynął w lutym 1887 roku z Amsterdamu na barku „Highland Forest" (pensja 7 funtów). Po zawinięciu do Semarangu na Jawie opuścił statek z powodu choroby i przeszedł kurację w szpitalu w Singapurze.

Po powrocie do zdrowia zaciągnął się na mały parowiec „Vidar" pływający na stałych rejsach wzdłuż wybrzeży Borneo i Celebesu. W styczniu 1888 roku pożegnał parowiec w Singapurze i 24 stycznia 1888 roku otrzymał nominację w Bangkoku na kapitana barku „Otago" z pensją 14 funtów miesięcznie. Bark wypłynął z Bangkoku (9 lutego) do Sydney. Potem Melbourne, Sydney, Mauritius. W listopadzie odpłynął do Melbourne i Adelajdy, gdzie Conrad zrezygnował z dowodzenia (26 marca 1889). Powrócił na ląd jako pasażer niemieckim parowcem „Nürnberg", a w maju był już w Londynie. Tu 2 lipca dowiedział się z ogłoszenia w rosyjskiej prasie o swoim zwolnieniu z poddaństwa rosyjskiego.

Po tej nużącej wyliczance morskich podróży Conrada łatwo dostrzec, jak ustawicznie poszukiwał swojego miejsca w marynarskiej profesji, z pewnością nabierając biegłości w morskiej służbie, co skutkowało coraz wyższymi funkcjami na różnych statkach, do kapitana włącznie. Statek bowiem jest kuźnią charakterów, trwa tutaj trudny proces docierania się załogi, która w każdych warunkach pogodowych musi działać precyzyjnie, jak dobrze naoliwiony mechanizm, ażeby żaglowiec niezbyt mocno poobijany wychodził ze sztormów. Szybko opuszczają żaglowce słabi wiedzą i umiejętnościami, ludzie konfliktowi i nieudacznicy. W tym mikrokosmosie pokładów dojrzewał pisarz światowego formatu.

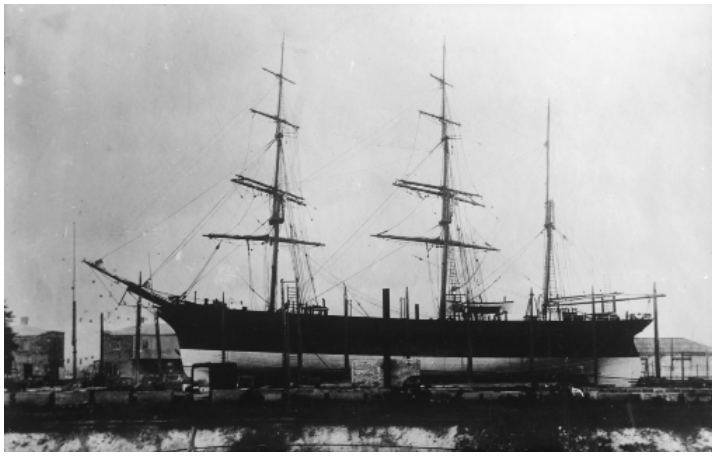

Bark „Otago" 1878 na slipie, źródło: domena publiczna

Pamięci Conrada

Pośród rozigranych fal oceanu
wichrów i rozszalałych sztormów
jest czas na wrażliwy odbiór
przytłaczającego piękna świata
rozpisanego na bezkres
i samotność fregaty

jest tajemnica oczyszczenia
wyczuwana instynktownie
na kursie za widnokrąg
zbawienna metamorfoza
na rozbujanym pokładzie

oczekiwanie na spełnienie
medytacja nad własnym losem
jest terminowanie u wrót sztuki
zdawanie relacji z cisz pięknych
rozmigotanych leniwym rozkołysem
błyszczących cekinami balowych tkanin
w żaglach drogi mlecznej
igrającej między masztami

nagle postrzępionymi chmurami
rwanymi w szponach wiatru
nad zbełtaną powierzchnią strachu
w rozgrzywionym poszumie
werbli burt żałobliwych

tutaj żeglarz jest okruchem piasku
gdy w kipieli drży o przetrwanie
na morzu dla wszystkich otwartym
nie dochowującym jednak
wierności nikomu
bo morze wciąż gotowe
zdradzić w każdej chwili
nawet najlepszych

każdy przypływ i odpływ
to błękitny miraż w pamięci
chrobot łańcucha w kluzach
słony retusz na wargach

morze zagadka ziemi
zawsze niedopowiedziana
niewyczerpana skarbnica złudzeń
rozpisana wiatrami na fale
kruchego istnienia

ze zbioru „Wygnany w siebie" 2018

Konrad Korzeniowski na pokładzie, źródło: domena publiczna

Jesienią (1889) przy londyńskiej Bessborough Gardens, gdzie mieszkał, zaczął pisać swoją pierwszą powieść *Szaleństwo Almayera.* W lutym wizytował w Brukseli ciężko chorego kuzyna Aleksandra Paradowskiego, który umarł dwa dni później. Następnie odwiedził Warszawę w drodze do wuja Tadeusza Bobrowskiego w Kazimierówce na Ukrainie, także Lublin, gdzie był gościem Zagórskich, oraz Radom, goszcząc u wdowy po Kazimierzu Bobrowskim. W kwietniu był ponownie w Brukseli. Zatrzymał się u Marguerity, wdowy po Alek-

Joseph Conrad, źródło: domena publiczna

sandrze, i później przez wiele lat prowadził z nią zażyłą korespondencję.

W tym czasie Belgijska Spółka Akcyjna do Handlu z Górnym Kongiem szukała kapitana ze znajomością języka francuskiego. Być może z pomocą Marguerity, dostał angaż i już w maju odpłynął z Bordeaux na parowcu „Ville de Maceio", aby objąć dowodzenie na belgijskim rzecznym parowcu „Florida" na rzece Kongo.

Warto tutaj dokładniej przyjrzeć się tej półrocznej afrykańskiej dramaturgii, która poważnie zaważyła na jego zdrowiu. Po dopłynięciu do Matadi na rzece Kongo zszedł na ląd, następnie ekipa wyruszyła pieszo do Kinszasy (ok. 300 km). Po przybyciu dowiedział się, że jego stateczek uległ wypadkowi i w związku z tym odpłynął w górę rzeki na statku „Roi de Belges" (jako pierwszy oficer), docierając do Stanley Falls (Kisangami). Od 7 września z powodu choroby kapitana dowodził tym rzecznym statkiem, docierając 24 września do Kinszasy. Z dniem 19 października chory na febrę i dyzenterię, wycieńczony fizycznie i psychicznie, zrezygnował z pracy w Kongu. Pod koniec stycznia 1891 dotarł do Londynu. Przez dwa miesiące leczył się w szpitalu, ale do końca życia już nie odzyskał pełni zdrowia.

Drugą kurację odbył w Champel-les-Bains w Szwajcarii, a po powrocie pływał na Morzu Północnym (czerwiec–lipiec) na jachcie przyjaciela G.W.F. Hope'a.

W miarę zregenerowany, w listopadzie zamustrował (1st mate) na sławny w tamtych czasach kliper pasażerski „Torrens" i odbył na nim dwa rejsy do Australii. Po tych rejsach odwiedził wuja w Kazimierówce, a po powrocie został drugim oficerem na pokładzie parowca „Adowa". Po zakończeniu tego rejsu (17.01.1894) definitywnie zakończył służbę morską. Był jeszcze dwa dni na Morzu Północnym na poławiaczu min „Bombardier" oraz 12 dni na uzbrojonej brygantynie HMS „Ready". Był to Q-boat (statek-pułapka), zakamuflowany jako statek handlowy flagi norweskiej.

„Roi de Belges" statek rzeczny w Kongo 1889, źródło: domena publiczna

Służbę na morzu można ująć lapidarną statystyką. Dzienniki skrupulatnie notują zaokrętowanie i wyokrętowanie załóg, więc nie jest trudno sięgnąć do morskich archiwów. Przyjrzyjmy się więc tym wypisom. W sumie Conrad przebywał na statkach 11 lat, 2 mies. i 3 dni. Podróże pasażerskie trwały

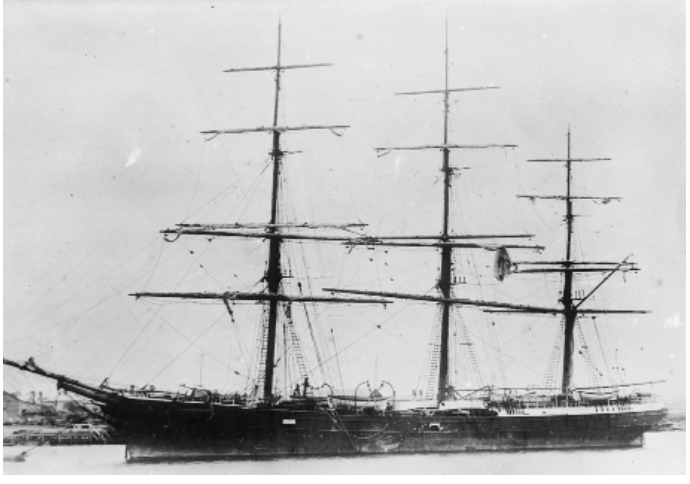

Kliper „Torrens" 1875, źródło: domena publiczna

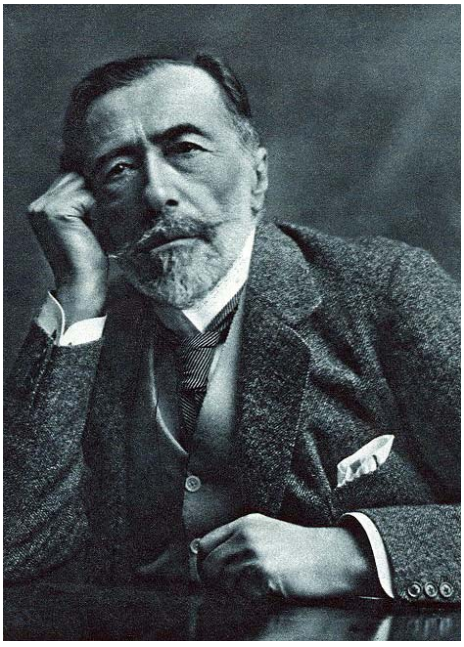

Conrad, źródło: domena publiczna

ok. 5 mies. Łącznie na morzu był 8 lat, 3 mies. i 18 dni:

- jako marynarz – 2 lata, 7 mies. i 1 dzień
- jako trzeci oficer – 8 mies. i 5 dni (na morzu 6 mies. i 17 dni)
- jako drugi oficer – 3 lata, 10 mies. i 23 dni (na morzu 2 lata, 6 mies. i 14 dni)
- jako pierwszy oficer – 2 lata, 3 mies. i 14 dni (na morzu 2 lata i 8 dni)
- jako kapitan – 1 rok, 2 mies. i 8 dni (na morzu 7 mies. i 21 dni)
- na parowcach – 9 mies. i 8 dni, nie licząc ok. 45 dni na „Roi des Belges"
- na jachcie G.W.F. Hope'a – po kilka dni (kanał La Manche i Morze Północne).

Zmarły 10 lutego Tadeusz Borowski, wuj ze strony matki, zostawił mu w spadku 15 000 rubli. Joseph Conrad, bo już tak będzie się podpisywał, zadedykował mu („TB") swoją pierwszą książkę (rękopis ukończony 24 kwietnia 1894). W sierpniu pisarz wyjechał na kolejną kurację do Champel pod Genewą. Tutaj rozpoczął pracę nad *Wyrzutkiem*.

Teraz zaczął się jego długi literacki rejs na lądzie. 24 marca 1896 zawarł związek małżeński z urzędniczką Jessie George. Następnie nowożeńcy odbyli poślubną podróż do Bretanii (marzec–wrzesień). W lipcu firma kopalń złota, gdzie lokował pieniądze, zbankrutowała, a prawie cały jego kapitał przepadł. W styczniu 1898 roku przyszedł na świat syn Borys. W tym czasie jego życie obfitowało w długi i zapomogi, utarczki i negocjacje z wydawcami. Równocześnie – mocowanie się z materią twórcy. Ze specjalnego funduszu królewskiego otrzymał 500 funtów (26 kwietnia 1905). Rok później (2 sierpnia 1906) przyszedł na świat drugi syn John. Królewski Fundusz Literacki przyznał Conradowi zapomogę 200 funtów (16 kwietnia 1908), potem stałą dotację rządową 100 funtów rocznie, tzw. Civil List Pension (14 sierpnia 1910), której zrzekł się w czerwcu 1917 roku. W tym czasie kondycja finansowa Conrada uległa poprawie. Jego książki odnosiły mniejszy czy większy sukces.

Gdy dawał prawa do rozporządzania tłumaczeniami jego dzieł na język polski, przekazanymi listownie kuzynce Anieli Zagórskiej (10 kwietnia 1920), było ich już dwadzieścia kilka. Prawa te ponowił w oficjalnym dokumencie (19 stycznia 1921) poświadczonym przez Konsulat RP w Londynie (Anieli i Karoli Zagórskim jako prawa do przekładów i wydawnicze prawa autorskie, tj. copyright, na obszarze Polski i Rosji).

A czas nieubłaganie wyznaczał kolejne cezury. Z małżeństwa syna Borysa urodził się wnuk Filip Conrad (styczeń 1924). Dziadek niedługo cieszył się wnukiem. Zmarł w Oswalds na atak serca (3 sierpnia 1924).

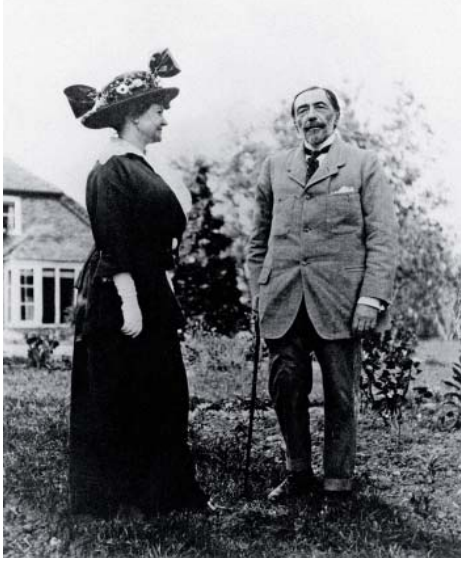

Jessie i Joseph Conrad w ogrodzie, źródło: domena publiczna

Pochowano go na cmentarzu w Canterbury. Żona Jessie umarła 6 grudnia 1936 i także pochowano ją na tym cmentarzu. Syn Borys zmarł 13 listopada 1978 roku, a wnuk Conrada John 10 października 1982 roku.

Conrad zostawił nam wiele życiowych refleksji i przemyśleń. Dla czytelników i krytyków jest nieprzerwaną kopalnią dociekań i analiz. A jest co wybierać w tym literackim oceanie pisarza. Popłyńmy więc razem przez te pełne emocji wody:

Aniela Zagórska i Conrad 1914, źródło: domena publiczna

Szaleństwo Almayera (*Almayer's Folly*) – 1895
Wyrzutek (*An Outcast of the Islands*) – 1896 (Wygnaniec, Banita, Wykolejeniec)
Murzyn z załogi „Narcyza" (*The Nigger of the „Narcissus"*) – 1897
Opowieści niepokojące (*Tales of Unrest*) – 1898 (*Karain, wspomnienie*, *Idioci*, *Placówka postępu*, *Powrót*, *Laguna*)
Lord Jim – 1900
Spadkobiercy (*The Inheritors*) – 1901 (razem z F.M. Fordem)
Młodość i inne opowiadania (*Youth – A Narrative, and Two Other Stories*) – 1902 (*Młodość*, *Jądro ciemności*, *U kresu sił*)
Tajfun i inne opowiadania (*Typhoon, and Other Stories*) – 1903 (*Tajfun*, *Amy Foster*, *Falk*, *Jutro*)
Przygoda (*Romance*) – 1903 (razem z F.M. Fordem)
Nostromo – 1904
Zwierciadło morza (*The Mirror of the Sea*) – 1906
Tajny Agent (*The Secret Agent*) – 1907
Sześć opowieści (*A Set of Six*) – 1908 – zawiera opowiadania: *Gaspar Ruiz*, *Donosiciel*, *Bestia*, *Anarchista*, *Pojedynek*, *Il Conde*
W oczach Zachodu (*Under Western Eyes*) – 1911
Ze wspomnień (*A personal Record*) – 1912
Między lądem a morzem (*Twixt Land and Sea*) – 1912 – zawiera opowiadania: *Uśmiech fortuny*, *Tajemny wspólnik*, *Freja z Siedmiu Wysp*
Gra losu (*Chance*) – 1913
Zwycięstwo (*Victory*) – 1915
Wśród prądów (*Within the Tides*) – 1915 – zawiera opowiadania: *Plantator z Malaty*, *Wspólnik*, *Gospoda dwóch wiedźm*, *Dla dolarów*
Smuga cienia (*The Shadow Line*) – 1917
Złota strzała (*The Arrow of Gold*) – 1919
Ocalenie (*The Rescue*) – 1920
O życiu i literaturze (*Notes on Life and Letters*) – 1921
Korsarz (*The Rover*) – 1923
Tajny agent, dramat w czterech aktach (*The Secret Agent – a Drama in Four Acts*) – 1923

Cmentarz w Canterbury – grób Jessie i Conrada, źródło: domena publiczna

żu Canterbury i tu umiera 03.08.1924.

Niebagatelny wpływ na portrety psychologiczne w twórczości Conrada miały także jego stany emocjonalne. Podświadomie gnębiło go zagubienie emigranta – sierota, tułacz, samotność w morzu, na lądzie, życie na marginesie społecznym mieszczaństwa. Często przelewał te stany na swoich bohaterów, czuł się w matni choroby, usidlony terminami zobowiązań pisarskich.

Anna Śmieszka i Jeszcze jeden dzień (*Laughing Anne and One Day More*) – 1924
Charakter przestępstwa (*The Nature of a Crime*) – 1924 (razem z F.M. Fordem)
Opowieści zasłyszane (*Tales of Hearsay*) – 1925 zawiera utwory: *Dusza wojownika*, *Książę Roman*, *Opowieść*, *Czarny oficer*, *W zawieszeniu*
Ostatnie szkice (*Last Essays*) – 1926

Przyczynkiem do jego twórczości, być może, były częste zmiany miejsca zamieszkania. Jakby jego niespokojny duch dryfował na lądzie. Te miejsca to:

Londyn przy Bessborough Gardens,
Londyn 17 Gillingham St. (dwa pokoiki) (1891–1896),
Stanford-le-Hope, Essex,Victoria Road, domek przy ujściu Tamizy (17.09.1896–13.03.1897),
Stanford-le-Hope, Essex, „Iwy Walls" dom z muru pruskiego (13.03.1897–26.10.1898),
Pent Farm koło Hythe, hrabstwo Kent – domek (26.10.1898–10.09.1907),
Someries, Bedford County koło Luton (10.09.1907–14.02.1909),
Aldington, koło Hythe, Kent (14.02.1909–21.06.1910),
Capel House, koło Ashford, Kent – dworek (14.02.1910–25.03.1919),
Spring Grove koło Wye, Kent (25.03.1919 – październik1919),
Oswalds w Bishopsbourne, duży dom w pobli-

Gdy ląd mu zbyt doskwierał, chciał uciekać na morze (rozmowa z Sir Francisem Evansem – Union Line – 19.07.1898). Zagubienie i postępująca choroba (podagra) sprzyjały powstawaniu stanów depresyjnych. Dlatego podczas recepcji jego literackich dokonań odczuwamy wyraźnie ładunek emocji, który udało się pisarzowi zawrzeć w sylwetkach psychologicznych swoich bohaterów.

W życiu starał się zawsze być człowiekiem dystyngowanym, o nienagannych manierach, co było zauważane wielokrotnie. Fortuny nie zrobił, przez większość życia tonął w długach, więc stres i presja zgotowały mu życie pełne zobowiązań i zawstydzającego kołatania o pożyczki, zadatki i zapomogi. Dopiero pod koniec życia, zaczął żyć bez długów, ale właściwie na zasadzie skromnego wiązania końca z końcem. Prawdą jest, że nie umiał być oszczędnym, ale to wynikało również ze statusu społecznego rodziny. Więc i aspiracje społeczne były wyższe. Był człowiekiem prawym i twórczym mimo nękających go nawrotów choroby i dręczącej chandry.

Jego książki świadomie poruszają tematy, które są jakby lustrzanym odbiciem stanów

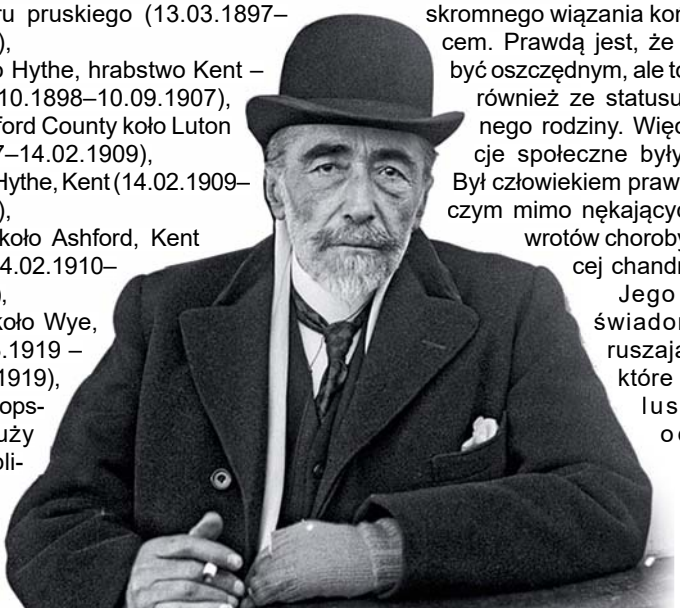

Joseph Conrad, źródło: domena publiczna

Józef Conrad – rzeźba Jacoba Epsteina, źródło: domena publiczna

emocjonalnych, widzenia świata, rozważań psychologicznych i godzenia siebie z losem wygnańca, uciekiniera, outsidera, stają się ekwiwalentem własnych postaw, dając pod koniec życia doskonałą wiwisekcję własnego świata wewnętrznego w powieści *Korsarz.* Musiał przejść przez: *Szaleństwo Almayera,* zakodowaną w genach myśl marzenie o niezrealizowanym powrocie; *Lorda Jima* z piętnem winy i jej odkupieniem, tryumfem śmierci; *Jądro ciemności* gęste od zła istniejącego świata i własnego *katharsis* w ludzkiej dżungli, pełnej demonów; poprzez nieustanny *Tajfun* świata własnych przeżyć; analizę ludzkiej chciwości i okrucieństwa w *Nostromo* – ażeby nieugięcie trwać w zderzeniu z oceanem spraw ludzkich i dramatycznych finałów. Conrad nosił przed śmiercią w sobie zamiar powrotu do ojczyzny, zresztą *Smuga cienia, Złota strzała* czy *Ocalenie* niosą już w sobie wizje odradzającej się niepodległości RP.

Jego życie i twórcze dokonania są natchnieniem dla wielu poetów. Niech potwierdzają to moje wiersze w tym eseju.

Przypowieść

Przez zmierzwione wiatrem bezdroża
w uprzęży lin i śnieżnej grzywie żagli
pochylony żaglowiec na ostrym halsie
uzupełnia rozdział morskiej biografii

na burcie w blasku ezoterycznej chwili
podbitej siwym gronostajem obłoków
oczyszcza z nocy chwila medytacji
gdy z górnej rei widać ametyst
niknącej rankiem smugi cienia

w Indiach witają słońce jogini
modlitwą asan Surya Namaskar
zadumą nad kruchym trwaniem
tutaj bezkres żeglugi utrwala
pokładowa księga refleksji

między portami kołyszą się wieści
na przysłowiowe wyciągnięcie ręki
wątki skryte w marynarskiej pamięci
faktorie w namorzynach wąsatych
i wieczysta mantra poszum wody
podpora medytacji morskiej drogi

chociaż nieraz myśl zgorzkniała
z takielunku kapitańskiej głowy
płynie fregatą w rodzinne strony
do zgubionego na Kresach domu
z paszportem duszy i wizą soli

wiem przesądny jesteś jak każdy
zaprawiony w morskim rzemiośle
sypiasz z mapą i sondą ukrytą w koi
nieufny gdy morze ledwie kołysze
i w jasnym obłoku chowa wiatry

na lądzie dla odmiany strój paradny
taki takielunek szykownie dobrany
owiany wschodnim aromatem fajki
dla niepoznaki własnych dylematów

krzyż południa wciąż wkłada na barki
jak na burtę kargo całe rozdziały wątków
bezcenne przyprawy korzenne opowieści
codzienne węzły gordyjskie zdarzeń

stąd zwątpienie w radość życia
na zdradliwych mieliznach lądu
wystarczy jazgot lin w blokach
w żaglach rozpasanie wiatrów

więc tłumaczysz dolę tułacza
na idiom czasu w falę zaklęty
przyprawione solą morza
słowa wielkiej księgi
przypowieści

Teresa Dutkiewicz (1941–2022)

25 maja 2022 roku – dotarła do naszej redakcji szokująca wiadomość. Zmarła, przebywająca czasowo w Warszawie, Teresa Dutkiewicz. Lwowianka oddana całym sercem swemu miastu i Polsce. Poznałem ją wiele lat temu, jako wiceszefową Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie. Tworzyły wspaniały tandem z nieżyjącą już Emilią Chmielową. Wędrowałem z Nią do Dubna, Krzemieńca… Kiedyś pokazała mi swój paszport, jeszcze ten sowiecki. „Dla mnie to bardzo cenny dokument. Proszę spojrzeć, tu jest wpisana narodowość. Nie wszyscy Polacy umieli w tamtych czasach przyznawać się do swego pochodzenia. Wtedy była to odwaga. Dzisiaj wszyscy się do Polski przyznają, bo już nie strach, nic za to nie grozi…" – mówiła nie bez dumy. Dla mnie była jedną z pierwszych przewodniczek po polskim Lwowie.

Spotykaliśmy się też w Krakowie, zazwyczaj w siedzibie Stowarzyszenia Wspólnota Polska, z którą realizowała na Kresach wiele różnych i jakże ważnych projektów.

Pani Teresa urodziła się 9 kwietnia 1941 roku we Lwowie. Uczyła się w słynnej lwowskiej Polskiej Szkole im. Marii Magdaleny, była absolwentką Politechniki Lwowskiej, gdzie skończyła kierunek technologia szkła. Z macierzystą uczelnią związana była zawodowo przez pół wieku!

Tak naprawdę żyła sprawami Polaków we Lwowie, a jako wiceprezes zarządu Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie, a od 1993 roku redaktor naczelna pisma „Nasze Drogi", także na Kresach. Opiekowała się też kresowymi poetami. Dzięki Jej inicjatywie ukazywały się autorskie tomy wierszy kresowych poetów, którzy pewnie pisaliby tylko „do szuflady". Powszechnie uważano, że w powojennym Lwowie nie ma życia intelektualnego. Polską inteligencję najpierw przetrzebili Rosjanie, potem Niemcy. Po wojnie część wyjechała za zachodnią stronę pojałtańskiej granicy. Ci, którzy zostali, jeśli nie trafili na przymusowe zesłanie, zazwyczaj chowali głęboko swą narodowość. Ona udowodniła, że to nieprawda! Była inicjatorką wydania ponad dwudziestu książek – poezji i prozy – twórców pochodzących z Kresów Południowo-Wschodnich. Pierwszą opracowaną i przygotowaną do wydania przez Nią książką był wybór poezji, zatytułowany *Gdzie jesteś, Ojczyzno*. Almanach wydany został w latach dziewięćdziesiątych XX wieku przez Stowarzyszenie „Wspólnota Polska" w Warszawie. To bardzo ważna książka, bo miała pokazać światu, że wśród Polaków we Lwowie żyją też literaci. Później był tom *Habemus Papam* wydany z okazji wizyty Jana Pawła II we Lwowie. Dzięki Niej poznałem wiersze wielu poetów, m.in. Krystyny Angielskiej, Mieczysławy Piotrowskiej, Natalii Otko, Ireny Sandeckiej czy Jarosława Pawluka, Jerzego Wasidłowa. Wiersze pana Jerzego publikujemy w tym numerze *Cracovia–Leopolis*. Związana była ze Stowarzyszeniem Dziennikarzy Polskich na Ukrainie. Gdy Ją poznałem, współpracowała z nieistniejącą już „Gazetą Lwowską". Przez lata swe teksty publikowała też na łamach naszego kwartalnika. Bardzo związana była z lwowską młodzieżą polską. Jako scenograf współpracowała z dziecięcym teatrzykiem „Baj". Młodym ludziom zawsze chciała dać z siebie nieco więcej niż pomoc przy odrabianiu lekcji w szkole. Była organizatorką ponad 30 edycji Konkursu Recytatorskiego im. Adama Mickiewicza „Kresy" dla młodzieży mieszkającej poza granicami Polski.

Za działalność na rzecz polskości na Ukrainie uhonorowana została ważnymi orderami: Medal Komisji Edukacji Narodowej, Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi RP, Krzyż Oficerski Orderu Zasługi RP, Odznaka Zasłużony dla Kultury Polskiej, Order Uśmiechu.

Miała 81 lat. Niech spoczywa w pokoju!

Janusz M. Paluch

Ewelina Hrycaj-Małanicz (1940–2022)

fot. Marian Fruzyński

Na Cmentarzu Janowskim we Lwowie pożegnano zmarłą 18 maja 2022 roku. doc. dr n. med. Ewelinę Hrycaj-Małanicz – jedną z najbarwniejszych i najbardziej zasłużonych postaci miasta Semper Fidelis. Urodziła się w 1940 roku we Lwowie. Tam skończyła szkołę średnią, zdała maturę i skończyła studia medyczne, o których marzyła od 16. roku życia. Nigdy na dłużej nie opuściła swego miasta, nie zostawiła go nawet w obliczu wojny z Rosją.

W wywiadzie z Nią, opublikowanym na stronie internetowej www.swiatlekarza.pl, zapytana przez Urszulę Piasecką, skąd się u Niej wzięło takie zaangażowanie w krzewienie i podtrzymywanie polskich tradycji we Lwowie, odpowiedziała:

„Ja po prostu wyrosłam w takiej rodzinie, w której zachowanie tradycji i kultury polskiej było bardzo ważne. Teraz te wartości przekazuję dalej. Właściwie mogę powiedzieć, że głównym celem mojego życia i działalności społecznej jest zachowanie polskości, narodowej tożsamości wśród naszych rodaków we Lwowie – zachowanie języka polskiego, naszych tradycji i obyczajów".

Do końca swojego pracowitego życia aktywna zawodowo, działała również społecznie, niosąc pomoc lekarską i materialną rodakom ze Lwowa. Długoletnia prezes Lwowskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku i Stowarzyszenia Lekarzy Polskich we Lwowie, wykładowczyni Lwowskiego Instytutu Medycznego, uczestniczka i organizatorka wielu konferencji naukowych i jubileuszowych.

We wspomnianej już rozmowie, opowiadając o założonym w 1988 roku Stowarzyszeniu Lekarzy Polskich, mówiła, że „głównym naszym zadaniem było i jest niesienie charytatywnej pomocy medycznej ludziom chorym, samotnym i starszym, których wśród naszych rodaków we Lwowie jest wielu. Nasze wsparcie dla nich ma charakter wielokierunkowy, choć jako lekarze przede wszystkim udzielamy chorym bezpłatnej pomocy medycznej, np. hospitalizacji, i wydajemy – w miarę swoich możliwości – bezpłatne leki. Stowarzyszenie Lekarzy Polskich we Lwowie działa pod dewizą: »Jesteśmy tyle warci, ile pomagamy innym«". To motto przyświecało Jej życiu do końca, na każdej płaszczyźnie działalności.

Zapytana w 2014 roku w Krynicy przez Ewę Piłat w wywiadzie opublikowanym na łamach Ogólnopolskiego Biuletynu Uniwersytetów Trzeciego Wieku (nr 5, październik 2014) o sukcesy Lwowskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku, odpowiedziała, że tym największym są słuchacze, którzy uczestniczą w wykładach, spotkaniach i innych zajęciach. Nie bez dumy mówiła też o chórze „Lutnia", ale i o organizowanych wyjazdach turystycznych.

Niedawno jeszcze cieszyliśmy się wspólnie z wydanej pod Jej współredakcją książki *Lwów w historii i kulturze polskiej*, którą dedykowała wielkiemu admiratorowi Kresów, zmarłemu przedwcześnie dr. Stanisławowi Dziedzicowi – dyrektorowi Biblioteki Kraków.

Odchodząc niespodziewanie do wieczności, pozostawiła po sobie wielką pustkę i ogromny smutek. Żywa postawa patriotyczna, szlachetny charakter, działalność naukowa i organizacyjna Pani Docent, stanowiły powód do przyznania Jej m.in. Krzyża Kawalerskiego Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej, honorowego odznaczenia Bene Meritus, czy medalu Gloria Medicinae. Córce Pani Docent – Pani Barbarze Małanicz-Kilczyckiej oraz Rodzinie składamy wyrazy szczerego i głębokiego współczucia.

Paweł Brzegowy
Janusz M. Paluch

Piszą do nas!

Szanowna Redakcjo!

Otrzymałem kolejny, jak zawsze interesujący numer „CL” i czytam go z przyjemnością. Jednak zgłaszam konieczność sprostowania zapisu w artykule „Zaleszczyki, jakich nie ma…”. Otóż elita II Rzeczypospolitej istotnie przejechała przez most – rzeczywisty, a nie legendarny, ale na Dniestrze, udając się do Rumunii. Przekraczanie Zbrucza byłoby bezsensowne, gdyż trafiliby wówczas na teren Związku Sowieckiego, czego z pewnością sobie nie życzono.

Z wyrazami uszanowania
Andrzej Konoplicki

Szanowny Panie Andrzeju!

Słuszna uwaga. Użycie słowa legendarny uzasadniam tym, że przez całe lata mówiono, że elity rządowe opuściły Polskę przez most w Zaleszczykach. Oczywiście powinienem dodać, że ów realny most znajdował się w Kutach. Nie chciałem jednak wchodzić w szczegóły. Jeśli ktoś z Państwa Czytelników poczuł się wprowadzony w błąd, przepraszam, a na przyszłość, obiecuję, że nie będę stosował skrótów myślowych.

Z wyrazami szacunku!

Janusz M. Paluch
redaktor naczelny

Szanowni Państwo!

Nie mogę nie podzielić się z Państwem miłymi informacjami, jakie napłynęły w ostatnim czasie z Warszawy. Dotyczą one naszych wspaniałych autorów: Jarosława Krasnodębskiego, piszącego głównie o dziejach Stanisławowa, i Michała Piekarskiego, poświęcającego swą publicystyczną i naukową pracę historii muzyki we Lwowie. Na ślubnym kobiercu 14 maja 2022 roku stanęli w kościele Opieki św. Józefa (pp. Wizytek) Beata Kost i Michał Piekarski. Natomiast 16 czerwca 2022 roku sakrament małżeństwa w warszawskim kościele św. Anny przyjęli Dominika Doleszczak i Jarosław Krasnodębski.

Młodym Parom, w imieniu własnym i całej redakcji kwartalnika *Cracovia Leopolis*, życzę wszystkiego co najlepsze i najpiękniejsze na nowych drogach życia!

Warto przypomnieć…

120 lat temu, 30 czerwca 1902 roku, na nadzwyczajnym posiedzeniu Rady Miasta Lwowa, któremu przewodniczył prezydent Godzimir Małachowski, podjęto uchwałę przyznającą Henrykowi Sienkiewiczowi honorowe obywatelstwo miasta Lwowa. Dyplom wraz ze złotym medalem, autorstwa rzeźbiarza Juliana Markowskiego, z napisem „Henrykowi Sienkiewiczowi obywatelowi honorowemu miasto Lwów”, wręczono dopiero 18 lutego 1904 roku w Krakowie w Hotelu Saskim, gdzie pisarz często się zatrzymywał. Do Krakowa przybyli wówczas Prezydent Miasta Lwowa Godzimir Małachowski i jego zastępca Stanisław Ciuchciński w towarzystwie radnego Stanisława Głąbińskiego.

Na I stronie okładki:

Odsłonięte Iwy na Cmentarzu Obrońców Lwowa, fot Anna Gordyjewska

Wydawca:
Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Prezes Zarządu:
Lesław Popławski

Rada Programowa:
Stanisław Czerny – Oddział Krakowski TMLiKPW, dr Karolina Grodziska – Biblioteka PAN i PAU, ks. prof. dr hab. Józef Wołczański – Uniwersytet Papieski Jana Pawła II, Katedra Historii XIX i XX wieku, dr Tadeusz Skoczek – dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie, Janusz M. Paluch – kierownik Działu Animacji i Wydawnictw Biblioteki Kraków, Lesław Popławski – prezes Zarządu Krakowskiego Oddziału TMLiKPW

Redakcja:
Piotr Boroń, Paweł Brzegowy, Jarosław Krasnodębski (Warszawa), Janusz M. Paluch (redaktor naczelny), Michał Piekarski (Warszawa), Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Natalia Tarkowska, Aleksandra Solarewicz (Wrocław), Marta Walczewska

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl
oraz www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/

Adres redakcji:
Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: cracovialeopolis@gmail.com

Informacje o kwartalniku CL: cracovialeopolis@gmail.com, tel. 608 155 693

Konto bankowe Oddziału TMLiKPW w Krakowie:
53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

Przygotowanie do druku: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, 502 022 027, fall@fall.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja nie odpowiada za opinie, stwierdzenia i reklamy, które stanowią wyraz poglądów ich autorów.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Danuta Nespiak
MIT I HISTORIA KRESÓW 1

Beata Kowalska-Sionko
RELIGIJNE ŚWIADECTWO
PROF. KAROLINY LANCKOROŃSKIEJ 4

Adam Wierciński
DYSKRETNY ERUDYTA 14

Karolina Grodziska
LWOWSKA I NOWOSĄDECKA.
DWIE PIETY JANINY REICHERT-TOTH 19

Antoni Wilgusiewicz
KATEDRA ŁACIŃSKA WE LWOWIE –
CZTERY MONOGRAFIE 23

Bogdan Gancarz
GIGANT Z OSTROGA 25

Paweł Stachnik
LWÓW W POWIEŚCIACH KRYMINALNYCH
MARKA KRAJEWSKIEGO 28

Dominik Filipek
ELŻBIETA RÓŻA CZACKA (1876–1961) 36

Musica Leopolis
Michał Piekarski
PIERWSZA DYREKTORESSA… 40

Poezja
Jerzy Wasidłow 43

Aleksandra Solarewicz
HISTORIA Z FUSÓW 45

Rozmowa
ZE STANISŁAWEM CZERNYM,
HONOROWYM CZŁONKIEM
TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA
I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH
ROZMAWIA JANUSZ M. PALUCH 47

Proza
Rozalia Szpytma
JAK TO NA PODOLU DRZEWIEJ BYWAŁO 58

Franciszek Haber
ŻYWIOŁY CONRADA 62

Pożegnania
TERESA DUTKIEWICZ (1941–2022)
EWELINA HRYCAJ-MAŁANICZ (1940–2022) 73

PISZĄ DO NAS! 74